









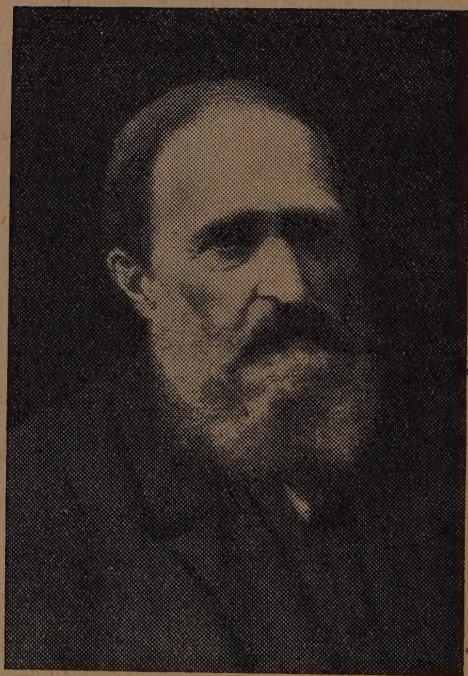




BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW  
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE  
10 TOMÓW KWARTALNIE

# KUNIGAS

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXII

J. I. KRASZEWSKI

# KUNIGAS

DZIEJE LITWY I KRZYŻAKÓW  
W POCZĄTKACH XIV WIEKU

CZĘŚĆ I



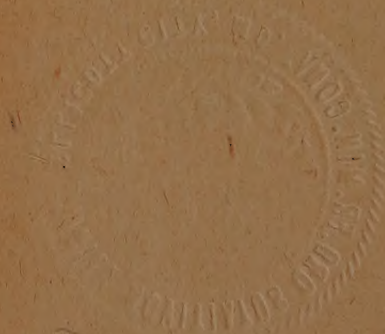
1 9 2 8

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND



DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE  
CZERNIAKOWSKA 225



## I.

W krzyżackim Marji-grodzie dzwoniono na wieczorne pacierze. Głos niewielkiego dzwonka, cichy, smętny, leniwy jakiś, rozlegał się po zamkowych podwórzach; to podnosząc, to cichnąc, w miarę jak wiatr to go odpędzał gdzieś, to przybliżał.

Kapliczka, której drzwi stały otworem, była jeszcze prawie pusta i niemal ciemna.

Pora była późnej jesieni; mrok dnia mglistego okrywał budowy zamkowe. W tem półświatle, półcieniu, przybierały one kształty fantastyczne; część ich nikła w ciemnościach i rozpływała się w mrokach; niektóre ściany występowały ostro, resztkami dnia oświetlone w połowie, lub pozapalaniem lampami i pochodniami, które otaczał krąg jasności, jakby dymem osutej.

Gdzie niegdzie wrota otwarte czarną zdawały się czeluścią; gdzie indziej zakratowane okno, już ogniem wnętrza zarumienione, na którego tle ciemne przesuwały się postacie, gorzało niby pożarem cichym i tem straszniejszym.

Zamek cały pontury i posepny był, jak więzienie. W milczeniu, smutnie, wolno, w podwórzach przesuwały się postacie rycerskie, czeladź w kusej odzieży, pacholki z ostrzyżonemi głowami.

Ludzie ci, nawykli o jednej porze spełniać obowiązkowe czynności, bez słowa, bez znaku życia szli, jak

kółka jakiegoś misternego przyrządu, gdzie ich prowadził rozkaz niemy.

Ciszę tę straszną przerywało tylko kiedy niekiedy zawycie psa na uwięzi, lub rżenie koni stojących. Lecz i te stworzenia, jakby nawykłe do klasztornej milczenia, wprędce ucichały.

W tej ciszy majestatycznej był jakiś uroczysty smutek a siła, którą ma każdy czyn, spełniony bez odgłosu, w spokoju, gdy się nań cała potęga ludzkiego ducha zdobywa.

Wszelka wrzawa odejmuje dziełu człowieka to wrażenie mocy zwycięskiej, której oznaką jest niemość dobrowolna.

Tu, oprócz mdłego głosu dzwonka, który powoływał na pacierze braci, nic więcej słyhać nie było. Niekiedy wiatr jesienny przerzynał ciężkie powietrze, wilgocią przesiąkłe, i, cisnąc się między wąskie ścian przesmyki, uragał szyderskim głosem nakazanemu milczeniu.

W kaplicy, przed której ołtarzem paliła się ze stropu zwieszona lampa, słabo oświetlająca ściany, okryte napisami i chorągwiami grobowymi, — niewielu pobożniejszych rycerzy zeszło się leniwo na wieczorną modlitwę.

Kapelan w kapie stał u stopni ołtarza i modlił się szybko, półgłosem, jakby z obowiązku, senny i roz-targniony. Stojący w swych ławach rzeźbionych star-si bracia, którzy więcej się ściągnęli dla przykładu i z powinności, niż przez nabożeństwo, w modlitwie nie okazywali wielkiej gorliwości i zapалу.

Niektórzy z nich, ponachylani ku sobie, szeptali; inni, ze złożonemi na piersiach rękoma, zdawali się z re-zygnacją znudzoną wyczekiwać końca. Jeden sparł się o stałą i, zadumany, z zamkniętymi powiekami, drze-mał, czy usypiał.

W mroku kaplicznej głębi trudno było rozpoznać



tych, co się u drzwi zgromadzili, zwołani dzwonkiem, nie przywiązując wielkiego znaczenia do nabożeństwa.

Światło lampy drgało fantastycznie na bronzach i złoceniach obrazów, sprzętów i na frezlach chorągwi. Płomyk jej, poruszany falą powietrzną, skakał promykami, jak żywa jakaś istota, sięgając dalej, rzucając się na boki, naprzemiany, odkrywając twarze i obrazy, lub topiąc je w mroku. On tu był jedynem czemś, życiem i wolą obdarzonem. Wszystko zresztą spało, nie me i zdrętwiało.

W końcu ławy rzeźbionej, wśród tego posępnego szeregu płaszców białych i sukni czarnych, jedna tylko postać wybitniejsza zwracała na siebie oczy. Lampa właśnie rzuciła wiązkę światła na twarz jej, występującą wyraziście na tle mroków, które ją otaczały.

Było to męskie oblicze człowieka, już życiem zahartowanego, z którego lata zrobiły bronzową maskę, napiętnowaną rysy mnogimi, jakby hieroglifami, które przeszłość wypisała na niej — nieczytelnymi i tajemniczymi.

Odkryte, wyniosłe czoło fałdowały grube marszczki, ciemnymi pasy przerzynając je na kilka części.

Takież same fałdy głębokie zorały zejście się brwi czarnych, bujnych, rozrosłych, osłaniających parę oczu, ukrytych głęboko pod wystającą kością czołową, a świecących w oprawie kształtnej, która niegdyś piękność ich podnosić musiała. Dziś i tu marszczki się zbiegały, a poniżej nielitościwie krajały policzki i ust otoczenie. Wąsy i broda, ciemne jeszcze, już gdzieś nigdzie srebrnymi włosy były posypane.

Blask lampy, silnie rzucając cienie, uwydatniał rysy tej twarzy, jakby dłótą energicznem wykutej.

Wyraz jej był posępny, surowy, dumny, a spokojny jakaś siłą wewnętrzną. Zwykły strój zakonników-rycerzy leżał na szerokich ramionach i piersiach, w wielkich fałdach jak odniechcenia rzucony. Nie widać

było najmniejszej tu staranności, a sukno nosiło na sobie ślady zużycia i zszarzenia.

Usta głęboko wpadłe nie poruszały się modlitwą, a z posępnego czoła zgadnąć było trudno, czy się modliła dusza. Oko — to się zatrzymywało na przedmiotach obojętnych, bez myśli, to śledziło wszystkich w kaplicy zebranych, równie poblizszych współbraci, jak dalej skupionych u progu półbratów, czeladź służebną i knechtów.

Przed okiem tem nic ujść nie mogło; biegło ono w ciemności, pewnem będąc, że je przeszyje, a odgadnie, co się w nich skrywa.

Coś się kazało domyślać, iż ten świadek, lecz nie uczestnik modlitwy, wrażał wszystkim przytomnym pewną obawę i poszanowanie. Tak samo, jak wzrok jego po ludziach, wejrzenie ludzi ukradkiem biegło ku niemu. Czeladź się instynktowo uchylała, słoniła za przymurki, aby nie być wystawioną na wzrok ten, przeszywający i groźny.

Na zastygłych licach zakonnika nie było oznaki najmniejszego wrażenia. Obok dumy, która pięknej jej twarzy rycerskiej zdawała się dziedzictwem krwi narzuconą, była i pokora mnisza, przybrana z musu.

Nie widać było, aby szczególne jakieś dostojeństwo i władza związane były z tem rycerza znaczeniem, jakie mu nadawało oblicze. W ławie braci stał on na najniższem miejscu, ostatni z brzegu.

Patrzył stąd, śledził...

Pacierze wieczorne zbliżały się do końca; mruczeniem głuchem odpowiadano ze stałów na głos kapełana. Przykląkł wreszcie, odwrócił się i zwolna, ze zwieszoną głową, ku zakrystji zmierzał.

Naówczas poruszyli się wszyscy, zbudził się zakonnik drzemiący, czeladź od drzwi szybko się wysypała na podwórze.

Pozostał chwilę na swem miejscu rycerz ów nieru-

chomy, głowę tylko zwróciwszy ku ołtarzowi. Ci, co go pomijali, wysuwając się z kaplicy, nie pozdrawiali ani skinieniem głowy, przechodzili, patrząc w inną stronę, jakby unikali jego wzroku z pewnym pośpiechem, niezręcznie ukrywany. Żaden mu nie okazał uszanowania, choć widać było, że może wrażał obawę.

Kaplica już prawie była pusta, gdy i on ze swego miejsca poruszył się nareszcie i ciężkim krokiem iść począł ku drzwiom, u których jeszcze kupka czeladzi się zatrzymała.

Wśród niej stał, pytając o coś, brat szpitalnik, człowiek niemłody, siwy, ruchów żywych, mowy prędkiej, gorącego temperamentu. Płaszcz, z ramion mu się osuwający nie po myśli, dokuczał niecierpliwemu, który go poprawiał i szarpał na sobie.

Wychodzący zakonnik zatrzymał się przy nim. Zobaczywszy go, knechty i służba natychmiast rozpierzchać się zaczęli.

Z szerokiej piersi jego dobył się głos męski, stłumiony, lecz silny, wychodzący jakby z głębin, i tak właściwego sobie dźwięku, żeby go wśród tysiąca innych można było rozróżnić. Jak cała postać, nakazywał poszanowanie, nie dopuszczał przeciwności.

Zwrócił się do szpitalnika, który oczy w niego wlepił niespokojne i błyszczące.

— Cóż się z młodym Jerzym dzieje? — zapytał.

— Chory, chory; — odparł zapytany żywo, poruszając ramionami i niebardzo rad tłumaczyć się szeroko.

Pytający badał go wzrokiem. Byli już sami, bo czeladź się rozpierzchła. Szpitalnik poruszył się, jakby chciał odchodzić; zobaczywszy, że zakonnik stał w miejscu, niechętnie zatrzymać się musiał.

Ten powtórzył zapytanie:

— Chory? zawsze chory?



Ruchem głowy potakującym odpowiedział tylko żywy szpitalnik. Namyslił się nieco.

— Zawsze chory! tak! a ja nawet nie umiałbym powiedzieć, na co chory... Wiecie, bracie Bernardzie, dużo przeróżnych chorób widziałem w życiu, ale tej nie znam i na tę poradzić nic nie umiem.

Chciał odejść, Bernard go za rękę powstrzymał.

— Zaczekaj chwilkę; — rzekł, — wiem, że ci zawsze pilno; ale powiedzże mi, co mu jest?

— Co mu jest? — z pewną niecierpliwością i półuśmiechem począł spytany, — ale właśnie w tem trudność, że nie wiemy, co mu jest. Opowiedzieć to trudno. Skutki choroby widzimy jasno, ale jej samej zrozumieć i pochwycić niepodobna. Chłopak wyniszczał nagle, wychudł, zżółkł, sposepniał, stracił ochotę do jadła... powiedziałbym, że i do życia. Godzinami siedzi, jak ośłupiały, z oczyma wlepionymi w ścianę lub okno, w podłogę lub sufit.

I dokończył nowem ramion poruszeniem.

— Młodość potrzebuje ruchu i powietrza; sędzę, że wzięłby go może, na koń wsadziwszy, na jaką przysłał wyprawę, na świeży świat, pomiędzy ludzi; zmienić życie, dać go gdzie na zamek do którego z komturów, trochę swobody...

Szpitalnik, słuchając, głową potrząsał.

— Możecie, czego chcecie, próbować, — rzekł, — bo ja już z mojej apteki, co tylko było do dania, wyczerpałem; nie sędzę, żeby się to na co przydało... Na koń sięś bodaj czy mu siły pozwolą. Dać go do jednego z tych gródków, w których dzień i noc czuwać potrzeba... to nie spoczynek... No, ja nie wiem, — dokończył, zabierając się znowu odchodzić; ale Bernard jeszcze go raz za płaszcz przytrzymał.

— Jak sądzicie? grozi jego życiu niebezpieczeństwo? — zapytał.

— Gdyby starszym był, — odparł, zżymając się

niece, zakonnik, któremu było pilno, — prędzejby się dało zawyrokować, czy wyzdrowieje, czy zamrze... Z młodością, która ma siły wielkie i dziwactwa niespodziane, nigdy człowiek nie wie, czy ona zwycięży, czy od lada podmuchu wiatru, jak mało rozpalony knot lampy, zagaśnie.

— A szkodaby było, — zamruczał Bernard. — Chowaliśmy go od dziecka... no, i rachowali nań.

Brat szpitalnik, roztargniony, ledwie mógł ostatnie słowa dosłyszeć.

— Bracie Bernardzie! — odezwał się, wybuchając, jak zmuszony żywym temperamentem: — Wierście mi, stary jestem, widziałem wiele! Krwi nie przerobić w człowieku. Ma ona swe prawa. Hoduj, jak chcesz, ptaszę dzikie; ledwieś mu okna uchylił, a głosy swoich posłyszało — uleci.

— Na to się mu podcinają skrzydła! — cicho zamruczał Bernard, do ucha szpitalnikowi dodając:

— Miałżeby kto wydać mu i zdradzić tajemnicę? To być nie może!

Ręce podniósł do góry z oburzeniem.

— Któżby mógł? jakim sposobem? — przerwał szpitalnik. — Oprócz nas kilku, przysięgą do milczenia związanych, żywa dusza o tem nie wie. Nikt! Domyślić się nawet niepodobna. Jerzy, jak wszyscy tu, wie, iż go małem chłopięciem z Niemiec przywieziono.

— Tak! — odparł Bernard — ale pamięć dziecka? Dzieją się rzeczy dziwne czasem. Nuż mu się tam, jakim cudem, lata chłopięce przypominają, jak sen jaki?

Szpitalnik głową potrząsał.

— To się zatarło! tyle czasu! — rzekł. — Żaden człowiek nie pamięta niemowlęctwa, a on się tu prawie w nasze ręce niemowlęciem dostał.

— Nie! nie! — zaprzeczył Bernard. — Mówił już,

i tę szatańską, dziką, barbarzyńską mowę, którą bełkotał, ledwie mu potem grozą i sztuką z głowy wybito.

— Bądźcież spokojni; nie zna jej ani słowa! — rzekł szpitalnik. — Nic podobnego mu do głowy przyjąć nie mogło. Coś innego chorobę sprowadzić musiało. Co? Któż to zbada? Ciało gnębi duszę w człowieku, dusza czasem łamie ciało — oboje potem cierpią. Niewiedomo co leczyć? jedno, czy drugie? tak są z sobą powiązane.

— Patrzyć potrzeba, co z dwojga mocniej dotknięte.

— Tak! — uśmiechnął się szpitalnik. — Gdyby to oko ludzkie do tych głębin zajrzeć mogło? Łaska chyba Boża oświecić o tem może.

To rzekłszy, ruszył się od progu kaplicy szpitalnik, potrząsając pękiem kluczy, który mu wisiał u pasa, a dając tem do zrozumienia, iż mu do jego obowiązków pilno było.

Brat Bernard, już go nie wstrzymując, szedł z nim razem. Szpitalnik obejrzał się na niego, zdziwiony trochę, że mu towarzyszył; co postrzegłszy, Bernard się ozwał:

— Chciałbym ja go sam zobaczyć. Nic nadzwyczajnego nie będzie, gdy razem z wami zajdę do infirmerji.

Szpitalnik się uśmiechnął.

— Wam przecie — rzekł — przystęp nigdzie i nigdy wzbroniony nie jest. Róbcie, jak wam się zda lepiej.

Z kaplicy do domu chorych potrzeba było na drugi, niższy dziedziniec przechodzić. Odległość była dość znaczna.

Ciemno się robiło wśród murów, lecz gdzie niegdzie z okien padające światło drogę wskazywało.

Bernard postępował milczący i zadumany. Nie przeszkadzało mu to, jakby z nałogu, po drodze tu



i ówdzie rzucać oczyma, w każde drzwi napół otwarte, w każde okno oświetlone, zwracać się ku każdemu przechodzącemu, którego spotykali, i pilnie się weń wpatrywać. Żdało się to skutkiem dawnego nawyknienia bardziej, niż woli, gdyż zakonnik szedł, cały w sobie pogrążony.

Szpitalnik, którego żywość pędziła, ciągle go wyprzedzał i musiał krok swój mierzyć, aby ciężej i powolniej kroczącego Bernarda zbyt nie wyprzedzać, bo mu miał służyć za przewodnika.

Weszli nareszcie do sieni, z której na prawo drzwi, nie do izb obszernych, gdzie największa liczba chorych i rannych się mieściła, ale do kilku pomniejszych, dla braci zakonnej i starszyny przeznaczonych, prowadziły.

Weszli. Pierwsza, ciemna, stała pustą; z drugiej przez szczeliny u progu i góry słabe się światelko przeciskało. Ojciec szpitalnik otworzył je zwolna i, sam nie wchodząc, chciał przodem wpuścić Bernarda, który nawzajem wskazał mu, ażeby go wyprzedził.

Stało się, jak rozkazał.

Żwawy mały człowieczek wszedł do izby szczupłej, którą niewielka lampka oświetlała.

Oprócz łóżka i niewielkiego stolika, na którym talerz stał z jedzeniem nietkniętem i dzbanuszek, kubkiem nakryty, — ława tylko w oknie wgłębionem i parę półek były całym sprzętem małej celi.

Łóżko zasłane było kołdrą wełnianą — twarde i wąskie. Na niem, z nogami spuszczonemi, z głową w ręce zanurzoną, siedział młody chłopak, lat około siedemnastu mieć mogący, na swój wiek wyrosły bujnie, ale wychudły.

Włos, krótko przystrzyżony, jasny, najeżony i bezładnie porozrzucany, okrywał dość piękną głowę jego, która, podniesiona ku wchodzącym i zwrócona ku nim twarzą, wyrazem smutnym politowanie wzbudzała.

Oczy miał wpadłe głęboko, policzki ściągnięte, usta zakłęsłe, czoło pomarszczone.

Piękne rysy młodzieńcze ból jakiś czynił sympatycznymi, ale groźnemi razem. Z pod powiek patrzyła gorączkowa niecierpliwość, znękanie i wyraz walki wewnętrznej, tłumionej w sobie.

Skromny przyodziewek, napół mniszy — pół rycerski, suknie, przylegające ciasno, dawały rozpoznać budowę ciała silną, kościstą, ale wychudzoną i zeschlą.

Na widok wchodzących brwi mu się ściągnęły mimowolnie i natychmiast stanął na nogi, z poszanowaniem głowę spuszczaając; lecz zachwiał się i o stół oprzeć musiał.

Brat Bernard, którego oblicze zwykle było surowem, starał się, wysilając napróżno, złagodzić wyraz jego i z dobrocią zbliżył się ku chłopcu.

— Cóż to? słyszę, żeście jeszcze dotąd chorzy! — rzekł, głos miarkując. — To źle! Cóż wam jest? Ojciec Sylwester nic mi powiedzieć nie umie!

Młodzian, stojąc z oczyma w ziemię wlepionemi, milczał.

Szpitalnik tymczasem spojrzał na nietknięte jadlo, na dzbanek nieporuszony i ramionami zżymał.

— Boli was co? — dodał pytający troskliwie.

— Nic — nic — odparł chłopiec krótko i zimno.

— A cóż wam jest?

Na to drugie pytanie odpowiedź przyszła nierychło.

— Sił nie mam; — jęknął nareszcie chory.

— Jakże do tego przyszło, żeście je postradali? — badał Bernard.

Tymczasem Sylwester, przy stole stojący, machinalnie z niecierpliwości przebierał po nim palcami i na strop patrzył, jakby w skutek tych rozpytywań nie wierzył i wagi do nich nie przywiązywał.

— Ja nie wiem! — mruknął chory cicho i westchnął.

Na tem zdawało się wszystko skończone, gdyż chłopak nie okazywał najmniejszej chęci do szczerzej spowiedzi, a Bernard podbudzić go do niej nie umiał. Ojciec Szpitalnik ze swej strony pomagać mu do tego nie okazywał ochoty.

Stali milczący. Bernard, pomyślawszy nieco, uznał za właściwe dokończyć nauką moralną:

— Potrzeba — odezwał się — dziecko moje, modlić się, Boga prosić i Najświętszej Matki Jego, aby oni łaską swą was dźwignęli. Trzeba samemu też starać się tę bezsilność przemagać, ociążałość otrząsać, próbować, usiłować, nie poddawać się. Nieprzyjacieli rodu ludzkiego zastawia sidła na dusze i ciała. Modlitwa go odpędza.

W czasie tej nauki chłopak stał nieporuszony, z oczyma ciągle spuszczone, nie dając znaku, by ona wrażenie na nim czyniła. Stał, jak skamieniały; drganie tylko zdradzało wewnętrzny wysiłek.

Nie odpowiedział nic. Bernard patrzył nań długo, badał — ale milczący. Szpitalnik wtrącił:

— Masz może do czego smak? ochotę? mów. Do napoju jakiego? do jadła? Natura ludziom, równie jak zwierzętom, daje czasem zbawcze instynkta.

Czekali długo, nim chłopak się zebrał na odpowiedź:

— Oprócz czasem do wody — rzekł głosem słabym i przymuszonym — ja do niczego nie mam smaku.

Skończyło się tem rozpytywanie; brat Bernard zamruczał coś, lepsze czyniąc nadzieje, radząc spoczynek... leżenie, sen, i wychodził już. Szpitalnik, za idącym ku drzwiom postępując zwolna, ukradkiem popatrywał na chłopca, wciąż stojącego przy łóżku, ruszył ramionami i wyszedł.

Chory, gdy się drzwi zamknęły, padł natychmiast na łożo i, ręce na kolanach oparłszy, oczy zakrywszy,

zadumał się tak znowu, jak przed przyjściem tych, co go badali.

Lampka, pryskając, paliła się bladym płomykiem, który to się nieco do góry podnosił, to w glinianą miseczkę opadał, gdzie knot był zanurzony.

Kroki oddalających się niedługo słyhać było; ucichło znowu wszystko w grobowem milczeniu. Zdala skrzypnięto drzwiami parę razy i infirmerja jakby spała już, czy wymarła — nic się nie poruszało.

Chory nie kładł się, choć godzina wyznaczona do spoczynku dawno już była przeszła. Niekiedy podnosił głowę, przysłuchiwał się, to twarz rękoma osłaniał i, jak półsenny, siedział w obojętnem odrętwieniu.

Lampka coraz się głębiej dopalała. Ledwie dosłyszane drzwi skrzypnięcie w pierwszej izbie, która celę poprzedzała, rozbudziło osłupiałego. Ciche jakieś, ostrożne kroki zbliżały się ku progowi; drzwi się poruszyły powoli i, płaszczem otulona, postać jakaś wsunęła się do celi.

Jerzy czekać na nią musiał, bo z łóżka powstał, i twarz mu się ożywiła: trochę czucia, błysk radości ją oświecił.

Stojący w progu był chłopakiem tychże lat, albo mało co młodszym. Twarz pospolitą miał, niepiękną, ale łagodną, a w tej chwili wyrazem serdecznego współczucia uśmiechniętą. Krótko ostrzyżony włos, suknia z grubej tkaniny, liche skórznie na nogach, same rysy i budowa krępa, a niezgrabna, kazały się domyślać w nim prostego knechta.

W porównaniu z chorym, którego twarz miała w sobie coś pańskiego i odznaczała się prawie niewieścim wdziękiem, krwią jakąś wyszlachetnioną, wchodzący wyglądał gburowato, na pacholka. Dobroć tylko, na twarzy się malująca, czyniła tę brzydotę miłą, rysy grube i nieforemne oświeślała.



Chory, zobaczywszy go, uśmiechnął się. Gość zbliżał się z nieśmiałością, poszanowaniem i troskliwością wielką, na palcach, ostrożnie.

— A co! — zapytał pocichu — nielepiej wam?

Pytanie zadał w złej niemieckiej mowie, z przeciągłym obcym akcentem.

Chory głową potrząsał, usiadł na łóżku i przybyłemu wskazał ławę, bo innego siedzenia nie było. Ten umieścił się na rożku jej, a raczej uczepił tylko.

— Mów-że ty mi — rzekł, marszcząc się, chory — mów mi o tem, o czem wczoraj rozповідаłeś. Ja, sam zostawszy, gdy myślę, a myślę, coraz więcej przypominam sobie. Tak! ta mowa wasza, której ty mi kilka słów powiedziałaś, była mi znana w dzieciństwie. Jedno twoje słowo wydobyło ze mnie jakby utopionych i przysypanych dużo. Oni mi powiadają, że sierotą z Niemiec mnie przywieźli, ale kłamią. Dzieckiem słyszałem tę mowę, mówiłem nią; litewska to mowa, i ja Litwinem być muszę... tak, jak ty!

Teraz, gdy w te mroki lat dawnych się wpatruję, coraz mi więcej rzeczy na pamięć przychodzi, które, jakby mgłą były okryte. Mgła się rozprasza...

Chłopak, siedzący na ławie, palec położył na ustach, obejrzał się trwożliwie ku drzwiom. Wzdychał i tarł czoło.

— A! to nieszczęśliwa godzina, — wyjąknął, — gdy się o tem zgadało! Co już pomoże myśleć o tem? co wam pomoże wiedzieć? Z ich rąk, co raz w nie wpadło, już się nie wydobędzie. Patrzajcie na mnie. Mnie też pochwycili gdzieś z chaty chłopięciem, na powrozie przy koniu, jak bydłę, przygnali, ochrzcili, ostrzygli, kazali służyć — i muszę. Idą oni na moich, każą za sobą nieść tarcze i miecze; idę za nimi i niosę. Patrę, jak się moja krew leje, jak moi bracia giną... a! wszystko kipi we mnie, łzy do oczu się cisną; alem jak sam, i siły nie mam!

Jerzy podniósł się z łóżka trochę i, brwi ściągając, a ręce zacisnąwszy, szepnął:

— Zbiec przecie można!

— Dokąd? jak? — przerwał zastraszony pacholek. — Nacoby się nam to dziś przydało? Tamby już nikt nas nie poznał i nikt nie przyjął. Jeszczeby nas pozabijali, jak krzyżackich knechtów, bo dla tych przebaczenia niema. Służyć im trzeba, choć ich nienawidzimy. Taka dola, a swej doli nikt nie jest panem.

Pomyślał trochę i ciągnął znowu:

— Jeżeli oni was kiedyś z Litwy porwali, a chowali i pieścili, karmili, jak paniątko, i ubierali; czy oni dziśby zbiec pozwolili? Patrzą oni na was podwójnemi oczyma, a gdyby najmniejsza poszlaka... ho! ho!..

I ręką pociągnął sobie po szyi, jakby ścinał głowę. Chory Jerzy dumął głęboko.

Przerwała się rozmowa, i zaczął pacholek, siedzącego rozpytywać o litewskie nazwania rzeczy różnych: jak się matka, ojciec, brat, dom, ogień zowią? Słuchając, zadumywał się, za głowę chwycił, brwi ściągał, a oczy mu połyskiwały.

Pacholek dziwił się, ciekawił, wzdychał, ręce załamывał i coraz to przypominał, że cicho mówić było trzeba.

— Był tu stary Bernard? — spytał wkońcu. — A co on tu robił u was! On darmo nigdy nie chodzi. Posyłają go wietrzyć, gdy innym nosa braknie. Chytry to, a straszny człek, co, jak spojrzy, nawylot przekole. Na zamku on niby niczem, — taki brat, jak drudzy; do starszyny nie liczy się i z nią nie chodzi; stoi na boku. Urzędu nie ma; a boją go się najstarsi, i może, co zechce. Wciska się wszędzie, nigdzie mu drzwi nie zamykają; podpatruje, słucha, odgaduje. Na kogo popatrzy, ciarki mu biegną po skórze. Jego tu niedarmo do was wysłali. — Czyście się przed nim z czem nie wydali?

Jerzy na to pytanie pogardliwie i dumnie ramionami poruszył.

— Och! — rzekł — ani słowa nie dobył ze mnie!

— Szpitalnik — mówił pacholek — gbur, niecierpliwy, niby zły, gderze, popycha; ale dobre ma serce. Łaje chorych, gdy mu wyzdrowieć nie chcą, a dzień i noc koło nich chodzi, jak matka; a ten!... Dość, by popatrzył... zdaje się, że zje oczyma!

Chory Jerzy już dumał, i nagle, jak przebudzony, zawołał:

— Kunigas? Kunigas?

— Aha! tak u nas najstarszych panów zowią, — odparł chłopak.

— Ja dobrze pamiętam — rzekł Jerzy, bijąc się w czoło, — że mnie dzieckiem na rękę piastująca kobieta tem imieniem uspokajała i wołała.

Śluchający parobczak obie ręce podniósł do góry i, jedną z nich prędko kładąc na ustach, nakazał milczenie mówiącemu. Wstał aż, przestraszony.

— Na Boga! Na Boga! — szeptał — cicho! cicho! Po mnie już dreszcze przechodzą. Gdyby oni doszli, że wy się o tem przeze mnie dowiedzieliście, żywbym nie został, a i z wami coby było... któż wie?! Cicho, panuniu, cicho!

Jerzy dumał, na rękę podparty. Ze zmarszczonego czoła wnosić było można, iż myśl w nim pracowała, aby z mroków przeszłości dobyć dawne wspomnienia. Pot kroplami okrywał mu skronie.

— Litwa! Litwa! — począł powtarzać. — Mów ty mi o niej. Ty ją musisz lepiej pamiętać... widziałeś ją, chodziłeś na nią z nimi. Mnie oni mało kiedy za wrota wypuszczali; a na dalsze wycieczki, chociaż się im prosiłem, nim się odkryło, kto ja jestem... brać mnie nie chcieli.

Mówili mi, żem za młody, i czekać kazali. Litwa! — powtórzył, wlepiając w pacholka oczy, który drgnął,

słyszając ten wyraz, i cała pocziwa twarz jego okryła się cieniem tęsknoty. — Litwa! mów o Litwie!

Parobczak się zadumał rzewnie, w obie ręce ujął głowę i kołysał nią długo, nim z jękiem wychodzącym z duszy mówić począł:

— „Litwa! oj, Litwa! inny to kraj, obyczaj inny, świat i ludzie inni“.

„Mnie ona jeszcze w oczach stoi, w snach się roi! Tyle lat, a jakby wczoraj, czuję postronek, na którym mnie przywlekli. Litwa, kunigasie mój, gdzież taka jest? taka, kędy nie dosięgnął miecz krzyżacki, jak ją przed wiekami nasi bogowie stworzyli?“

„Tu, na zamkach, co zobaczysz, wszystko robota człowieka, który psuł dzieło Boże; a tam inaczej. Bóg nie w kościele siedzi — wszędzie ich pełno... Pełno bogów, pełno Boga. Rosną sobie nietrzebione lasy, puszczę ogromne, a po nich dziki zwierz buja razem z dzikim człowiekiem. Zwierz i ptak, człowiek i drzewo, wszystko bracia rodzeni. Niedźwiedź gada do ludzi, pies z ptakiem rozmawia, rozumieją się. Zabijają się, jak bracia, ale jak swoi z sobą gadają“.

„Łoś z myśliwcem się łąje, kukulka dziewczętom pieśni śpiewa, których one od niej się uczą. Wiatr nawet i burza mowę dla nas mają zrozumiałą... Jak dąb Perkunów zaszumi, wejdaloci słuchają i tłumaczą“.

„Wszystko tam takie, jak ten wielki Bóg, który małych ma pod sobą tysiące, stworzył, aby ziemia pusta nie była, kiedy jeszcze księżyc ze słońcem się żenił. W każdym drzewie i pniaku siedzi duch, co go strzeże; w każdym strumieniu mieszka bogini, co przez szklane wody patrzy, pilnując ludzi i stworzeń. Diwy rozkazują zwierzętom, one wprost umieją do serca mówić człowiekowi, tak, że on nie wie, skąd mu głos przychodzi, a czuje, że to Boży... We śnie, na jawie, z góry, z pod ziemi szepcą do niego, bo bogów wszędzie pełno, nawet w ziarnach piasku“.



„O! panuniu mój! Jakie to tam życie, jakie życie! a swoboda po lasach i polach! Jakie to tam pieśni płyną i srebrny śmiech się rozlega, gdzie krzyżaków nie było! Bo gdzie oni przeszli, śmierć przeszła z nimi“.

„Prawda! niema szat takich, ani sprzętu takiego, ani domostw z kamieni, ani kościołów, w których Boga na klucz zamykają. Tam wszystko otworem, drzwi chat naościę, ziemia — ludziom cała. Wszędy Bóg lata swobodny i mieszka, kędy chce, a człowiek też. Ziemia wszystka, jak szeroka, nie krajana, lasy bezpieczeństwa. Kunigas siedzi na gródku, na wysokim, ale poto tylko, aby zdaleka patrzył, gdy wróg nadciąga, a panuje, aby bronił od niego. Za to mu osyp dają i daninę“.

Zadumał się parobczak i dodał jeszcze:

— „Na Litwie niema, jak tu, ludzi, którym nie wolno spojrzeć w oczy kobiecie i do dziewczki się uśmiechnąć. Nasi wejdałoci i dziewice wejdałotki chodzą swobodnie; a choć im się żenić nie wolno, żyć i śmiać się, i śpiewać nie bronią. W wiankach chodzą boże sługi, wesoło uśmiechając się sobie i światu“.

„My tu, jak bydło w oborze, siedzimy zamknięci; na gród nawet starej baby nie puszcza, żeby im dziewczyny nie przypominała. Oj! Litwa! — westchnął. — Kunigasie mój, świat inny, a lepszy... tylko dla nas on zamknięty“!

Jerzy się zasepił i spytał:

— Ale oni przecież jedyne, prawdziwego Boga znają, ci krzyżacy, a myśmy się go od nich znać i chwalić nauczyli.

Parobczak, głowę spuściwszy, wzrokiem wylekłym potoczył po celi.

— Straszny ten ich Bóg! — zamruczał, — wojuje i zabija! Prawda! i nasz piorunami ciska, ale tylko na winnych, a oni krew leją, nie pytając jaką. Widziałem niemowlęta, pomordowane po chatach, a czem

one zawiniły? Ich Bóg nienasycony, bo mu całej ziemi potrzeba, a nasze panowały u siebie w domu i cudzego nie pożądały.

Jerzy słuchał bacznie, brwi mu się ściągały i powieki opadały na oczy. Nic nie mówiąc, głową potrzasał.

Parobek odważył się dodać:

— Oni przecie sługami bożemi się mianują i powiadają, że pełnią wolę Jego. Naszym wejdałotom miecza nie wolno tknąć, ani innej krwi, nad bydłęcia ofiarnego, przelewać. Ich Bóg krwi pożąda.

Jerzy siedział milczący; wzdychali oba.

— Pamiętasz Litwę? — wtrącił chory.

— Ja? lepiej od was, — prawił drugi — mnie już sporego porwali z lasu od trupa ojca i matki, kiedyś już po ziemi chodził sam i na drzewa, jak kot, się wspinał. Byłbym zbiegł, ale, gdy mi powrozu popuścili, za późno było. Knecht na pętlę wziął i ciągnął mnie za sobą, okrwawionego, zbitego, choć jak wilk wylem z bólu i strachu. Zamknęli potem do szopy z innymi, a myśmy ją podpalili, aby uciec. Nie pomogło; pochwytali. Bili potem i męczyli, abyśmy zapomnieli mowy i pieśni, a uczyli się ich szwargotu. Alem ja pochował tak głęboko, com wyniósł z lasu, że mi ten skarb z życiem odbiorą. Nie oduczili mnie kochać, co swoje, ale kłamać nauczili.

Uśmiechnął się chytrze i dziko.

— Popytajcie ich teraz! Mówią, że lepszego pachółka niema nade mnie, ani posłusznieszego. A co? kłaniam się im do ziemi, rąbek szaty całuję, sławię ich, dziękuję, śmieję się, żeby myśleli, żem taki szczęśliwy. A co u mnie w duszy — to moje!

I napół nucąc, pół mruczając, dodał:

— Któż to wie? kto wie! Są kunigasy jeszcze, ludu siła. Przyjdzie może i na Litwę godzina i dzień na litewskie dzieci!

Jerzy nie odpowiadał. Kunigas! Kunigas! chodziło mu po głowie i szumiało.

Wtem lampka przygasać zaczęła, sycząc; pacholek się porwał nagle, przestraszony, że się opóźnił. Zbliżył się do zamyszonego, pochylił się przed nim z pokorą i czułością.

— Kunigasie mój! — szepnął, usiłując za rękę go pochwycić — nie zabijajcie się wy tęsknotą. To nie męska rzecz kwilić. Mężowi przystoi gniew, a niewieście smutek. Ona go wyśpiewa i wyleje z siebie, gdy jej duszę naciśnie; my z nim, jak z trucizną, chodzić musimy. Trzeba żyć. Któż wie? kto wie? — powtórzył — i na nas przyjdzie godzina i dzień na litewskie dzieci.

Jerzy spojrzał nań i zlekka go po ramieniu uderzył.

— Idź! — rzekł — tobie czas. Szpitalnik nigdy nie śpi, i po nocy nawet śledzi. Nużby cię tu zastał. Wracaj; a jutro, gdy się wymknąć potrafisz, przyjdź mi mówić o Litwie. Tyś mi pierwszy objawił krew moją — i coś się we mnie zbudziło. Czy to sen? czy wspominki? czy pokusy szatańskie?

— Szatańskie? — rozśmiał się parobek z niedowierzaniem. — Na Litwie, u nas, szatanów niema, tylko bogi, sługi wielkiego Boga, raz dobre, drugi raz złe, jak on im przykaże. To oni szatana sobie zmyślili. Nasz Perkunas-by go nie zniósł i wnet piorunemby go wgniótł w ziemię, a nie dałby mu przeciw sobie gospodarować! Ho! ho!

— Cicho, nierozumny! — zawołał Jerzy. — Spraw bożych z ludzkiemi nie mieszaj; co ty wiesz?

I bojaźliwie, ukradkiem, krzyż zakreślił na piersi. Ale ruchu tego nie dojrzał już Rymos, bo się co prędzej przez drzwi, napół otwarte, wymknął i, jak mysz, cicho do izby chorych na swój barłóg pusty prześlizgnął.

## II.

Zamek marjenburski (malborski) w owym czasie, choć do niego jeszcze dobudowywano wiele, choć go kończono i powiększano, stał już tak wspaniale zarysowany, jakim później widzieliśmy go w majestatycznych ruinach, nim niesmaczna restauracja z nich go do trupiego życia jakiegoś nie dźwignęła.

Na szczycie pagórka piętrzył się wysoki zamek, Hochburg, najstarszy z gmachów, zawierający kościół, groby i salę kapitulną; niżej, oddzielone od niego głębokim przekopem, wznosiło się średnie zamczysko, w którym życie powszednie rycerzy krzyżowych się skupiało; niżej jeszcze, ku łęgom i Nogatowi, dolny zamek zawierał gospodarskie budowle i mieszkania knechtów i czeladzi.

Mówiono naówczas, że te trzy obronne grody, które się stały stolicą Zakonu, co się już wyrzekł walki z niewiernymi na Wschodzie, połączone z sobą były, na wypadek niebezpieczeństwa, podziemnymi schodami, kryptoportykami, o których wnijsciu i tajemnicach wiedziała tylko starszyzna.

Na codzienne narady, w których uczestniczyli wielki mistrz, wielki komtur, marszałek, podskarbi, a czasem kilku starszych rycerzy, zbierano się zwykle na średnim zamku w sali, zwanej *rycerską*, której sklepienie jeden granitowy słup podtrzymywał.

Tu też nazajutrz, o schyłku dnia, znajdujemy starszyznę, na kamiennych ławach dokoła siedzącą, przy ogniu, na wielkim kominie rozpalonym.

Same płaszcze białe, same postacie rycerskie, ostre, ponurego wyrazu z brwiami najeżonemi, z pooranemi policzki, o szerokich ramionach, o piersiach rozrosłych, stworzone do noszenia zbroi i nawykłe do nich. Niemal braterskie rysów ich podobieństwo tłumaczyło się i jednością pochodzenia, — bo naówczas nikogo jeszcze,



oprócz Niemców, nie przyjmowano do Zakonu,—i szlachecką krwią, i rodzajem życia, który jednakowo piętnował wszystkich.

Każde jednak z tych męskich oblicz, prawie książęcą jakąś dumą i wyrazem siły naznaczonych, miało odrębny charakter, gdy życie w nich zagrało.

Wielki mistrz najbliżej stał komina. Był to mąż poważny, lecz nieprzyjemnego wyrazu twarzy. Oko jego biegało niespokojne, usta gryzł, czoło marszczył i choć był pomiędzy swoimi, między najzaufańszymi, zdawał się niedowierzająco na nich spoglądać.

Nieodstępny, od niedawnego czasu, od zabicia mistrza v. Orselen przez mściwego Endorfa, kompan, dodany wielkiemu mistrzowi, stał zdala u drzwi, z saliki tej do mieszkania jego wiodących.

Był to najmłodszy ze zgromadzenia, z bystrem wejściem, pięknej rycerskiej postaci chłopak, który trzymał się na uboczu, jakgdyby na starszyznę nie zwracając uwagi, bo do jej narad nie miał prawa należeć. Postawiony na straży, nie mógł opuścić stanowiska. Zwano go hrabią v. Henneberg.

Mistrz Luder, oprócz niespokojnego oblicza i dumy, jaką mu książęce urodzenie dawało, nie odznaczał się niczem.

Twarze wielkiego komtura, marszałka i podskarbiego, dygnitarzy, składających radę tajemną, więcej miały wyrazu i dozwalały się domyślać, że władza wprawdzie była w ręku mistrza, ale siła kierownicza w głowach tej starszyny, spokojnej, pełnej siły i wiary w siebie, przejętej wielkiem posłannictwem, jakie spełniała.

Oprócz wielkiego komtura i wymienionych, rycerz Bernard, któregośmy już widzieli wczoraj, tak odziany, jak w kaplicy, tak niby mało znaczący i bez urzędowego stanowiska, jak wprzód, w ciemnym kącie siedział na ławie, niby świadek niemy i obojętny.

Na twarzy mistrza Ludera malowało się, oprócz niepokoju, znudzenie i znużenie, jakby go na tę naradę wyrwano, gdy potrzebował wytchnienia.

Rozmowa, cicho prowadzona, była niby przygotowaniem do ogólnej.

Komtur parę razy, nim ją rozpoczął, spojrzał na kompana mistrza, Henneberga; a widząc, że skazówki, dawane mu oczyma, nie starczyły, zbliżył się doń, poszeptał, i — kompan za próg się zwolna wysunął.

Mistrz Luder niecierpliwie nogą popchnął głównią, która się wytoczyła z komina, obejrzał się i zamruczał:

— Mówcie; poczynajcie: słucham!

— Najlepiej pono będzie, gdy wam tę sprawę tajemną, która dla Zakonu wielkiej wagi być może, opowie i objaśni brat Bernard; — odezwał się wielki komtur, spoglądając ku niemu.

Mistrz, namarszczywszy się, oczyma groźnemi rzucił na siedzącego w kącie. Z wyrazu twarzy domyślaćby się było można, iż tego brata Bernarda nie lubił.

Powołany powstał zwolna, zdając się o to niewiele troszczyć, i krokiem mierzonym przybliżył się do zgromadzonych u komina.

Milczano, on się namyślał, ale bez troski, zimno; a przystąpienie do wielkiego mistrza, którego oblicze niechęć mu zwiastowało, nie zdało się go nic kosztować.

Dziwnie był pewny siebie.

— Mówcie, bracie Bernardzie! — potwierdził marszałek.

— Sprawa ważna — odezwał się Bernard — nikt lepiej jej nie zna ode mnie. Trzeba coś postanowić, czas jest wielki. Idzie o tego chłopaka, książątka litewskie, któreśmy lat temu dziesięć przeszło porwali z rąk matki i chowali nie bez celu. Jam ocalił go i, za moją radą, daliśmy mu tu urosnąć, aby z niego, swego czasu, zrobić narzędzie dogodne, które nam krwi przelewu oszczędzi. Chłopak...

Wielki mistrz przerwał opowiadającemu ruszeniem ramion i głowy.

— Nie wielką macie zasługę, żeście to wilczą dzieckie hodowali. Co nam po niem? Było mu łeb rozbić o sosnę.

Rozśmiał się pogardliwie brat Bernard, jakby nie poczuł szyderstwa.

— Przydać się może — rzekł obojętnie. — Matka, wdowa, włada kawałkiem kraju na granicy i ma twierdzę mocną, którą zdobyć nam trudno. Przywiązana jest do dziecka. Któż wie?... Dziecko wychowało się w wierze chrześcijańskiej i przywiązało się do nas; sprzymierzeńca gotowego mamy i lennika. Wszystko to już cię warte kawałka chleba, który kosztowało...

Mistrz powtórnie ramionami ruszył i rozśmiał się.

— Wolałbym mieć kilkuset rycerzy i kilka tysięcy ludu na ten gródek, niż takiego zakładnika. Matka miała czas odboleć i zapomnieć o nim; on — zawsze niepewny. Nuż się tam krew odezwie. Cała ta rachuba dziesięciu kopij niewarta.

Błysnął oczyma, Bernard stał nieporuszony. Wtem marszałek przemówił, spoglądając naprzemian, to na mistrza, to na brata Bernarda. W starszyźnie widać było wielkie poszanowanie dla skromnego owego brata; tylko mistrz lekceważąco nań spozierał.

— Owego czasu, gdy się nam to dziecię do rąk dostało, — rzekł — rada nasza cała była tego przekonania, że je należy chować i na rycerza sposobić. Rzecz zresztą dokonana; dziś to, co wzięliśmy w spadku, zużytkować należy.

— Nie zataję tego — przerwał spokojnie Bernard — że nowe są trudności. Gdzie idzie o sprawę Zakonu, tam i do błędu przyznać się nie wstyd, obowiązek. Chłopak się hodował szczęśliwie aż dotąd, a teraz właśnie spróbować trzeba, czy matka, jakby się go jej zwróciło, nie okupiłaby dziecka ziemi kawałkiem. Pille-

nybyśmy może zań wzięli. Chłopiec też chrześcijanin, pobożny, gdyby się do Litwy dostał, namby, nie jej, służył.

Wniosek brata Bernarda widać starszyźnie całej przypadł do smaku, bo spojrzeli po sobie, jakby mu potakiwali. Wielki mistrz tylko stał u komina, pogardliwie zamyślony, nieprzekonany.

— Ja w takie roboty podziemne nie wierzę — zamruczał niechętnie — u mnie siła w mieczu, zdobycz w wojnie; z Polską, Litwą, z Pomorzem sporzyć, ucierać się na słowa, do Stolicy Apostolskiej chodzić na skargi — to są marne zabiegi. Czas tracimy na to i pieniądze. Naco nam to? Jak długi świat i szeroki — na nasze zawołanie; do krzyżowej wojny przeciw poganom biegną rycerze z całych Niemiec, Anglji, Francji, ze wszech krajów chrześcijańskich. To nasza siła; innej nam nie potrzeba. Dziećmi wojować — mizerna rzecz.

Nikt się nie sprzeciwił wygłoszonemu zdaniu; ale też potępienia rzuconego na Bernarda nikt nie potwierdził. Milcząca stała starszyzna, a gdy mistrz się ku niej obrócił, łatwo mu było wyrozumieć, że, choć nie miał jej przeciw sobie, nie miał jej za sobą.

— Wszystkie środki dobre, gdy do celu prowadzą — po dłuższem milczeniu odezwał się wielki komtur. — Nie gardźmy i tem, co nam w ręce dała Opatrzność.

Mistrz ramionami poruszył.

— Kto począł, niech kończy; — dodał, spoglądając na Bernarda. — Co się stało, nie możemy odrobić.

— Jam w istocie to dziecko ocalił i na nie rachowałem — przerwał Bernard.

— Czyńcież z niem, co chcecie! — nie dając mu dokończyć, zamruczał mistrz.

Zwrócił się do komina, jakby twarzy swej nasepionej ukazać nie chciał obojętnemu Bernardowi.

— Za poprzedników moich — począł — choć ja



im zasług nie ujmuje, namnożyło się Endorfów. Każdy chciał być panem na swoją rękę, każdy chciał mieć zasługi własne, tu, gdzie ani sukni, ani konia, ani sławy i znaczenia rycerzowi mieć się nie godziło. Więc czynił każdy, co chciał; ale na przyszłość tak nie będzie.

Bernard odparł powoli:

— Jeżeli mi to zarzucacie, jako winę, na co cała kapituła nasza dała przyzwolenie; zwołajcie Radę, każcie mnie sądzić. Stanę — nie opieram się; naznaczycie karę, pójdę na chleb i wodę, choćby z Endorfem.

Mistrz się odwrócił z twarzą wykrzywioną.

— Dosyć! — rzekł; gdybym chciał, nie potrzebowalbym zezwolenia waszego, aby was sądzić. Jakkolwiek wy tu, prosty rycerz, macie jakieś znaczenie nad stan i stopień, mieszacie się do wszystkiego, przewodzić chcecie wszystkim; ja — nie boję się was... nie boję!

Bernard skłonił się z pokorą razem i dumą jakąś:

— Nie przywłaszczam sobie tu nic, nad to, do czego każdy z nas rycerzy ma prawo. Władzy waszej zawsze byłem i jestem podległy.

To mówiąc, skłonił się brat Bernard naprzód mistrzowi, potem przytomnym, i drzwiami, wiodącemi do wielkiej, pustej jeszcze jadalni, wyszedł. Na kamiennej posadzce słyhać było chód jego, którego starcie się z głową Zakonu nie przyśpieszyło.

Wielki komtur, z marszałkiem najwyższą po mistrzu godność piastujący, z poszanowaniem, lecz bez obawy, zbliżył się do Ludera, który jeszcze patrzył za odchodzącym.

— Wasza miłość, — rzekł łagodnie — macie jakieś uprzedzenie przeciw niemu. Obeszliście się z nim ostro. My przywykliśmy go szanować. Ma długoletnie i wielkie zasługi w Zakonie, i tę największą, że, choć mu kapituła kilka razy dostojęństwa wyższe ofiarowała, odrzucał je zawsze.

— Tak! — odparł mistrz — wolał, nie mając ani tytułu, ani obowiązku, do wszystkiego się mieszać, podglądać wszędzie i rządzić potajemnie. Ja nad sobą, ani obok siebie, takich skrytych pomocników nie zniosę.

Starszozna spojrzała po sobie, a wielki komtur zapewne dalszy o to spór uznał niewłaściwym, bo zamilkł.

Obrót i koniec rozmowy zasępił czoło Luderowi. Czuł może, iż się niepotrzebnie zdradził. Ku marszałkowi się obróciwszy, spytał o przygotowania do wyćieczki na Litwę.

Zapewniono go, że wszystko było w gotowości i że mrozów tylko czekać mieli, aby im błoto i trzęsawiska stężały.

Wielki komtur oznajmił, iż o nadciągających ochotnikach z Niemiec przyszły wiadomości.

Wszystkie te uspokajające nowiny nie potrafiły jednak mistrza rozweselić. Pozostał zamyślony, jakby gniewu przeciwko bratu Bernardowi nie pozbył się jeszcze.

Po chwili, przeszedłszy się po salce raz i drugi, na drzwi do swej kapliczki i sypialni spojrzał, — ku temu pamiętnemu przejściu, w którym Orselena zamordowano, — i skłoniwszy głowę przytomnym, oddalił się ku mieszkaniu swojemu. Oczekujący za progiem kompan, Henneberg, drzwi mu otworzył.

Pozostali zabierali się także do wyjścia.

— niesprawiedliwym jest jeszcze mistrz względem brata Bernarda — pocichu począł podskarbi — mało go zna chyba.

Wszyscy to zdanie potwierdzili głowami.

— Jest to istotnie mąż poszanowania godny i najwyższej dla Zakonu zasługi; — dodał marszałek. — Drudzy o sobie zawsze pamiętają potrosze; — ludźmi jesteśmy; — ten nigdy o niczem nie marzył, prócz wiel-

kości Zakonu, prócz jego dobra, i niemal człowiekiem być przestał, tak w tę suknię wrósł, którą nosi.

— I sławy, ani znaczenia dla siebie nie szuka, — rzekł komtur. — Lecz Luder go później nauczy się lepiej cenić.

— A za Bernarda ręczyć można, — dorzucił, uśmiechając się, marszałek, — iż przez to na Endorfa nie wyrośnie i, zamiast myśleć o zabójstwie, samby się dał zabić dla Zakonu.

Ogień powoli przygasał na kominie, starszyczna rozchodzić się zaczęła.

Wielkiemu komturowi na sercu leżało, iż Bernard odszedł pokrzywdzony i dotknięty niesprawiedliwymi wymówkami. Z sali rycerskiej udał się wprost do jego mieszkania, — tu go nie było.

Izdebka, którą on oddawna miał przywilej sam zajmować, choć wielu innych po dwu mieszkali, ogłoconą była ze wszystkiego, co by ją wygodniejszą uczynić mogło. Prawdziwie zakonne ubóstwo w niej się rozpościerało wśród nagich ścian, na twardej, ceglanej podłodze, ledwie w części matą z sitowia pokrytej. Łóżko było niemal barłogiem, rynsztunek na konia w kącie rzucony, wedle starej reguły, żadną nie świecił błyskotką.

Gdy u innych rycerzy coś zdradzało jakieś ludzkie upodobanie, fantazję i nałogi; tu czuć było, iż mieszkał człowiek, dla którego obojętnem było wszystko.

Najsurowsze oko nicby przeciwko ostrym prawom pierwotnym, dziś wielce już zwolnionym, nie dostrzegło.

Z poszanowaniem też na tę izdebkę anachorety wojaka popatrzywszy, komtur miał się oddalić, gdy gospodarz jej się przybliżył.

W twarzy jego nie widać było ani oburzenia, ani gniewu za wyrządzoną mu krzywdę. Wracał, zajęty widocznie czemś innem, i spostrzegłszy w progu wiel-

kiego komtura, z poszanowaniem go pozdrowił. Razem weszli do zimnej celi.

— Bracie Bernardzie! — odezwał się raźnie dygnitarz, ton mowie nadając wesoły, — przychodzę do was, abym pocieszył. Luder was nie zna, a władzy swej jest zazdrosnym; wybaczyć mu trzeba.

— Z całego serca! — zawołał, uśmiechając się, Bernard. — Tu ani o mnie, ani o niego nawet nie chodzi. Myśmy słudzy wielkiej sprawy, narzędzia, które bodaj się pokruszyły, byle ona zwyciężyła.

— Świącie mówicie — potwierdził komtur — czyńcież wedle tego.

— Inaczej nie myślę — odparł Bernard. — Dla mnie główna, że mi dozwolił w tej sprawie postąpić, jako zechcę. Doprowadzę więc ją do końca, a nie powiedzie się...

— Dlaczego ma się nie powieść? — spytał komtur. Bernard się namarszczył trochę.

— Dlatego, — rzekł, — że w ludzkich sprawach pewnego niema nic, i że najpotężniejszego siłacza głupie ziarno piasku obali, gdy, nie widząc go, poślizgnie się na niem. Tak i ja. Chłopakam chował, rósł mi na pociechę, a teraz...

— Chory? wyzdrowieje! — rzekł obojętnie komtur.

— Szpitalnik nic nie obiecuje; chłopak schnie — odparł Bernard. — Chodzę, śledzę, nic nie wiem, a czuję, że coś na tę duszę młodą padło; bo to nie choroba ciała. Zmienił mi się. Obawiam się...

Bernard nie dokończył.

Wielki komtur, chcąc się oddalić, rękę położył mu na ramieniu i dodał wesoło:

— A ja o was nie lękam się bynajmniej, ani o to, co wy przedsiębiorzecie. Bądźcie zdrowi.

Wyszedł.

W izbie prawie zupełnie było już ciemno, lecz drzwi



się zaraz po oddaleniu komtura otwarły, i chłopak wniósł lampkę, otulając ją rękoma.

— Gdzie Szwentas? — spytał pocichu Bernard. — Wołałeś go?

Posługacz głową tylko skinął i oddalił się. Nie siadając na chwilę, wielkimi krokami izbę mierzył rycerz, widocznie na kogoś oczekując.

Ileć kroki dawały się słyszeć w kurytarzu, stawał i ucha nastawiał.

Wtem drzwi uchylono; mała, gruba, niezgrabna jakaś istota, która w mroku więcej do niedźwiedzia, niż do człowieka, była podobna, wtoczyła się, sapiąc, do izdebki, zgięła napół, stęknęła i czekała, jak wkuta w posadzkę.

Trochę żywiej rozpalający się knot lampy dozwalał się przypatrzyć tej osobliwej człowieczej postaci.

Twarz okrągła, duża, wesoła, opalona, rzadkim włosem od dołu okryta, nie miała w sobie nic odznaczającego, oprócz wielkiej, a pospolitej brzydoty. Nic na nią nie ściągało oczu; było to oblicze człowieka z gminu, zestarzałego w pracy ciężkiej, zahartowanego, przygniecione go i do brzemienia nawykłego.

Szerokie ramiona, grube ręce, pierś wydatna, nogi krótkie, a jak pnie potężne, — całość jakaś przysadzista, niezgrabna, gdyby z jednej ledwie wyciosana sztuki, — niewiele po tem półzwierzęciu spodziewać się dawały. Naco takiego parobka, którego miejsce było przy koniach i stajni, mógł rozumny Bernard potrzebować?

Zbliżył się doń jednak żywo i spojrzał mu w oczy.

Szwentas nawzajem skierował nań wejrzenie, i do tąd niedostrzeżone źrenice jego zaświeciły, jeśli nie rozumem, to chytrą i przebiegłością, która się przed panem ukrywać nie potrzebowała.

W tym nieforemnym kadłubie mieszkało jednak coś

skrytego, obrosłego mięsem, zatajonego pod grubą skórą.

Zdradziły oczy, które wnet spuścił.

Z uśmiechem dziwnym, w którym było i coś po-  
chlebstwa, i coś radości, Szwentas pochylił się, ujął  
koniec białego płaszcza Bernarda i z pokorą go poca-  
łował.

Czekał na rozkazy.

— No, w drogę! — odezwał się Bernard cicho i pa-  
lec położył na ustach.

— Dobrze, ojezulku, w drogę to i w drogę! —  
z akcentem jakimś obcym, po niemiecku, łamaną mo-  
wą, począł schrypły Szwentas, który śmiał się ciągle  
i długi rząd małych, ostrych zębów pokazywał. —  
W drogę, to w drogę! — powtórzył. — Albo to ja się  
kiedy chorobą składam, jak drudzy? Ja gotów zawsze;  
kij w rękę i — ruszam... He? — a dokąd? — zapytał  
się, ciekawie zerkając oczyma.

Milczał Bernard.

— Gdyby na Litwę? — szepnął.

— O! o! albo to co? — rozśmiał się Szwentas; —  
jak trzeba, to i na Litwę. Czym to ja tam nie bywałem?

— Pójść trzeba, no, i cało powrócić! — dodał ry-  
cerz — na tem sztuka. Pójść, rozumnie, co trzeba, do-  
być ludziom z zanadrza, a mnie przynieść.

Szwentas się uderzył w piersi za odpowiedź całą.

— Ale patrz! patrz, — mówił Bernard, — ty bestjo  
litewska, aby ci, na wolność puszczonemu, nie zasma-  
kowało dzikie życie i dawny sprośny obyczaj, abyś  
mnie nie zdradził i Zakonu! dobyłbym cię z pod ziemi  
i, jak psa, obwiesił.

Cały się poruszył i poskoczył niemal parobek, sły-  
sząc tę przemowę. Grube dwie pięści podniósł do góry.

— Nie znacież wy mnie! — zawołał niemal gniew-  
nie. — Albom to ja dla was tam nie chodziłem, nie raz,  
nie dwa, a dziesięć razy, szpiegując, podpatrując i do-

nosząc wiernie? Albo to mnie co ta dzicz, te pogany? albo wy mojego życia nie wiecie, serca nie znacie? Przecieżem się ja wam sam oddał w ręce, aby się mścić na moich do żywota, póki duch w ciele. A toż mnie, powieszonego przez swoich, matka odcięła. Zabrali mi moję dziewczynę, spalili chatę, wszystko niesprawiedliwie. Oni mi ani bracia, ani krew moja, ale wrogi. Potom szedł służyć wam.

W łkaniu jakimś słów mu nie stało i, uspokoiwszy się dopiero, dokończył:

— Dokąd iść, ojczulku? Byle ich krew potem popłynęła, pójdę, o! pójdę!

Bernard się nie namyślał. Nachylił się do parobka:

— Pilleny wiecie? — spytał.

Chłop głową dał znak i brwiami, że je znał.

— Siedzi tam...

— Stara Reda, kunigasowa żona — przerwał Szwentas — ta, której syna małem chłopięciem porwano i zabito. Baba zajadła za trzech srogich mężczyzn stanie. Tam wleźć, to jak w osie gniazdo wpaść, lub w mrowisko spać się położyć.

Bernard spojrzał.

— Nie chce ci się? — odparł.

Szwentas się rozśmiał, ruszając barkami szerokimi.

— Ja się ni os nie boję, ani mi mrówki straszne — rzekł, — a od czego rozum? a naco Bóg dał chytróść? I rękoma znak jakiś zrobił przed sobą.

— Do Pillen ci trzeba nie tylko pójść, — mówił rycerz, — ale i posiedzieć może. Reda musi po synu płakać; ma go może, jak ty, za zabitego; a coby było, gdyby żył?

Szwentas począł się śmiać.

— Za żywego! o! o! dobryby okup wziąć można! — rzekł, wahając głową, i zniżył głos: — Żywy, czy nie, lada jakiego chłopca jej dobrać do wieku i do włosa; po tylu leciech nie pozna.

— Ale go też może i nie zabito naówczas, gdy porwano — odezwał się głosem poważnym rycerz. — Zważaj, Szwentas, że ty... ty... skąd się opowiesz?

— W Pillenach? — rzekł, dumając parobek — kto to wie, skąd wypadnie?

— Opowiadaj się z nad granicy; a kim? — spytał Bernard.

— Kim? a no... żebrakiem, wróżbitą? włóczęgą? — zamruczał Szwentas.

— Powiesz, żeś po ludziach słyszał, iż wieści chodzą po krzyżackich zamkach, jakoby gdzieś porwane chłopię wychodowali i żyje.

Szwentas w ręce klasnął.

— Ja im zełgę, jak należy! nie bójcie się! — dodał ze śmiechem.

Bernard zadumał się. Dalszy plan potrzebował namysłu. Nie chciał się zupełnie zwierzać swemu półdzikiemu posłowi, który tymczasem bystremi oczyma zdawał się mu myśli dobywać z duszy i uśmiechnął się chytrze.

Bernard przeszedł się po izbie.

— Dość na tem, — rzekł — idź, praw, co ci kaza-no, a bacz pilno, co powie? co się jej wyrwie z serca? Matką jest.

— Babą jest! — dodał Szwentas — alem ja o niej słyszał. Już ją zemsta dawno na męża przerobiła. Tylko nią dysze za to dziecko jedyne.

— Tem lepiej — przerwał Bernard — a gdy się do-wie, że żyje?

Szwentas sobie dłońmi usta zamknął i głową, a so-bą zaczął potrząsać i rzucać. Czy śmiał się, dziwował, czy niepokoił, — rozeznac było trudno. Śmiał się, cho-ciaż teraz śmiech jego mniej był wesoły i szczery.

Bernard zbliżył się doń i powtórnie wszystko to mu powiedział, czego po nim wymagał. Chłop głową po-

twierdzał każde słowo, a bystre oczu wejrzenie poświadczало, że pojmował dobrze powinność swoją.

Wreszcie znów koniec płaszcza pochwycił i pocałował.

Pochylił się potem do samej ziemi, zawrócił i wytoczył z izby.

Bernard pozostał sam. Ani rozmowa z wielkim mistrzem, która innegoby zburzyła, ani rozkazy, dane w tak ważnej sprawie Szwentasowi, nie odjęły mu tego spokoju, który lata wyrobiły, zahartowując go.

Chodził i myślał już może o innej sprawie Zakonu, stawając niekiedy i skupiając się w sobie, a czoło pocierając.

Zastukano do drzwi. Bernard się zdziwił późnym odwiedzinom; ale poszedł sam otworzyć. Zwolna i ostrożnie wchodzący o kiju ukazał się człek bardzo stary i przygarbiony. Miał na sobie suknię zakonną bez płaszcza, bez krzyża, bez żadnej oznaki; lecz z wejrzenia poznać było można męża, który się czuł dostojnym, jeśli dostojeństwa nie piastował.

Jak śnieg, białe włosy wyglądały z pod czarnej, ciepłej czapeczki, której, wchodząc, nie zdejmował; krótko podcięta broda i wąsy siwe okalały twarz piękną, ale kilku bliznami naznaczoną.

Jedna z nich krwawem znamieniem przecinała nos i policzki, druga głęboki dół wyryła w skroni. Starzec włókł jedną nogę za sobą napół bezwładną, a kościstych rąk palce miał ponabrzmiwiałe i pokrzywione.

Była to ruina, lecz piękna i obudzająca poszanowanie. Lica, zmarszczkami okryte, zachowały wyraz męskiej odwagi i dumy. Mieszała się do nich gorycz jakaś, która usta ściągała smutkiem i szyderstwem.

Był to stary, najstarszy z rycerzy krzyżackich, na tej ziemi wojujących, Kurt, hrabia Hochberg, którego można rodzina pochodziła z nad Renu. Lat temu kilkadziesiąt, wskutek familijnych rozterek, po życiu



burzliwym, przybył on walczyć tu z pogany i pozostał. Złamany wojnami, w których wielokroć padał na pobojowiskach, szukając śmierci, zawsze cudem jakby uratowany, nie miał już do kogo powracać i przyrósł do swej kamiennej klatki. Bracia chcieli go nieraz obrać komturem, podskarbis, — byłby nawet mógł się o mistrzostwo ubiegać; ale, jak Bernard, brzemiona te odrzucał, i tak prawie, jak on, czuwał tylko z miłością wielką nad losami kolonji tej mieczowej niemieckiej, której sprawy obchodziły go najgoręcej.

Bernard jednak był czynnym, Kurt już tylko narzekał i gderał; a wszystko, co teraz nowego stanowiono, wyszydzał. Dawne zasługi zmuszały braci do znoszenia go, choć nieraz nazbyt gorzką karmił ich prawdą.

Stary hrabia rzadko ruszał się ze swej izby, a w jesiennej i zimowej porze, gdy mu pogruchotane kości dolegały, siedział opakowany w futra u komina. Przybycie jego do Bernarda nie było bez znaczenia. Domyślił się on, że musiało być w związku z wymówkami, czynionymi mu przez wielkiego mistrza.

Kurt miał sobie za obowiązek, sądząc, że brat boleśniej to uczuł, przyjść mu oświadczyć współczucie swoje.

— A co! — począł od progu — a co! mistrz Luder już zęby pokazuje! Nie znosi, aby tu kto śmiał co czynić, okrom niego! Już się do was uwiązał!

Bernard obojętnie podniósł ramiona.

— Żal mi was! — ciągnął niewyraźnym, bezzębnym głosem stary, — żal mi serdecznie! — ale to nie koniec na tem! Stary nasz Zakon, jego prawa i zwyczaje — wszystko młodzi będą przerabiali, aż ze świętej reguły zrobią poczwarną.

Ręką począł drżącą wywijać w powietrzu. Bernard, widząc go z ciężkością stojącego na słabych nogach, jedyny stołek mu przysunął. Siadł nań, stękając, Kurt.

Gospodarz wiedział, co go czekało; i musiał wysłu-

chać wszystkiego, co się długiem milczeniem nagromadziło w zbolałem sercu i głowie krzyżaka.

— Ja — mówił, spluwając i nie dając się odezwać Bernardowi — pamiętam inne czasy, ludzi innych, Zakon pierwszy, taki, jaki on tu z Palestyny przywędrował... toć najlepiej powiedzieć wam mogę... do zguby go wloką! Boga niema już u nas; Zakonu mało; rycerstwo rozbójnicze; rozpusta! pycha! Im dalej, tem gorzej.

— A ja tak źle nie wróżę jeszcze — zaczął Bernard.

— Boś sam dobry — przerwał Kurt. — Ja źle wróżę! źle! Oczy moje tego już widzieć nie będą, ale padnie Zakon, jako muł obładowany złotem na puszczy, i krucy mu boki wyjedzą, wyszarpią wnętrzności.

Bernard chciał stawać w obronie Zakonu, stárzec go do słowa nie dopuścił.

— Ty mało starych naszych czasów pamiętasz, — odezwał się. — Były to inne, lepsze czasy. Mieszkał w nas duch inny, byliśmy rycerzami Krzyża Chrystusowego i prawdziwymi zakonnikami; dziś z nas *Raubrittery!* Szło się na wyprawę, odpościwszy wigilją, z pieśnią o Bogarodzicy; nie potrzebowaliśmy ani łoża wygodnego, ani łańcuchów złotych na szyję, ani wina w drogę, ani kompanów i knechtów, by za nas nosili ciężary i zbroje. Wszyscy bracia byli równi... a dziś...

— My i dziś czujemy się równymi — rzekł Bernard.

— A patrzajże! — wtrącił Kurt. — Skąd wzięły się płaszcze szare! Kto się im ze czterech herbów nie wywiodł, szary nosić musi, choć szlachcic jest i tak dobry, jako i drudzy. Herb herbem; najmeńniejszy, gdy nie bogaty jest i pleców niema, szaro go ustroją. A te szaraki lepiej się odbijają od małych.

Patrzajże! — powtórzył, gderząc stary. — Wielki mistrz kompana ma; już ich biali wszyscy mieć muszą, a wkrótce jednego im będzie mało. Dawniej pig-

mentu w wielkie święta kubek dawano dla pokrzepienia, teraz go flaszami po izbach roznoszą. Dawniej nikt sukni nawet własnej nie miał na grzbiecie; teraz bez łańcucha biały nie wynijdzie do gości, a u każdego szkatuła stoi dobrze nabita. Nie wolno było do niewiasty przemówić; he! teraz starszyzna w mieście jawnie miłośnice chowa.

— Ojcie! — przerwał Bernard z wymówką.

— Bracie mój! nie kłamię i nie powtarzam; tak ci jest, Bóg mi świadek! I mówię, bo mi serce pęka, bo ja święty zakon Krzyża Chrystusowego kochałem, a zakonem Beliala brzydzę się.

Westchnął.

— Co za koniec! — zawołał po chwili zadumany, w podłogę oczy zgąsłe wlepiając; — taki, jak templariuszów, nas czeka! gorszy może! Królowie na nasze skarby się złakomią, papież się wyrodnym dzieci wyrzecz.

— Ależ my, dzięki Bogu, bałwochwalcami i apostatami, jak oni, nie jesteśmy jeszcze — rzekł Bernard.

— Słowem — nie, czynem — już! — zawołał starzec; — kto nie po bożemu żyje, ten się Boga zapiera.

Zmęczony, odetchnął Kurt i rękę do piersi żywo się poruszających przyłożył.

— Dziękuję wam za współczucie — odezwał się, z przestanku korzystając, Bernard, — ale ja tak bardzo do serca nie biorę Ludera. Niech sobie prawi i myśli, co chce; ja swoje robić dalej będę.

— A ja prawić swoje — rzekł stary. — I słowo śmiałe zda się na coś, gdy ręki podnieść siły nie pozwalają.

Westchnął i łagodniejszym się tonem zapytał:

— Cóż! gniew za owego chłopca, którego i po ludzku, i po chrześcijańsku wychowaliście, a uczyniliście rozumnie! Ten i tego zrozumieć nie chce.

Rozśmiał się szydersko.

— Jeszcze na biedę mi się rozchorował! — rzekł Bernard.

— Wyzdrowieje! — odparł obojętnie stary. — W tym wieku choroba niestraszna. Dorastać musi właśnie. Krew zburzona; potrzeba go na koń wsadzić i dać mu się wyhasać.

— Mówi ojciec szpitalnik, że już na konia nie siedzie — smutnie dodał Bernard.

— Dać go komturowi któremu, aby trochę więcej miał swobody — zamruczał stary.

— O wszystkim tem już myślałem; — dołożył Bernard — radziłem tak samo.

I nie dokończył. Stary nie przywiązywał wielkiej wagi do choroby. Sam tyle przetrwawszy zwycięsko, a uchowawszy życie, nie mógł pojąć tego, by lada choroba groźną się stała.

Pilniej mu było gderać i żalić się na to, co go otaczało.

Bernard słuchał go więcej przez poszanowanie, niż gorycz jego dzielając; dał mu się wynurzyć, dał odboleć; a gdy Kurt ruszył się wstać, bo mu tu zimno być poczynało, ujął go pod rękę i kurytarzami do izby jego odprowadził.

Cicho już było w murach dokoła, godzina spoczynku nadchodziła, rycerze biali układali się do snu; czeladź tylko snuła się jeszcze. Bernard, zamiast powrócić do mieszkania, po krótkim namyśle, wyszedł z zamku w podwórze i ku dolnemu, w którym szpital się znajdował, podążył.

Tu było mieszkanie wielkiego szpitalnika i pomocników jego; a Bernard wiedział, że nie tylko o tej godzinie, ale niemal przez noc całą, gorliwy, a żwawy starsuszek, Sylwester, nie kładł się na spoczynek.

Nie odgadł nikt nigdy chwili, w której on spał, lub się miał obudzić. Wedle starej reguły Zakonu, kładł się odziany, często siadał tylko się zdrzemnąć, i, gdy

służba sądziła, że zasypiał, zjawiał się z lampką w rękę przy łożu chorych, lub tam, gdzie stróże ich czuwać byli powinni.

Wybór Sylwestra na to jedyne w Zakonie dostojęstwo, które było powierzane ludziom, nie obowiązany ani się ze swych czynności tłumaczyć, ani zdawać z grosza rachunku, był tak szczęśliwym, tak jednozgodnym, tak usprawiedliwionym; iż nawet ci, co mu zazdrościli wielkiej swobody, jakiej używał, szemrać przeciwko niemu nie śmieli.

Było to uosobione miłosierdzie chrześcijańskie. Widok cierpień ludzkich zmiękczał mu serce i czynił go nieograniczenie wyrozumiałym, a łagodnym; a że człowiek, bolejąc, łatwiej się odkrywa, jakim jest, znał Sylwester ludzi lepiej, niż kto inny. A znając ich, nie oburzał się na nich, ale litował się nad nimi.

Bernard, choć w wielu się rzeczach różnił ze szpitalnikiem, szanował go, jak inni.

Cudem prawie zastał starego w izdebce, która woniała jakimiś wschodnimi balsamami, a zarzucona była mnóstwem gratów, sukni, płócien, garnuszków i butelek.

Sylwester spoczywał; lecz cichutki chód Bernarda obudził go; — porwał się zaraz na nogi.

Nawykły do snu przerywanego, nie potrzebował odzyskiwać pamięci; potarł ręką po twarzy, i ślady spoczynku z niej zniknęły.

— Naprzykrzam się wam? nieprawdaż? — rzekł, wchodząc, Bernard, — lecz przebaczcie! niepokój mnie nęka o to chłopię.

Szpitalnik ręce rozpostarł, dając do zrozumienia, iż nic pociesającego powiedzieć mu nie może.

— Niegorzej mu? — zapytał Bernard.

— I nielepiej, — szepnął stary.

Przybyły badał zachmurzoną twarz gospodarza.

— Nielepiej! nie! — powtórzył Sylwester. — Wczo-



raj jeszcze nie byłem pewny choroby: czy ze krwi przyszła, czy z ducha? bo są dwojakie. Dziś mi się zdaje, iż nie omylę się, mówiąc, że chorobą jakąś tęsknica...

— Za czem? — podchwycił ciekawie Bernard.

— Odgadnąć trudno; — rzekł szpitalnik — młodość, wiecie, ma nieodgadnione tajemnice. Mówią we Francji, że, gdy młode wino się burzą, stare w beczkach im wtórują; że gdy kwiat na wiciach się otwiera, sok wyciśnięty z jagód z tęsknicy wre w kadziach.

Urwał nagle.

— Mówcie! mówcie! — począł prosić Bernard, mocno zajęty niedokończoną tą mową.

— Wiecie, kto jest — zaszeptał Sylwester. — Któż wie, czy litewska krew nie kipi w nim, gdy gniazdu przelew grozi?

— Ależ nie wie on o sobie! — zawołał rycerz.

— Nuż, nie wiedząc, poczuwa się, kim jest?

— Jakże to być może?

— Któż z nas wie, co może być, a co nie może? — spokojnie odparł Sylwester. — *Sunt arcana rerum!* — rzekł pocichu, jakby sam do siebie.

Bernard się zadumał.

— Dziś nie był tak spokojnym i milczącym, jak wczoraj, gdyśmy go widzieli wieczorem — mówił szpitalnik. — Chodził po ciasnej izdebce, jakby się bił w klatce; na licu miał rumieniec, w oku gorączkę. Zdała mi się zdało, że nucił piosenkę; ale, gdym go o nią zapytał, nie przyznał mi się.

Bernardowi brwi się ściągnęły.

— Księżda mu potrzeba i modlitwy; — rzekł — dusza niespokojna. Antonjusza mu pošlemy.

Szpitalnik się nie sprzeciwił.

Nie mówili już, bo każdy zdawał się mieć myśli inne, a Bernard do celi swej powrócił, nie napierając się widzieć młodego wychowanka.

### III.

U stóp wzgórza stary Niemen płynie cicho; wyłożył sobie wiekami koryto spokojne, skrył się w niem, i choć wiosna wody mu doleje, choć deszcze strumienie za brzegi wyrzuca, on, ojciec, nie wyjdzie z łożyska, nie zagniewa się na łąki, nie wyskoczy na pola sąsiednie. Widać tylko na jego powierzchni pomarszczone fale, wirujące prądy, białą pianę, która, jak tanecznica, wkoło się obraca i o kamienie rozpryskuje; czasem się podniesie trochę woda, jakby groziła, i wnet, posłuszna, wraca, gościńcem swym ku morzu śpiesząc.

Młodsze rzeki dokazują, on nigdy, — miłosierny jest, jak ojciec.

Objął dokoła wydmnę piaszczystą i pagórek, opasał, uściskał, jakby go pokochał i chciał bronić. Bo też na nim stary pograniczny litewski gródek stoi, mało nie tak dawny, jak ojciec Niemen, co go strzeże.

Teraz tylko, gdy się Niemcy wciskają w cudze obszary, z małego grodziska stała się warownia mocna.

Patrzyli Litwini, jak się Niemcy budowali i trochę nauczyli od nich. Niegdyś takich tu okopów i ścian nie było potrzeba, — starczyło wału i ostrokołu, — teraz przeciw żelaznym napastnikom mało kamiennych zbroi.

A z kamienia ktoby tam klecił i lepił, gdy Pan Bóg dał drzewa twarde i grube, jak skał obłamy?

Strach spojrzeć zdala na Pilleny. Olbrzymy tam chyba poznosiły te kłody ciężkie, w człowieka całego szerokie, powiązane z sobą, jakby się zrosły. Nikt jeszcze takiej wyżyny ścian nie ważył się wznosić na Litwie. Dziesięciu ludzi, gdyby stanęło na ramionach jeden drugiemu, jeszczeby ich wierzchu nie dościgli. I dokoła obchodząc zamek, gdybyś oczyma szukał bramy, nie znajdziesz ani okna, ani szczeliny. Wszystko jak ulane z jednej bryły.

Tylko ze środka tego olbrzymiego stosu rośnie w górę słup drewniany, ogromny, z którego, gdy spojrzysz wkoło, na milę widać łąki, pola, lasy i Niemen, jak się poważnie obraca, wygina, zakręca, aby, gdzie potrzeba, ziemię obronił, ludzi napoił, czółno przyniósł i kamień przytoczył.

Zamek stoi na wzgórzu, a wzgórze na wyspie, która tylko wąskim ziemi pasieczkiem z lądem się wiąże; a i ten, gdy Niemen zechce, to go zakryje i dokoła swoje dziecko ramionami otoczy.

Pod osłoną zamkową, tuż, jak grzyby z ziemi, dobywają się numy, szałas, chatyny, — obozowisko czasu pokoju, pustka czasu wojny, z której mieszkaniec do Pillen ucieka. Tu i ówdzie wyrosła wierzba stara, została po lesie sosna sierota. Ponad wodami bujają łoża, jak zielone warkocze, poplątane z sobą, a z pośrodku nich także wierzby sterczą, straż trzymając nad tą dziatwą swawolną.

Wierzba stara — to niby żołnierz, który straszne boje pamięta i znaki ich na sobie nosi. Pień, pogięty od wiatrów, gdy był młodym, potrzaskany od piorunów, popekany od suszy, dziurawy, wyjedzony, spróchniały, często nawylot wiatr przepuszcza. Korzenie, jak palce konwulsyjnie ściśnięte, ziemi się trzymają, a kora na nich, jakby żyłami nabrzmiała.

U góry głowy niema, zerwała ją burza, gałązki tylko młode wyrosły, aby ranę zabliźnić i osłonić. Z jednej strony gałąź sterczy obita, jak ręka wyciągnięta, o miłosierdzie prosząca, z drugiej sęk, jak kość obnażona. Od pnia popuszczały wnuki. Gałęzie, susz, konary, kłoda pęknięta, razem wszystko poczwarnie wygląda; niby kona, a co rok się odmładza, wali się, a stoi, schnie, a żyje, i po nocy ludzi i zwierzęta straszy.

Cóż, gdy ich takich, jak w Pillenach od strony lądu, stanie na dolinie rząd cały, niby wojsko na straży? Zdala ci się wydaje, iż obry wyszły gródka obraniać...

Którą wiatér obalił, a legła, choć już tej wnętrzości żółte widać, przylgnęła do ziemi i puszcza wici nowe.

Był ranek ni jesieni, ni zimy; niebo szare, wiatr ostry, dokoła jakby wszystko wymarło, cisza i ani żywej duszy. Nawet w numach i kleciach życia widać nie było.

Jedna z wierzb u skraju, praprababka, z pniem napół rozdartym, rozkraczona, zdala więcej od innych poruszać się zdawała. U korzeni jej, wystających, popłatanych, jakby płachta wiewała jakaś, jakby się zwierzył mościł, czy człowiek przytulał.

Z ziemiłanki na osadzie wyjrzawszy, niewiasta dojrzała tu coś u pnia się poruszającego, popatrzała, głową potrząsała i napowrót się skryła do domu.

Wyszedł wkrótce człek, kozuchem nawierzch włosami obróconym okryty, począł się przyglądać bacznie; potem pałkę, u drzwi stojącą, krzemieniem nabijaną, w rękę wziął i wolnym krokiem ku wierzbie zbliżał się ostrożny.

Coraz lepiej rozeznąć było można siedzącego w dziupli, małego, grubego człeka, okrytego prostą sukmaną, w czapce z uszami długimi na głowie, z torbą na plecach i węzełkami u pasa. Z pod nacisniętej na czoło kapuzy wyglądała twarz okrągła, opalona, stara i brzydka. Prawie ponad nią sterczały ramiona przygarbione, a niżej — grubą kłodą nieforemną, popłataną, zwijały się ręce człowiecze i nogi płachtami i skórą poobwiązywane.

U nóg leżał kij gruby, a przy nim worek szary.

Odpoczywając pod wierzbą, na wszystkie strony rzucając oczyma, zobaczył i niewiastę, co go pierwsza postrzegła, i człowieka, co się teraz zbliżał ku niemu. Nie nastraszyło go to wcale.

Kulił się i do wierzby przytulał, jak do matki. Zwinawszy się w kłęb, palce w zanadrze pochował, głowę

wsunął w ramiona, i patrzył na zbliżającego się obojętnie.

Za wychodzącym z numy gospodarzem wprędce na próg się i pies żółty z sierścią najeżoną wysunął. Stał, pociągnął powietrze i szczebkał, zaburczał, zawał się, aż począł za panem iść, coraz żywiej, jakby mu pilno bronić go było.

Lecz im dalej, tem się na nim sierść bardziej nastrozębiać zaczęła, oczy wystąpiły z czaszki, wargi obnażyły zęby.

Gospodarz na psa się obejrzał i palkę ścisnął mocniej w ręce, bo psy czują nieprzyjaciela.

Lecz miałżeby to być wróg? Na Litwina wyglądał, a choć mu się nieprzyjaźnie zdał stawić nadchodzący, nie myślał się zabezpieczać, nie okazał ochoty ani do zaczepki, ani do obrony.

O kilka kroków od wierzby pan i pies stanęli. Pan się podparł na palce, pies siadł, podniósł łeb i zawył.

Zły to był znak.

Siedzący na ziemi poruszył się, ręce dobył z ukrycia, nogi wysunął i wstał. Człek był gruby, mały, stęporowaty, silny, ale niestraszny.

— Któż ty? co tu robisz? — zapytał pilleńczyk.

Podróżny rozśmiał się naprzód dobroduszenie.

— Toć widzicie! trzebaż pytać?—odparł wesoło.— Swalgon jestem biedny; na to zeszło nam, że i takim, jak ja, gdyby żebrakom i nędzarzom, włóczyć się potrzeba...

Niemcy nam dużo ziemi i ludzi zabrali. Wurszajtom i swalgonom, choć umierać z głodu, robić niema co. Gdzie się święty dąb ostał, to tam koło niego naszych, jak mrowia, i z ofiar pożywienia nie starczy. Bodaj Perkunas wytlukł tych, co nas uciskają!

Pies, słysząc ten głos, wyć nie ustawał, aż wieśniak musiał, zwróciwszy się ku niemu, groźnym ruchem nakazać milczenie.



Sam on nie wiedział, co swalgonowi odpowiedzieć.

Wprawdzie i dawniej takich wróżbitów, guślarzy i kapłanów najemnych włóczyło się dosyć po świecie, od numy do numy, od osady do osady. Przyjmowano ich gościnnie, a zawsze coś się znalazło do pobłogosławienia, do oczyszczenia, odczynienia i porady. Teraz włóczęgów podobnych widywano częściej, bo dużo dębów i świętych miejsc nie stało; rozproszeni byli, więc i nie tak im już po chatach byli radzi, gdy raz wraz zachodzili.

— A skąd? — spytał chłop po namyśle.

— Pytajcie lepiej, gdzie mnie nie było? — odparł swalgon. — Najczęściej ponad Niemnem tu się włóczę, bo to moja rodzinna ziemia; i w Pillenach ci bywałem, ale dawno już temu... Co się to małżeństw nabłogosławiło i wiele im naśpiewało!

— Hm! Swalgon! — zamruczał wieśniak; — jużci musi to być, kiedy mówicie, żeście nim, ale odzieży swalgona nie widzę na was, ani pasa, ani...

— Co za dziw! — odparł żwawo, przybliżając się ostrożnie, swalgon. — Obdarli mnie Niemcy na granicy i byliby powiesili, gdybym się im ochrzcić nie dał. Rzucili mnie do wody i takem ocalał.

— I uszedłeś rąk niemieckich! — zawołał pilleńczyk. — To cud! Oni nie przepuszczają nikomu, ani starym, ani młodym, i wszystkich nas wybić myślą. A jeszcze poznawszy swalgona...

Głową pokiwał niedowierzająco.

— Ja im życia nie winienem — począł podróżny — nie daliby mi go, ale Perkunas mnie wszechwładny obronił. Gdy do wody rzucili, a jam na dno poszedł, wrzask posłyszeli zdala, ulękli się zasadzki i pierzchnęli, a jam do brzegu dopłynął.

Pies już tylko burczał.

Swalgon, pozbierawszy kij, torbę i węzélki, leżące

na ziemi, zbliżył się do wieśniaka, zdając się pewnym gościny, o którą nawet nie prosił.

Zawrócili się obaj ku chacie.

— Siadę się ogrzać u was — rzekł swalgon. — Gdyście nadeszli, zębami dzwoniłem. Zima coś wczesnie nadchodzi. Umieć, gdy potrzeba, jaką, chcąc, pieśń zaśpiewać, a i wróżyć potrafię, czy z piwa, czy z wody, czy z wosku, jak kto zażąda. Choroby odpędzam, bydłu pomogę.

Wieśniak nie odpowiadał nic, lecz stręczącego się nie odpędzał. Wlekli się powoli ku numom i lepiankom, z których gdzie niegdzie wychylały się głowy, wychodzili ludzie, wyskakiwały psy, a za nimi wybiegały bose i napół nagie dzieci.

Pusta przed chwilą okolica ożywiła się. Obcego jakiegoś człowieka, choć swojaka, Litwina, wszyscy byli ciekawi.

Tuż stała granica, którą już Niemcy zajmowali i od niej grozili; każdy się rad był dowiedzieć, czy włóczęga nie przynosił wieści o jakim napadzie, zaborze, lub choćby poruszeniu nad rubieżą.

Tacy ludzie, co się snuli ciągle, wiedzieli wiele.

Ci, którzy spostrzegli, że podróżny ku lepiance Gajlisa zmierzał, poczęli też iść do niej gromadnie.

Nie te to już stare czasy szczęśliwe były na Litwie, co przed wieki!

Zawsze nieprzyjaciół jakiś napadał wprawdzie, ale w głębinę kraju nie sięgał i były błogosławione okolice za puszcami, za bagnami, kędy noga jego nie postąpiła. Tu od niepamiętnych wieków siedzieli ludzie, jak w gnieździe, o reszcie świata nie wiedząc prawie; tu rosły i dęby Boże, i gaje święcone; tu płynęły wody żywiące i leczące; tu pánował pokój i ponad łąki, a gaje rozlegały się Litwinek *dajnos*, i dzwonki ich dziewiczych fartuszków, które nigdy im utaić się nie dozwalały.

Teraz zmieniło się wiele, od czasu, jak krzyżacy padli obozem żelaznym nad granicą i poczęli pobratymcze Prusy, niższą ziemię i wyższą, wojować, niszczyć, niepokoić.

W najgęstszej puszczy nie można było mieć spokoju, najświętszych miejsc nie szanowano: paliły się Romowe, wycinano baublisy, lud mordowano i gnano. Potrzeba było stać nieustannie na straży z wytężonym uchem, a na pierwszy odgłos podejrzany uchodzić, albo się gromadzić ku obronie ognisk starych.

To też nadgraniczne powiaty powoli się wyludniały, gromady się z nich wynosiły w puszcze i błota, a kuni-gasy tylko po grodziskach siedzieli, zbrojni, czujni, do ostatek obraniając groby ojców, a ziemię dziadów.

Wszystko się zmieniało powoli pod naciskiem tego wroga, i stara swoboda leśna musiała paść ofiarą, bo wojna potrzebowała wodzów i posłuszeństwa. Smutnieli ludziska.

Ci, co dawniej o obcych i sąsiadach nic nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli, teraz, na najmniejszy szmer od Zachodu, pilno nastawiali ucha.

Ukazanie się odartego swalgona, nieznanego w osadzie, obudzało niezmierną ciekawość. Mógł i on coś przynieść z sobą.

Zaledwie z Gajlisem wszedł do ubogiej jego numy, napół w ziemi skrytej, w której pośrodku palił się na kamieniach nigdy nie wygasający ogień domowy, a dookoła niego leżały różnej wielkości polnych głazów bryły, służące za siedzenia; a przez drzwi za nim cisnąć się zaczęli sąsiedzi.

Wnętrze tej numy tak było nędzne, jak jej powierzchność, do wielkiego kretowiska podobne. Dym, który się niełatwo mógł otworem nad ogniskiem wydobyć nazewnątrz, snuł się pasmami sino-szarymi, pomiędzy dachem a ścianami.

Izbica była jedna dla ludzi i dla domowych stwo-

rzeń, które jakby do rodziny należały. W głębi stała krówka z cielakiem, wołów para chudych, dwa małeńkie grubo-płaskie koniki, które się już zimową sierścią najężoną okryły. Na ziemi nieopodal leżały brunatne i czarne owieczki, i w zgodzie z nimi przechadzały się poufale kury i gęsi. Wszystko to było nawykłe do wspólnego żywota: ludzie i zwierzęta; rozumiało się, ustępowało sobie, a często, gdy zima była sroga, tuliło się, wzajem ogrzewając.

Bose i napół nagie dzieci ssaly czasem owieczki z jagniętami do spółki.

Głos gospodarza i gospodyni tak był zrozumiały wołom, jak dzieciom. Pies stróżował równo nad wszystkimi, broniąc niedorostków od zwierząt i zwierzęta od napaści chłopiat zuchwałych.

Z jednej strony na ścianach, mchem pootykanych szczelnie, wisiały wszelkie gospodarskie narzędzia i przybory, inne na policach stały, co kosztowniejsze — w kącie w nasypkach i baryłach były zamknięte.

U góry schły powieszane zioła różne, od chorób dla chudoby, od czarów i złych oczu. Stół niewielki i ławy, które zastępowały kamienie w większej części, zgruba zaledwie wyciosane były. Za małemi, półotwartemi drzwiczkami widać było niższą komorę, a w niej radła, porozkładane wozy i koła, a obody...

Swalgon siadł niedaleko od ognia na kamieniu, czapki końce związane pod brodą rozpiął i ręce zmarzłe, rozstawiwszy, ogrzewał, wyciągając ku niewielkiemu ogniewi.

Zobaczywszy to, dziewczeczka, co się ciekawie przyglądała przybyłemu, ze strony, od której siadł, podrzuciła trochę suchych gałęzi, ażeby cieplej mu było.

Gajlis poszedł w głąb zaczerpnąć kubek alusu z beczki i córeczce zagrzać go kazał.

Wszyscy milczeli, nie śmiejąc zziębłego zaczepiać wędrowca, który wpatrzył się w ogień oczyma osłupia-

łemi i dumał, a dumał, jakby mu ciężko na duszy było.

Gdy ałus nieco się przygrzał, Gajlis, podając go podróżnemu, zcicha zarzucił pytanie:

— Nie słysząc co od tych Niemców przeklętych?

— A kiedyby nie było co od nich słysząc! — zamruczał swalgon. — Albo to oni spokojnie usiedzą choć dzień? Jak w ulu u nich ciągle się rusza i mruczy... Gadają ludzie wiele... Nadchodzi zima, błota pomarzną, tylko co ich nie widać...

Gajlis westchnął.

— O! gdyby nie zamek nasz, a pani nasza, co go bronić chce i musi, — rzekł, — a nas tu przy sobie trzyma, człowiekby dawno poszedł w puszcze...

Swalgon nastawił ucha.

— He! — rzekł — to wy kunigasa nie macie?

— Mamy i nie mamy, — mówił Gajlis; — stary ojciec kunigasowej leży już dawno i nie wstaje... Mąż jej zmarł z ran, w bitwie odniesionych; młodego syna porwali i pono zamordowali Niemcy; ona jedna tu rządzi, ale stanie i za męża, i za wodza... Ktoby tu inny na granicy wytrwał? Ktoby tu potrafił taką twierdzę straszną pobudować, jak ona!

— Dziw kobieta! — zamruczał Swalgon.

— Nie była ona taką dawniej, jako żywo, za męzowskiego żywota, — dodał drugi wieśniak. — Dopiero, gdy jej jedynaka, dziecko, synka małego, Niemcy pochwycili, a męża zabili, zemsta ją uczyniła żołnierzem... Pamiętają ludzie, gdy jeno pieśni nuciła, strojno chodziła, a chłopiątko, w kwiatki ubierając, na ręku kołysała. Jak jej pana, a męża i dziecka nie stało... naraz niewiastą przestała być i stała się straszną, jakby bogini jaka, co z Dungusu zstąpiła...

— Dziw nad dziwy — odparł swalgon. — Słyszałem ja ci o tem dawniej, ale, choć dziecko krzyżacy porwali, nie było mowy, aby je zabić mieli! Oni takich



malców dużo, słyszę, po zamkach hodują, aby potem na własną krew ich zaprawić...

Gajlis głową pokręcał niedowierzająco.

— Gadki to są bałamutne — rzekł. — Czy to my ich nie widzieli na wojnach? Oni życia nie darowują nikomu... Młode dziewczęta potrzymają w obozie kilka dni i głowy im ścinają, i dzieciom czaszki o piece roztrzaskują, starców końmi na śmierć tratuja... Chrzthu nawet nie chcą i śmieją się z tych, co o życie proszą...

— Ze starszymi to prawda; ja sam wiem i patrzyłem na to, — mówił swalgon, — że nieinaczej bywa; ale małe chłopięta biorą czasem i, choć w chlewach, a żywią...

— Kunigasowa nasza, Reda, — rzekł jeden ze stojących u drzwi, — wiedziałyby o tem, gdyby jej syn żył... a ona się mści za śmierć jego...

Swalgon potrząsł głową.

— Matkaby powinna najlepiej wiedzieć o dziecieniu, a choćby nie wiedziała, przeczułaby; a ja taki swoje twierdzę, żem słyszał, i nie jeden raz, jako ludzie rozpowiadali, iż chłopca nie zadławiono... Jeden stary się nad nim ulitował, w opiekę wziął, i Niemca z niego uczynił...

Gajlis wstrząsł się i podniósł dłonie...

— Perkunie, możny boże! — zawołał poruszony, — karz ich piorunem i ogniem!... wszak gotowi syna rodzzonego na matkę słać... a na matki miecz pierś dziecka wystawić!! Niechby ich ziemia pożarła!!

Swalgon zadrgał cały... usta mu się ściągnęły... zamilkł...

U progu pomiędzy gawiedzią stał czasu tej rozmowy milczący człek, któremu inni trochę miejsca zrobili i okazywali pewne uszanowanie.

Suknia go niewiele różniła od innych: miał na sobie kożuszek krótki, pas skórzany, sukienne spodnie i skórnie z futrem na nogach, na głowie szlyczek spi-

czasty, lisem bramowany, w ręku toporek żelazny... Niemłody, krągłej twarzy, wystających policzków, białych ale bystrych oczu, na wojaka jakoś wyglądał i na dworaka razem.

Słuchał on pilnie powieści swalgona o synu wdowy, a gdy ten jej dokończył i wszyscy zamilkli, od progu przyszedł się usadowić na kamieniu obok przybysza.

Popatrzyli sobie w oczy. Swalgon go pozdrowił... Potem w ogień niby wlepić począł wzrok i zobojętniał, ale ukradkiem ciekawie niekiedy na sąsiada spozierał...

— Dawnoście to tę bajkę o naszym dziecku słyszeli? — odezwał się do niego sąsiad.

— O! nie od dziś, nie od wczoraj ja ją słyszę — rzekł obojętnie swalgon. — A co dziw, że nie w jednym miejscu mi ją rozprowadano, i przez tyle lat się ona wciąż powtarza...

— Dziw!! — zamruczał słuchający. Pomilczał nieco. — Hm! — dodał — co ja wam powiem? Nasza Reda i stary ojciec jej, kaleka Walgutis, oboje lubią ludzi, co baśnie stare prawić i pieśni dawne śpiewać umieją... Na dwórby wam do nas potrzeba... Jeść i pić lepiej tam dadzą, niż tu ubodzy ludzie, i ugoszczą, i obdarują pewnie, bo Reda szczodrobliva jest... Warto, byście jej powtórzyli, co wiecie...

Gdy to mówił, z mimowolnego poruszenia starego swalgona nieledwieby wnieść było można, iż nim radość zatrzęsła... oczy mu się zaiskrzyły; — lecz wnet ułożył twarz pokorną i postawę biedną jakąś.

— A, ojcie mój! — odezwał się — gdzie tam mnie biedakowi, obszarpanemu, do kunigasów iść, przed którymi na twarz padać potrzeba... ani ja, ni moja odzież po temu... Boję się.

Dworak go uderzył po kolanie silną ręką i zaśmiał się.

— Toć nie powieszą cię, ani zetną, Niemcem nie

jesteś i nie śmierdzisz nim... Ba! gdyby w tobie Reda zdrajcę lub niemowę zwietrzyła, nie radziłbym jej się w ręce dostać!... Z jej to rozkazu dwóch krzyżackich rycerzy w żelaznych zbrojach, jak stali, na stos rzucono i spalono żywcem; ale swalgonowi, ubogiemu wróżbiacie, nigdy tu włos nie spadł z głowy...

Pomimo tego zapewnienia, podróżny, słuchając, bladł i drżał, — może od zimna; a choć się śmiał niby, niewesoło mu z oczu patrzało...

Trącił go łokciem zadumanego ten, co do zamku namawiał.

— No — rzekł — namyślcie się; pójdziecie ze mną; zaprowadzę was.

Wahał się jeszcze swalgon... Po chwili jednak, gdy mu się na męstwo zebrało, wstał, stękając...

— To cóż! — rzekł — każecie, pójdę...

Wstał i ten, co go miał prowadzić.

— Cóż? do Redy? — zapytał Gajlis.

— Juźcić — rzekł dworak — na gródku niema ich czem zabawić. Dziewczęta i baby, i co nas jest, jużśmy wszystko wypowiedzieli, co umieli, i po dziesięć razy.

Swalgon węzełki swe i torby troskliwie zbierał; rozstąpili się w progu stojący... Swalgon wychodził.

Ścieżynka wąska wiodła z tej strony od lądu, przez ów ciasny przesmyk ziemi, którym się pagórek zamkowy z nim łączył, ku gródkowi... Nie widać jednak było, dokąd zaprowadzić mogła. Z tej jednej ścieżki poza grobelką cała siatka wydeptanych w różne strony rozpościerała się wśród kamyków, mchów i spłowiałej biednej trawy...

Większej drogi nigdzie widać nie było, ani wrót u góry, któremiby się do zamku dostać można. Dworak szedł, nie patrząc ścieżek, naprost ku wałowi, który z dołu patrzącym część ogromnych ścian drewnianych zakrywał.

Swalgon śpieszył za nim, szedł ztyłu i nie postrze-

gany rozglądał się bacznie. Dostali się tak pod sam usyp z ziemi wysoki i stromy, wśród którego ogromne głazy dzikie sterczały gdzie niegdzie. Ziemię od osypywania się trzymały one i pale, a deski, które się z pod piasku częściami dobywały. Teraz poczęli iść ścieżyną, na samem podwalu. — Dworak, który swalgon wyprzedził, stanął, zaczekał nań, popchnął go, za barki ująwszy, przed się... i nim się tamten rozpatrzyć mógł i opamiętać, znalazł się w ciemnościach... Wał się jakimś cudem otworzył przed nimi; stali w wilgotnej szyi; nie widać było nic... Przewodnik, ciągle na ramionach wróżbity ręce trzymając, naprzód go popychał.

— Śmiało! — rzekł — rozstaw pięście, macaj ścian... nie padniesz...

Szyja ciemna skręciła się zaraz w lewo, potem w prawo; swalgon czuł, że w dół zstępował, potem pisać się było trzeba do góry trochę. Mdła odrobina światelka widzieć się dała, jakby kilka jasnych nici wisiało na tle nocy... Były to szpary we drzwiach, nieszczególnie spojonych. Swalgonowi lżej się zrobiło, gdy poczuł je pod rozpostartymi dłońmi. Otworzyć ich jednak nie umiał i towarzysz jego dopiero wywiódł go na światło dzienne. Stali na wąskiej drodze, poza którą widać było tuż okop drugi i na nim ostrokoły gęste... Ponad niemi w górze wznosiły się ściany zamkowe... Szli więc drożyną tą znowu, aż do drugiej furty, straszniemi głazami polnemi obwarowanej. Nie widać jej z za nich było; dopiero gdy się za kamienny wał dostali, towarzysz swalgona zapukał i drzwiczki się wąskie otwarły.

Pierwszy wszedł przewodnik, za rękę ująwszy wróżbitę, bo tuby obcego straż nie dopuściła, a i gromada psów, poczuwszy nie swego, porwała się nań, ujadając. Ciemną szyją znowu w podwórzec weszli wewnętrzny.

Tu dopiero zbliższy mógł się swalgon przypatrzeć temu gmachowi, jakby nie ludzką ręką wzniesionemu. Piętrzyły się ściany, ani wierzchu było ich dojrzeć,

gładkie, twarde, których, zdało się, że żadna moc ludzka obalić nie zdoła. — Zdumiony swalgon przyglądał się im ze strachem i poszanowaniem.

U góry w pewnych odstępach widać było czarne przekroje, jakby okna wąskie. Na wystających gdzieś niegdzie belkach wisiały grube, jak ręka ludzka, sznury i wicie...

W prawo i w lewo za tą twierdzą, jak misa wklęśła, rozciągał się dziedziniec przestronny... Tu pełno było ludu, bo właśnie do pożywienia go zwołano, i roilo się około niecułek, drewnianego statku i ogromnych garnków glinianych, z których para buchała.

W tym milczącym ogródku niktby się był nie mógł domyślać nawet takiej załogi mocnej... A lud, jak swalgon zaraz postrzegł, młody był, doborowy, silny i czerstwy...

Chodzili wśród niego dziesiętnicy i ład trzymali, ale po ojcowsku, łagodnie, śmiejąc się i głaszcząc, podżartowując i podśpiewując.

Podróżny byłby się może zatrzymał dla lepszego obejrzenia po zamku, lecz dworak mu nie dał stać i za sobą pociągnął.

Budynek z bierwion sosnowych, długi, niski, u wałów stał, zakryty niemi, a ponad dachami jego z dymników i z pomiędzy dranic, któremi był kryty, dym się dobywał...

U rogu jego widać było kręcące się baby w białych zawiciach na głowach i dziewczęta z kosami na plecach... Na progu, w boki się ujawszy, stała otyła, czerwona, cała bursztynami obwieszona, kobieta już niemłoda.

Przypatrywała się swalgonowi.

— Matus, — odezwał się do niej dworak — oto głodny wróżbita, któregom dla naszej pani na gościńcu złapał. Dajcieno mu jeść, dajcie pić, aby się gęba rozwiązała do pieśni i do bajek...



Gospodyni ustąpiła im wejścia i wskazała na prawo.

Tu izbica była ogromna, a w niej, jak w każdej, paliło się pośrodku ognisko. Kamienie dobrane, gładkie, jeden przy drugim, ławą je okalały. Swalgon się trochę w progu zawahał, rzuciwszy okiem wewnątrz... Ludu siedziało dużo, a był lud osobliwszy... W głębi, pasem swym obrzędowym aż po pachy obwinięty, w sukni, która oszyta była kozią wełną dokoła, z długą brodą, odpoczywał stary wajdelota... Obok niego siedział z pałkami za pasem, zbrojny, zarosły tak, że mu ledwie koniec nosa i oczy z pośrodku twarzy świeciły, Prusak jakiś barczysty, przygarbiony, skórą polataną z różnych zwierząt od stóp do głów obszyty...

Dwóch starców w kozuchach, z wiankami dębowymi na głowie, coś mieli kapłańskiego w sobie. Ci w ogień patrzyli, nie poruszając się, nie słuchają nic, nie widząc.

Odosobniony, ze związanymi wtył rękoma i kłoda na nogach, leżał przy kamieniach człowiek, o którym powiedzieć nie było można odrazu, czy jeńcem, czy winowajcą był... Twarz z kośćmi sterczącymi, skórą żółtą powleczone, niemal trupią pośród żywych się здаwała...

Oprócz tych kręciło się kilku chłopców, przesuwało dziewcząt kilka, przynosząc i odnosząc miski i kubki, a nad nimi otyła kobieta, ciągle we drzwiach się ukazując, nadzór trzymała.

Gwar był wielki, dym, zaducha, czuć było jadła różne i wonie dziwne, jałowiec, zioła jakieś, tłuszcz przyskwarzony. Z kątów ciemnych wyrывała się im ptaszkim piosenka kiedy niekiedy, i, jak przestraszone ptaszę, zapadała nazad do kąta.

Wnijście nieznanomego człowieka zaraz oczy wszystkie zwróciło na niego. Niektórzy się ruszyli bliżej go oglądać, drudzy wołali na dworaka prowadzącego, skąd go wziął?...

Swalgon przysiadł, trochę pomieszany, na pierwszym kamieniu nie zajęтым; a że mu zaraz dziewczyna miskę podała, na towarzysza zdawszy odpowiedzi; sam chciwie jeść zaczął.

Może mu nie tyle o nasycenie głodu chodziło, co o namysł lepszy, jak sobie tu miał poczynać...

Swalgonem się nazwawszy, musiał nim być, a tu wajdelota nań patrzył, gotów wróżbitę wziąć na spyt-ki. Boć do jednej gromadki należeli oba...

Zarzucono go pytaniami ze wszech stron. Jedząc, trudno było odpowiadać długo, więc się półsłowy opę-dzał...

A nie szło mu jakoś... Rzekł, że tam i owdzie był, to i owo widział; zaprzeczali mu inni, którzy też by-wali w miejscach wskazanych... Pot mu występował na czoło; obraniać się i wyłgiwać musiał.

Nie było mu rażno; — przecież chwycił się w porę dobrego sposobu. Z tych, co mu zaprzeczali, drwieć za-czął; ten i ów rad się uśmiechnął; a że przed chwilą niewesoło tu było, wdzięczni byli wszyscy, iż z sobą przyniósł śmiechu trochę.

— Co za dziwy! — rzekł do przeczących — wy tam byli, a co innegoście widzieli, niż ja? Ile ludzi, tyle oczu... Trafiło mi się, żem ja wilka zobaczył! a mój brat baranem go zwał. — To mówiąc, otarł usta, odstawu-jąc misę, i zakończył litewskiem przysłowiem: — Umarł niedźwiedź, schowajcie trąby.

Ktoś zagadnął znowu; ruszył ramionami i cisnął mu drugie przysłowie za odpowiedź całą:

— Naco plewę bić, kiedy z niej nawet pyłu wybić nie można!

Obroniwszy się tak napastnikom, swalgon wziął się do kubka; już go nie zaczepiano...

Niektórzy wynosić się zaczęli w podwórze, inni po-siadali i pokładli się około ognia spoczywać. Wróżbita

siedział, jakby mu się spać chciało i drzemką od rozmowy się bronił.

Przeszła tak dnia część znaczna, i miał czas dobrze wytchnąć podróży. Dworak, co go tu przyprowadził uszedł, a nie ukazał się aż wieczorem.

— Teraz czas, — szepnął, przybliżając się do niego. — Reda już wie, że przyprowadziłem jej takiego, co pieśni umie i gadki stare... Chodźcież za mną...

Swalgon, cokolwiek odzież na sobie ociągnawszy, torby zapchnawszy do kąta, w milczeniu za przewodnikiem podążył.

W drugim końcu budynku, na kamiennem podmurowaniu, stały izby kunigasowe, tyle tylko, że z mięszszych bierwion w zrąb czysto zbite, mchem lepiej otkane, i pułapem od chłodu zawarte i słoty.

Gdy weszli na próg, już się tu wieczornica zwykła była rozpoczęła. Jasno, smolnem zażywiane łuczywem, płonęło w pośrodku ognisko. Dokoła biało ubrane dziewczęta przedły i śpiewały.

W głębi widać było stojącą kobietę, z obliczem surowem i, jak noc, smutnem, niezbyt wyniosłego wzrostu, ale silną i kształtną... Choć strój miała w części niewieści i żałobną wdowią zawitkę, na bujne włosy narzuconą, postawa jej, wyraz twarzy, ruchy ją do mężczyzny podobniejszą czyniły.

I pas męski, jakby do uwieszenia miecza przeznaczony, biodra jej przepasywał.

Stała, wpatrzona w ogień, wsłuchana w pieśni... jak posąg jakiś skamieniała... Ludzie, co byli w izbie i zdala się trzymali, nie śmieli się na nią spojrzeć... Zerknął który, to wnet ze strachem spuszczał oczy.

Dalej, poza nią, gdzie słabiej dochodził blask od ogniska, na wysłanem wysoko skórąmi łożu — coś się poruszało. Niekiedy z czarnych włosów pościania wychylała się blada twarz długa, w której czarna plama

szeroka otwartemi zdawała się ustami... Jak widmo podnosiła się i znikwała...

Był to zgrzybiały Walgutis, ojciec Redy, który niekiedy jeszcze, mówiono, rozbudzał się do życia, śpiewał, wieszczyl, poruszał, zdawał się na jakąś godzinę odzyskiwać siły, i znowu potem w senność i milczenie zapadał na miesiące całe.

Dziewczęta nuciły pieśń starą.

— „Poszedł, poszedł ojciec, na podwórko kraśne, złote klucze dzwonią, rano synów budzi...

„Wstawajcie mi dzieci! na nogi synowie! hej, podwórko nasze, wrogi otoczyły... Siostry wasze obcy już uprowadzili...

„Późno w pogoń pójdziem, dognamy ich rano, wojsko rozproszymy, siostry odbijemy, w obozie znajdziemy.

„Poznamy je łatwo... złote włosy mają, i na włosach złotych przepaski zielone, na przepaskach z ruty wianeczki splecione. Na wianuszkach ciemnych kwiatki są złożone.

„Siostrzyce kochane, mile dziewczki moje! skądżeście dostały tych kwiateczków złotych?

„Na wojnie, na wielkiej, pomiędzy wojskami, tamśmy dostały kwiatki nasze złote“...

Pieśń się skończyła; kunigasowa, ciągle jeszcze nieporuszona, słuchać się zdawała. Był to dla dziewcząt znak, że dalej śpiewać miały. Popatrzyły na swą panią bojaźliwie, poszeptały coś z sobą, od ucha do ucha pobiegło hasło, i starsza, przodownica, po chwili zawiodła piosenkę nową:

— „Siostrzyczko kochana! czegoś się na rączce oparła tam smutną, i nie nuczysz pieśni? — Jak mi piosnki śpiewać? jak mi być wesolą? Ogródek zniszczony, mam w ogródku szkodę. Rutę mi zdeptano, pozrywano róże, lilje połamano, rosę otrzęsiono...

— „Czy wiatr dał z północy? Czy rzeka wylała? Czy Perkun zahuczał? Błyskawicą rzucał?...

— „Wiatr nie dał z północy, nie wylała rzeka, i Perkun nie huczał, pioruny nie były.

„Brodaci to ludzie od morza przybyli, wysiedli na brzegi, ogródek zniszczyli. Rutę podeptali, róże pozrywali, lilje połamali, i otrzęśli rosę. A ja — sama, sama, ledwie się ukryła, pod ruty gałązką, pod wianuszkiem ciemnym...”

Skończyła się pieśń znowu. Reda stała i słuchała. Swalgon spoglądał na nią i widział, gdy o brodatych mężach nucono, jak się jej brwi ściągnęły i wargi zadrdzały.

Dziewczęta postrzegły też może, iż śpiew niemile odbił się w duszy pani, — bo zaledwie smutną dajnos skończyły, starsza zaśpiewała inną, ale weselszym tonem, żywszą, nie płacziwą nutą:

— „Miłe słoneczko, boska córeczko! Gdzież się tak długo błąkało? Czemuś ty nas porzuciło? kto cię zatrzymał w gościnie?

— „Za morzami, za górami, zmarzłych grzałam pastuszków, — stałam ja tam na straży, przy sierotkach, przy biednych.

— „Miłe słoneczko, boska córeczko!... któż ci z rana ognisko rozkłada? kto wieczorem tobie łóżeczko pościela?

— „Dwie mam służki wierne: jutrzenkę i gwiazdkę wieczorną, siostrzyce... Jutrzenka mi ogień o świcie rozpala, wieczorna mi gwiazdka na noc łóżko ściele... a dzieci mam dużo, rozsianych po niebie, a bogactw mam wiele, co się złotem świecą“...

Kunigasowa Reda stała, słuchała nienasycona, dziewczęta śpiewały pieśni coraz nowe. Kiedy niekiedy z pościeli podnosiło się blade oblicze starego Walgulisa, z czaszką wypełzłą, z usty czarnemi, otwartemi szeroko — i opadało, a nikło...



Swalgon patrzył — słuchał... i dziwy się z nim działy. Wszedł do izby z trwogą, chytrością i lisiem maleńkich oczu wejrzeniem. Można go było posądzić, że mu tu wszystko, co widział i słyszał, złość jakąś robiło, że niepoczciwe uczucie niósł w zanadrzu ukryte...

Z takim, a nie innem mógł się tu wkraść Szwentas ów, którego krzyżacy wysłali szpiegiem na podsłuchy; Szwentas, który, jak opowiadał, żył długie lata pragnieniem zemsty za odebrane sobie szczęście, za śmierć, od której z rąk swej braci ledwie ocalał... dlatego służył od lat wielu najokrutniejszemu Litwy wrogowi, krzyżakom, chodził dla nich za szpiega, wypatrywał, donosił i w znane miejsca zaprowadzał, ciesząc się krwią, którą przelewali.

Lecz przez te lata długie Szwentas się ani razu nie ważył do numów, do chat, wpośród rodzin, któreby mu jego własną przypominały, i od lat wielu nie słyszał nigdy pieśni litewskiej.

Teraz zabrzmiała mu w uchu i w sercu się odbiła. Zeschłe to serce, dzikiej pragnące zemsty, zamknięte, oszalałe, — zadrgało mu w piersi, aż się za nią pochwycił i uląkł sam siebie. Inny człowiek w nim się obudził, którego on już nie znał...

Pieśń nagle przypomniła mu lata dziecinne, młodość, matkę, siostry i tę narzeczoną, którą mu wydarto, — ale nie do zemsty go nowej ciągnęła — łzy mu się z powiek polały.

Niewysłowiona tęsknica za Litwą objęła go — oślepiła... Znienawidzony świat własny stanął mu przed oczyma, wołając: — nie jesteś ty mojem dziecięciem? Czyjaż krew w twych żyłach płynie? Co winni ci bracia twoi, którzy ci nic nie uczynili! a tamci, co ci złem duszę zakrwawili, nie żyją! I prowadzisz wrogów na rodzinę swą, i służysz tym, co twoich pożerają, a pajesz się krwią własną?

Swalgon płakał..

Czy słyszał słowa pieśni? czy je rozumiał? sam nie wiedział; śpiew go sam oczarował, bo to był ten, który on słyszał dawniej, tam u studni, w polu i w lesie, gdy dziewczęta z grzybów wracały. Przed oczyma jego, pieśnią z grobu wywołana, stała matka rodzona i słyszał, jak mówiła mu: — Tyżeś to, któregom ja piersią moją karmiła! Com ja tobie zawiniła?

Szwentas otrząsł się i oczy ocierał; było mu tak, jakby obcy człowiek jakiś wszedł w niego i rządził się, a rozkazywał. Chciał mu się oprzeć; on dusił mu pierś, mózg obrzemieniał, dech zabijał, wołając: — Jam tu pan! poddaj się. — Swalgon wstał i poruszył się, bo mu było, jakby go zmora nocna gniołła. Jasne i czarne płatki latały przed oczyma... w izbie stawało się duszno... Pieśń na chwilę milkła, nie było jej słyszeć, a wciąż ona w uszach i w sercu mu grała.

Dziwo! Za temi pieśniami, które nucono, wyciągnięte z głębin, zapomniane, dobywały się inne śpiewy, niesłyszane od dzieciństwa, od kolebki zabyte... Pasmem jednym, szeregiem nieskończonym szły, wstając z tego grobu zapomnienia, i drgały mu głosami matki, sióstr... narzeczonej.

Stary, zdziczały człek przeląkł się tego, co w sobie nosił...

Łzy oschły na powiekach, radby był uciec stąd, tych zawodzeń nie słyszeć, powrócić na zamek niemiecki — a tu go coś przykuwało, nogi wrastały w tę ziemię...

Dworak, który go przyprowadził, i drudzy ludzie spoglądali nań z podziwem, bo się wił, jakby chorobą jaką rażony... A wszystko to — jedna pieśni potęga sprawiła.

Wkońcu Szwentas przestał już walczyć z tą przemocą, musiał się jej poddać; oparł się o ścianę, oczy zmrużył — i widział nie to, co miał przed sobą, ale

umarły świat, który pieśń czarodziejska, jak nić ze złotego kłębka, wysnuwała... Nie wiedział już, kędy się znajdował... Przed nim stała numa w lesie, koło niej głaz wielki, na którym czasem siadał ojciec, niekiedy siostry płachty suszyły, a on z kamuszków małych stawiał kopce. Tuż płynęła rzeka i ponad nią ze zwieszonymi głowy żółte kwitły kosańce, białe jakieś drżące grona... Pamiętał, gdzie stawiano wiecierze... kędy kąpać się chodził... I wiśniowy ogródek przy numie, i podwórko, i studnię, i od niej wiodącą w górę ścieżynę żółtą...

Żaden z tych, co mu winni byli, nie wyszedł z pomroki stanąć przed nim... szeptali kędyś marnie i nie śmieli mu się ukazać... Przychodzili ci, których kochał... bładzi, z mogił wydobyli, ręce ku niemu wyciągając, a błagając: — Wrogiem nie bądź!

I tak się swalgon w tych marzeniach zatopił, iż, gdy ostatnia pieśń przebrzmiała, a jemu w uszach stare nieboszczki nucić i kwilić zaczęły, — dworak go musiał w bok trącić, bo sądził, że usnął znużony.

Oczy otworzywszy, swalgon ujrzał przed sobą nieopodal stojącą Redę, która w niego ciekawy wzrok wlepiła...

Na widok jej zemstę w sobie zapragnął znów rozbudzić Szwentas; poszedł po nią myślą do serca — ale tam już jej nie było.

#### IV.

Wzrok tych oczu niewieścich był straszny. Spotkawszy się z nim, Szwentas zadrżał... a nuż mu ona miała wszystkich z duszy dobyć tajemnic?

Reda, milcząc, od stóp do głów go rozpatrywała, jakby niełatwo jej było tego swalgona, wróżbitę, w tym człowieku niepozornym, odrażającym, wynaleźć.

— Skąd wy? jakeście się tu dostali? — zapytała kunnigasowa.

Swalgon trochę męstwa odzyskał. Przypomniawsobie, że zawsze najłatwiej mu było żartem i śmiechem ludziom się obronić i ich otumanić.

Zmusił się do wesołej twarzy i wykrzywił. Zgiął się, nisko kłaniając...

— Matko, a pani! — rzekł. — Jam to z tych biednych ludzi, których dewy od kolebki w świat pognały, aby nigdy nie mieli spoczynku. A na drogę mi dał Pramzu pieśń do torby i wróżbiarstwo, i bajkę, która jest od prawdy lepszą... Włóczę się tak po świecie... kąta nie mam... gdzie przysiądę, tam mi dom, a jutro trzeba o nim zapomnieć, nowego szukając.

Księżna patrzyła i słuchała... Schrypiły głos niedobrze jej grał w sercu — i posępne robiło się lice. Coś w nim się odzywało fałszywego.

— Po świecie toście pewnie dużo nazbierali do tej torby waszej. Nie jedną tam sekime macie... Napij się z kubka... i praw, co umiesz.

— E! matko, a pani, — odparł, kłaniając się, Szwentas — gdziebym ja bogatszy miał być od waszego dworu! Wszystkie baśni tu wyśpiewano i wygadano... jabym się wstydził z mojemu.

— A wróżyć umiesz? — zapytała Reda.

Swalgon drgnął i zadumał się. Zdawał się, zatopiony w sobie, coś przypominać.

— Wróżyć? pani, a matko! Wróżyć? — rzekł cicho i z obawą jakąś — albo to człek wróży kiedy? Ani pultony, ani wejony, ani kannu raugisy nie wróżą, ino bogi przez nich. Tak i róg nie zagra, dopóki w niego nie zadmie człowiek. Czasem wstępuje Bóg i w miżernego żebraka, a mówi ustami jego; ale zawołać go kto potrafi?

— Powinniście umieć uprosić — rzekł Reda — to wasze rzemiosło... a z czego wróżycie?

— Matko, a pani! — rzekł nieśmiało swalgon — i z wiatru, i z wody, i z piwa wróżą różni. Jam burtinikas prosty, w wiedrze wody czasem co widzę.

Kunigasowa skinęła; dziewcząt dwie, które się zdala przysłuchiwały rozmowie, wstało i pobiegło do studni. Zadzwończyły u fartuszków ich poczepiane dzwonki, zbudził się stary Walgutis, głowa blada do-  
była się z pościeli i gardłowe jakieś sapanie słyszeć się dało.

Reda obróciła się do ojca, podeszła do pościeli i starego, otuliwszy, położyła, jak dziecię... spać mu każąc.

Tymczasem dziewczęta już niosły świeżej wody wiadro i ustawiały je przed swalgonem. On drżał i niespokojny to na wodę, to dokoła się oglądał.

Kunigasowa przybliżyła się.

Szwentas milczał długo...

— Pani, a matko... co wiedzieć chcecie? — zapytał słabym głosem.

Reda zamyśliła się posepnie.

— Jeżeli ducha wywołać umiecie, — rzekła cicho — pozwijcie z Anafielas dziecię moje... Zamordowali je Niemcy... poszło do ojców bez pogrzebu, bez stosu, bez pieśni, bez sukni i broni! Jak się tam ono złym duchom ogało? Czy się do dziadów dostało? czy błądzi po szklanej górze, nie mając czem wdrapać się na nią?

Swalgon spuścił głowę.

Stało mu się znowu coś, czego on sam nie rozumiał. Czuł, jak w niego wstąpiło coś i mówić zaczęło. On sam nie wiedział już, co prawi.

Pragnął usta zacisnąć, język okiełznać — nie mógł.

W wiedrze wody — o dziwo!... ukazała mu się twarz młoda jakaś... którą gdzieś widywał niedawno... blada, smutna.

Oczy jej przez szklaną powierzchnią tak były w niego wlepione, iż wzroku ich znieść nie mógł.



Reda czekała — dwie łzy po jej licu płynęły.

— Pani, a matko! — odezwał się swalgon mimo swej woli. — Na górze, na szklanej, niema twego dziecięcia, ani u stóp jej, tam, gdzie nieszczęśliwe błędzą duchy. Syn twój żyw i po świecie chodzi...

Krzyk wyrwał się z piersi matki, a z poza niej drugi mu zawtórował od łoża, gdzie spoczywał Walgutis, którego twarz podniosła się — i znikła.

— Człeczcie! nie łudź mnie! jam go opłakała! — zawołała Reda...

— Żyje, — mówił swalgon powoli — żyje... Widzę go...

— Gdzież jest?

— W ręku tych, co go porwali.

Reda krzyknęła z oburzeniem.

— I wykarmili go! i zaprawili na swoich!... i swoje krew w jego żyły przelali! Wróg! wróg! Margier mój... syn mój... Zabili go! — zakrzyknęła, rzucając głową — zabili!

— Nie; żyw jest! żyw! — powtórzył swalgon.

To mówiąc, oczy sobie zasłonił, trząść się zaczął i na ziemię padł, wskazując, aby wiadro z przed niego wzięto.

Na znak pani przybiegły dziewczęta, chwyciły wiadro, a że wody wróżącej już do niczego użyć nie wolno było, poszły ją wylać zaraz do świętego strumienia.

Po krótkim spoczynku swalgon się podniósł z ziemi; lżej mu było, gdy już wody nie miał przed sobą, ale Reda stała, czekając na coś, mierząc go oczyma.

— Matko, a pani! — począł jakimś chcącym przebłagać głosem. — Com widział w wodzie, tom i od ludzi słyszał po świecie... że syn wasz żyje... Nad granicą wieść ta chodzi dawno... i wierzy wielu, że żyw jest...

— Nacóżby go niepoczcili żywili? — odezwała się Reda.

Szwentas, który z wolna przychodził do siebie i ostygł, bełkotać począł.

— Ludzie źli są a mądrzy, Niemcowie ci, a Boga mają potężnego, który wielkiej przestrzeni świata panuje... Ziemi są chciwi, panowania łakomi... Czemużby nie mieli rozumieć tego, że za syna kunigasowego okup wielki wziąć mogą?

— Zażądałoby go dawno, nie hodując dziecięcia — odparła Reda. — Nie!! Złość chyba swą nasycić chcą, dziecko żywiąc, by matkę pokasało...

Swalgon zamilkł i zamyślił się. Reda popatrzała nań długo i chciała odejść, lecz w twarzy wróźbity wyczytała coś, co ją wstrzymało. Na obliczu bezmownem i zastygłym grało coś, jak walka duszna, która się przez usta zdradzić nie śmiała.

— Pani, a matko! — odezwał się pokornie — posyłałicie wy do jamy wilczej patrzeć i słuchać, czy w niej junosza twój nie siedzi?

— Com posyłać miała? — odparła Reda smętnie — nie wierzyłam, by żył, nie wierzę; a choćby żywy był, co po nim? Młode wilczę, ze psy chowane, czekać się nauczyło...

Swalgon coś zamruczał..

— Pani, a matko! — rzekł — wiedziećby choć trzeba, czego się spodziewać, po czem płakać? Jam włóczęga... Nie raz, ni dwa przekradałem się do zawojowanego kraju, bo tam jeszcze naszych, choć w łykach, dużo... i po ich zamkach w niewoli... Im tam swalgon droższy, niż złoto, bo na podszwach błoto litewskie przynosi. Pójdę, gdy każecie, szukać dziecka waszego.

Wzrokiem jakimś dumnym i zdziwionym przeszyła go Reda.

— Wy?

— Pójdę — powtórzył Szwentas. — Po czem go poznam?

Matce się łzy zakręciły w oczach i ręce poczęła łamać rozpaczliwie.

— Po czem go poznasz? Jego?... był piękny, jak słońce! Włos miał złoty... Skazy na nim nie było. Tylko dewa w kolebce na znak mu dała... po stronie serca, u ucha, ziarno grochu czarnego (żirnie) — a wróżki mówiły, że to szczęście znaczyło, a los powiedział, że na śmierć go tak napiętnowano!...

I oczy sobie zakryła rozplakana, a dłużej już nie chcąc mówić ze swalgonem, cofnęła się ku łóżu ojcowskiemu.

Wtem dziewczęta, jakby rozumiejąc jej ból i tęsknicę, choć im nic nie nakazano, spojrzały po sobie i zgodnemi głosy pieśń zanuciły...

— „Wieczorem wczora, z wieczora, owieczka mi przepadła. A! któż mi szukać pomoże owieczki mojej jedynej?

„Chodziłam prosić jutrzenki. — Nie mam czasu! — powiedziała, — muszę słońcu na zaraniu ogień zagasić! — Chodziłam do wieczornicy... — Nie mam czasu — powiedziała, — bo muszę słońcu wieczorem nocne jego usłać łóżo. — Poszłam potem do księżycy, księżyc mnie z niczem odprawił. — Mieczem wpół jestem przecięty i smutna jest moja dusza. — Zabiegłam aż do słoneczka, a ono mi powiedziało: Dzwieć dni szukać go będę, a nie znajdę dziesiątego...”

W ognisku łuczywa przygasaly, ostatnia pieśń, coraz ciszej nucona, umarła ledwie dosłyszonym dźwiękiem.

Dworak dał znak zapatrzonemu jeszcze swalgonowi, że czas było wychodzić. Kunigasowa Reda przypadła u łóża ojcowskiego, w rękach twarz utuliwszy, zaplakana, czy zadumana.

Dziewczęta powstawały cicho, unosząc z sobą kądziołki, przytrzymując fartuszki, aby nie podzwaniały.

Szwentas z przewodnikiem swym wyszedł na pod-

wórze. Cicho tu było teraz i gród się jeszcze dziwniejszym wydawał, na półrozjaśnionem księżycem i gwiazdami niebie, jak czarna góra jakaś stroma, jak wielka skała, której gdzie niegdzie bok jaki i rąbek światło Menėsowe srebrnym paskiem dziergało... Ludzie już spali po szopach, na podwórcach chodziły tylko straże z oszczepami, przesuwając się, jak nieme cienie umarłych na mogiłkach.

Swalgon wychodził z tej izby, nasłuchawszy się śpiewów, pijany, poruszony, drżący...

Gdy spojrzał teraz na boży świat, wszystko mu się inaczej wydawało; gdy przypomniał, że musi powrócić Niemcom służyć, a swoich zdradzać — dreszcze przechodziły po nim.

Zemsta, z którą chodził tak długo, zgasła i spopiełała, a w uszach śpiewały ciągle pieśni macierzy, sióstr i młodości... Te lata, które przeżył w zapomnieniu o swoich, zdały mu się teraz jakby snem.

Za co mścić się miał? Porwano mu dziewczynę, ale czyją to było winą? jej, czy napastników? on teraz nie był pewnym. Chciał ją pomścić i broniono mu się, i ścigano go... Nie z nimże jednym tak się działo... Narzeczona, ci ludzie, wszystko to leżało w grobach... umarłe było, lub tak, jak strupieszale dla niego; a Litwa — matka, nieśmiertelna, żyła. Widział tu młode jej oblicze, słyszał śpiew jej dziewiczy... miał-że on katom pomagać, aby ją zadławili?!

Tak myślał swalgon, powracając do szopy, w której mu na noc miejsce wskazano, i bił się z sobą, dopóki nie usnął, a marzył, gdy mu się powieki skleiły... Wreszcie sny powłokły się ciemnością nieprzebitą; a gdy Szwentas zbudził się, bo drudzy śpiący z nim wstawać zaczęli... już dniało i na gródku niewiasty i czeladź poruszały się około rannego gospodarstwa.

Na spopiełałych ogniskach dorzucone łuczywa na nowo nieciły płomień? przystawiano garnki; kobiety

nuciły, chodząc; kury śpiewem witały jutrzeńkę, która, jak diament, na niebie świeciła, sama jedna, bo wszystkie siostry jej, pobladłe ze znużenia, gdzieś w głąb nieba się poukrywały.

Zbudziwszy się, Szwentas leżał długo, znalazłszy w sobie i starego człowieka — zdrajcę, i nowe Litwy dziecię. Zdało mu się, że w jego piersi wstali przeciwko sobie i chcieli walkę rozpocząć; ale stary... uklął się i zapadł gdzieś...

Co miał czynić teraz? Przyszedł Redę szpiegować, a musiał jej służyć? Nie chciał się przyznać do winy, a trwać w niej nie mógł. Zwłókl się ze słomy i poszedł do gospody, w której wczoraj był z innymi. Tu już mleko i piwo dawano przybyłcom, a gwar i śmiech się rozlegały.

Swalgon zajął miejsce na uboczu, czekając na dworaka, który go tu przyprowadził. Ten nadszedł nierzyczo.

— Dobrze mi tu u was na gościnnym chlebie, — odezwał się do niego Szwentas — alem ja się tu mało zdał na co komu. Nawykłem się włóczyć; zamkniętemu mi żyć duszno. Puśćcie już mnie, ale nim pójdę, chcę Redzie za chleb podziękować... i jeszcze jej co rzec.

Dworak nie sprzeciwiał się. Kunigasowa Reda właśnie była w podwórku, i zdala postrzegł zdziwiony swalgon, że ludzi swych, co na zamku dla obrony stali, sama opatrywała.

Na głowie miała na zawitkę włożony szłyk, a u pasa wiszący miecz... i tak się poruszała, jak wojak, gotowy na koń i na bój... Chodziła od gromady do gromady, ludzi badała, gromiła jednych, drugim rozkazy dawała...

Po dniu widziana twarz jej inaczej się wydała swalgonowi: była jeszcze piękną prawie, choć wiek jej lice surowem uczynił i posępnem.



Szwentas stał z głową odkrytą, czekając, aż dopóki ze swymi ludźmi nie skończy; patrzył i dziwił się, a gdy groziła i napominała, robiło mu się straszno. Nie jeden raz doznał on od krzyżaków okrucieństwa i srogości, którym poddawać się musiał, w duszy ich przeklinając; głos Redy tak mu brzmiał swojsko, macierzyńsko, iż, gdyby nim nakazała mu iść, a powiesić się na gałęzi, byłby pobiegł i pętlę sobie zarzucił, nie śmiąc pomyśleć, iż niesprawiedliwą była.

Zniósłby od niej — śmierć nawet...

Reda postąpiła ku swalgonowi, a on nisko się pochylił przed nią.

— Matko, a pani! — rzekł, — pójdę już; jam ptak wędrowny... siedzieć nie umiem. Pójdę ponad granicą, nad Niemnową, a potem... sam nie wiem. • Będę rozpytywał o dziecko wasze...

Redzie oczy zaświeciły.

— Mnie się aż do niemieckich gródków nieraz wdrzeć udało — ciągnął dalej. — Któż wie... może jaki Bóg mnie poprowadzi, a podszeptnie? nuż na ślad jego trafię...

Kunigasowa brwi ściągnęła, patrzała, długo mówić nie mogąc...

— Niech cię Algis dobry prowadzi! — rzekła słabym głosem. — Idź! szukaj; choć ja w życie mojego dziecka nie wierzę. A znajdziesz go przechrzczonego na Niemca i wroga; choćbyś grochowy znak poznał na nim i krew naszą, nie mów mi o nim, ani jemu o mnie... Nie chcę takiego syna!

Ze spuszczonemi oczyma w ziemię postąpiła trochę, i, zląkwszy się, aby jej swalgon z tą odpowiedzią nie uszedł, dodała nagle:

— Nie! nie... Choćby go przerobili... choćby on mnie nie zrozumiał... a ja... nie!... niech ja go choć zobaczę!

Swalgon milczał.

— Ale po latach tylu... nie! — zaczęła mruczeć — nie wrócą mi bogowie dziecka!... Idź, dobry człecze.

— Wszyscy mówią, że żyje... i ja widziałem go wczoraj w wodzie, a duchy w niej ukazują się inaczej — bez oczu... ten patrzył na mnie. Znajdziemy go... pani, a matko!

Pokłonił się jej do stóp; nie powiedziała mu już nic — odeszła. Dworak go pociągnął do izby i sakwy mu napełnić kazał. Potem, inną już drogą, wywiódł między wały, i w ciemny loch zaprowadziwszy z sobą, milcząc, szedł z nim bez światła, omackiem, tak długo, iż swalgon znużony spoczywać musiał, opierając się o wilgotne ściany podziemia.

Tu było duszno jakoś i powietrza piersiom brakło. Nierychło zaczęło się ono oziębiać... szary mrok się ukazał... przewodnik stanął. O ściankę sparta była drabinka, którą z podziemia swalgon dobywać się musiał. Ponad otworem, którym wylazł, zbite z desek ciężkie drzwi podźwignąwszy, leżał stos ogromny suchych gałęzi, które rozgarnąwszy z ciężkością, gdy Szwentas stanął na zamarzłej ziemi i rozpatrywać się począł, kędy był — okazało się, iż na kraju lasu, od gródka dobrze oddalonego, się znajdował.

Pilleny widać stąd było, ale już tylko górę i ściany, a ludzi koło nich oko dojrzeć nie mogło.

Znużony padł wydychać podziemną swą podróż swalgon, a namyślać się, co miał począć. Z torby dobył jadła, pokrzepił się, rozdumał, i wstawszy, pokierował się ku granicznemu Niemnowi.

Już tygodni kilka upłynęło od wyjścia jego z Malbarga, a Bernard ani się też z tak rychłym powrotem mógł go spodziewać, gdy jednego ranka, wedle obyczaju swego, obchodząc wszystkie kąty, ujrzał Szwentasa, siedzącego na kamieniu pod stajniami.

Wiedząc, iż zaraz po powrocie powinien się był sta-

wieć do niego, Bernard stanął, napół zdumiony, pół gniewny.

Parobek nie okazywał pośpiechu żadnego w powitaniu i zdaniu sprawy; twarz miał jakąś ostygłą, nie-dobrze wróżącą o tem, co przynosił.

Zamiast strofować go i pytać, Bernard stanął na-przeciw niego i oczy wlepił, jak dwa noże...

— Tylkom co powrócił — zamruczał smutnie Szwentas.

Bernard znak mu dał, aby poszedł za nim. Do rozmowy w podwórku miejsca nie było. Parobek szedł, lecz opieszale i powoli.

Gdy się drzwi celi zamknęły za nimi, odwrócił się krzyżak szparko ku niemu.

— Coś zrobił?

— Nic — rzekł krótko Szwentas.

Wzgardliwe zapłaciło mu wejrzenie. Bernard, który swojego sługę znał zdawna, do mowy jego i twarzy był nawykły, znalazł w nim zmianę niewytłumaczoną; jak błyskawica przebiegła mu przez mózg myśl:

— Po tylu latach mógłżeby zdradzić??

— Mów! — zawołał.

Zwykle gadatliwy Szwentas głowę tarł rękoma i zbierał się na odpowiedź długo.

— Byłem w Pillenach — rzekł. — Cóż? matka w życie syna nie wierzy! Zapomnieli!... nie wiem. Mówiłem, że on nie zabity może, że wieści chodzą... śmiali się ze mnie.

— Byłeś w Pillenach? wpuścili cię do środka? — zawołał z ciekawością krzyżak. — Gadaj, co wiesz o tym stosie drzewa. Nasi tam na statkach podjeżdżali przypatrywać mu się od Niemna... bierwiona, słyszę, sosnowe, na kupę nawalone; byle ognia podłożyć, zwierza z nich wykurzymy.

Swalgon głową potrząsł.

— Żelazny- chyba człek pod ten stos się pod-

kradnie, — rzekł — bo niełatwo doń dostąpić... a lada ogień tych ścian nie weźmie.

— Któż dowodzi na zamku? — przerwał krzyżak. Swalgon głowę zwiesił.

— Jest stary Walgutis — zamruczał — no, i kuni-gasowa Reda.

— Tak, wdowa; ale co po niej tam? — wtrącił Bernard.

— Co po niej! — uśmiechnął się swalgon. — Ona tam wodzem i wszystkim...

Krzyżak śmiał się.

— Tyś zgłupiał — rzekł.

Szwentas zamilkł. Oba jakiś czas spoglądali ku sobie, nie odzywając się.

— Mów — począł Bernard — mów, co widziałeś?

Parobek, jakby zniecierpliwiony, odezwał się nagle z pośpiechem, zbywając odrazu wszystkiego:

— <sup>BW</sup>Coni widział? no! ściany grube, wały, ostrokoły, ludzi dość, siłę wielką. Niewiasta chodzi przy mieczu... a ma odwagę męską. Dobrze, że żywot stamtąd wyniósł cały.

— I uląkłszy się, mówić i patrzeć nie śmiałeś — odezwał się krzyżak. — Zestarzałeś na bydlę głupie, nic już z ciebie. Konie czyścić i gnój podmiatać.

Tylem się do niego odwrócił.

Dobrze, że nie widział uśmiechu, który twarz parobka skrzywił. Szwentas nie odpowiedział nic.

Bernard napróżno jeszcze chciał coś dobyć z niego. Szwentas ponuro milczał, odpowiadając półsłowami. Jawną rzeczą było, że wyprawa mu się nie powiodła; a choć nie zdradził, bo powrócił, — ten, dawniej tak chytry i przebiegły, szpieg, teraz z niczem przyszedł nazad.

Nie chciał go jednak Bernard zrażać łajaniem, dobyć tylko pragnął więcej wieści o tej niebezpiecznej podróży.

— Gdyś rozповідаł, że dziecko jej żyć może, — spytał — patrzałeś ty w twarz? mieniła się? zadrżała? poruszyła się?

— Nie wierzy! — odparł Szwentas.

Bernard się zadumał.

— Hm — rzekł, dowódby się znalazł, ale tyś już do niczego.

Nie przeczył parobek; powstał na progu i wkońcu, odpawiony mruczeniem gniewnem, precz poszedł.

Wlokącego się ku stajniom, przygarbionego, znękanego Szwentasa, na drodze spotkał Sylwester szpitalnik. Dla niego dość było najnędzniejszego z pacholków widzieć cierpiącym, aby go nie pominąć. Szwentas go nie postrzegł nawet, gdy uczuł uderzenie po plecach.

— Co ty się tak wleciesz, jakbyś dwie miary zboża dźwigał na barkach? — zawołał.

— Zmęczony jestem — zamruczał parobek — zmarzły... niezdrów.

— Od czego?

— Posyłali mnie — rzekł niechętnie Szwentas — zima naszła... nogi pobrzękły...

Poskrobał się w głowę.

Szpitalnik pilno mu się przypatrywał.

— No, to idź na jakie dwa dni do chorych; wydychasz drogę.

Szwentas rad był, ale bał się, co powie Bernard?

— Nie śmiem — mruknął.

— Ja każe! — zawołał zwawy staruszek. — Na dół idź, gdzie knechty... będziesz miał siłę posłużyć, to się tam zdasz i razem grzeszne ciało pokrzepisz.

I ręką mu wskazał na niższy zamek. Parobek się skłonił i powlókł. Spoczynek w cieple, przy lepszej strawie, którą dawano wszystkim w szpitalu, bardzo mu się uśmiechał; — a Bernard? Choćby się i pogniewał, teraz mu o niego nie szło tak wielce.



Dostać się do szpitala, choć za rozkazem brata Sylwestra, łatwo nie było. Wprawdzie on tu rozkazywał, ale znano jego miłosierdzie nieograniczone i dobroć zbytnią; podwładnych mu więc dawano, którzy za niego surowszymi być musieli.

Izby w szpitalu, właśnie z początkiem zimy, zapchane były, a ta, którą dla knechtów i gawiedzi wyznaczono, tak przepełniona, iż już kąta w niej znaleźć trudno było.

Gdy się zjawił Szwentas, którego Niemcy nie lubili, niedźwiedziem i bestją przezywając, starszy nad izbą, zobaczywszy go, ani chciał słuchać o przyjęciu. Na próżno się składał rozkazem brata Sylwestra...

— Połóż się w końskim gnoju... i wyśpij! — wołał nadzorca — tu dla ciebie miejsca niema.

Szwentas właśnie teraz na przekorę, gdy mu pomieszczenia odmawiano, postanowił zostać. Nie odpowiedział nic, do ściany się przyparł i nie ruszył z miejsca.

Nudziło to nadzorcę. Połajał go, nie pomogło; i po godzinie upornego stania, sam ze złością do izby go wepchnął.

— Idź! leniwcze, bydlę nieczyste, litewskie ty padło! — zakrzyczał — idź! grzej się i nażryj... ale ja ci tu darmo nie dam wczasu używać. Służyć musisz!

Szwentasowi posługa szpitalna nie była straszną; nie rzekł nic.

Wnet kazano mu misy nosić, wodę rozdawać, na straży stać, drwa narzucać na ognisko.

Ale przytem strawa się okroiła, i nagrzać się było można.

Sylwester nie nadszedł prędko... poskarżyć się nie było można, a i nie miał za co...

Wieczorne jadło już Szwentas rozdawał, jakby nigdy nic innego nie robił. Na noc położył się przy kuchni i spał do świtu. Nazajutrz nie myślano go wy-

ganiać. Szpitalnik nadszedł przy pierwszej strawie, zobaczył go posługującego, uśmiechnął się doń, nie miał nic przeciw temu.

A że mu się ta służba przy knechtach wydała zbyt ciężką, wziął go z sobą na górę, dla pomocy przy rycerskim i cudzoziemców stole...

Tu mu lepiej było jeszcze... nie tak go popychano i wyśmiewano.

Wieczorem sam Sylwester dał mu dzbanuszek mały, miskę pokrytą, wskazał drzwi, powiedział, że do drugiej izby ma je zanieść, i wyprowadził.

Szedł Szwentas, rozpatrując się tu, kędy nigdy jeszcze nie bywał.

Drugiej izby przestąpiwszy próg, miał właśnie miskę na stoliku przed chorym postawić, gdy, oczy podniósłszy na niego, zadrgał cały, dzbanek mu o mało z ręki się nie wyslizgnął i, jak skamieniały, stanął.

Przed nim siedział młodzian, z tąż samą twarzą, z temi oczyma tęsknemi, jakiego na zamku w Pille-nach widział w wiadrze wody.

Szwentas stał, patrzył i ze strachu niemal gotów był uciekać.

— Co tobie? — ozwał się chory, odwracając twarz. I w tej chwili na obnażonej szyi jego postrzegł Szwentas, z lewej strony, pod uchem, znak ziarna grochu, o którym mówiła Reda.

Stłumiony krzyk wyrwał mu się z piersi.

Jerzy patrzył na tego nieznanego sługę z podziwieniem coraz rosnącym.

— Co ci jest? — pytał.

Szwentas ledwie miał siłę postawić miskę i dzbanuszek na stoliku, padł na kolana i począł zwieszane nogi młodzieńca całować, ale przemówić nic nie mógł.

Jerzy cofał się od niego, posądzając, że był obłąkanym. Tymczasem parobek oprzytomniał, powstał, śmiały mu się usta, nie spuszczał z oczu znamienia na

szyi chłopca. Dla Jerzego wszystko to było niezrozumiałem jeszcze, gdy Szwentas, za rękę go pochwyciwszy, grube swe usta do niej przycisnął i wyjąknął:

— Kunigas!!

Na lice chłopca wystąpił rumieniec, — porwał się na nogi, położył palec na ustach...

— Skąd wiesz? — szepnął.

Szwentas ręką zatulił sobie gębę, ale z oczu nie spuszczał chłopaka. Przypomniało mu się, że powinien był do służby powracać; rękę białą Jerzego poniósł do ust raz jeszcze, rozśmiał się i uciekł, jak szalony.

Chory pozostał sam, nie mogąc jeszcze pojąć tej przygody.

Skąd człowiek ten mógł wiedzieć, iż był księżcem dziecięciem? Byli i on Litwinem? Czy go kto zdradził?

Podęjrzenie padało na chłopaka, który doń wieczorami przychodził. Cekał też nań niecierpliwie Jerzy i, mało co napiwszy się ze dzbanuszka, wyglądał tylko, rychłoli wszystko uśnie, a Rymos nadejdzie.

Dłużej niż zwykle czekać musiał na niego, ale wreszcie skradanie się ciche dało się słyszeć, — wierny Rymos stał w progu. Jerzy podbiegł ku niemu z żywocią wielką, opowiadając, co go spotkało, i łajac za niebezpieczne paplanie.

— Ja?? niech mnie Perkun ubije, — zawołał Rymos — jeśli usta otworzył!... Jabym zdradzić was miał!

Chory opisał mu tego parobka, który jedzenie przynosił; a chłopak, znający tu wszystkich, domyślił się w nim Szwentasa.

— Nie kto inny, jak ten łotr Szwentas! — zawołał — wierny Niemców służka, co tyle krwi naszej natoczył, żeby go w niej utopić można! To pies jest! a jeżeli z jego ust wyrwało się, to próbą było i — groźbą jest. Chcą, może, domyślając się czego, sidła na was

zastawić i to bydlę ślą, aby mową naszą kusilo was. Nie zdradzajcie się.

— Nie może to być! — oparł się Jerzy — ten człek lzy miał w oczach.

— To podła żmija, która i płakać za kawał mięsa i kubek piwa potrafi! — ofuknął Rymos. — Niczemu nie wierzcie. Dawno on im już służy; posyłają go na szpiegi; prowadzi ich, gdy potrzeba.

Zamyślił się Jerzy smutnie, a Rymos się uląkł i drżał.

— Tajemnica wydać się musiała! — szeptał. — Kto wie? podsłuchiwali nas może... Obu nam grozi kara okrutna! Widzieliście te czarne podziemia, co się pod wszystkimi zamkami, jak drugi gród piekielny, rozciągają. Nie śpichrze to, ani składy, ani skarbcce... ale studnie, w których ludzie bez światła i powietrza konają. Nocami, gdy w podwórcach cisza, z pod ziemi dochodzą jęki, słyszać brzęk kajdan żelaznych. Z rycerzy, gdy który zawini, a osądzi go starszyzna nocą; nazajutrz, choć wrota były zamknięte... niknie winowajca i już go nie ujrzyć na bożym świecie.

Rymos, mówiąc to, oglądał się z przerażeniem.

— O! — dodał — i inne mam poszlaki, że tam w tych lochach, od których klucze zawsze u mistrza leżą, ludzie żyć muszą. Na kuchniach gotują strawę nędzną, która potem niknie, choć nikt jej nie spożywa. Gdzieś w sali jakiejś otwiera się kamień w podłodze i koszem do lochów chleb, wodę i jadło spuszczaają. Tak pocichu opowiadają sobie ci, co to widzieli.

Jerzy słuchał namarszczony.

Rymos widocznie ze strachu tracił przytomność; chwycił się za głowę; jęczał, oglądał trwożliwie i przysłuchiwał.

— Jeżeli nas kto wydał, biada nam! — dodał — biada nam!! Szwentasa pewnie posłali, aby słowo jakie wyciągnął... zginiemy!...

I porwał się z siedzenia nagle.

— Ja tu nie będę czekał, aż mnie pochwycą — zawołał. — Spróbuję ucieczki; tak, czy owak ginąć, lepiej choć się pokusić o wyzwolenie.

Spojrzał na Jerzego, który zamyślony stał ciągle.

— Niema jeszcze nic — szepnął on, podumawszy. — Ten Szwentas, choć zły człek, wydał mi się szczerym. Nie może być, żeby nas podsłuchali. Cze-  
kać trzeba.

Rymos chciwie słuchał.

Wtem ciężkie, choć ostrożne stąpanie słyszeć się dało w pierwszej izbie; parobczak przestraszony ledwie miał czas skoczyć i ukryć się pod łóżko Jerzego, gdy pocichu, z uśmiechniętymi usty, wsunął się Szwentas.

W progu już złożył ręce i stanął, z przejęciem się i uwielbieniem patrząc na Jerzego. Szeptał ciągle:

— Kunigas...

Zbliżył się potem z poszanowaniem i szybko począł doń coś mówić po litewsku. Chłopak ciekawie, z upragnieniem przysłuchiwał się dźwiękom tej mowy, lecz wkońcu głową potrząsnął i odparł mu po niemiecku:

— Ja tej mowy nie rozumiem.

Szwentas chwilę stał zdumiony, podumał i począł łamaną swą niemczyzną:

— Ty nie wiesz? jesteś kunigas litewski, z nad Niemna! Ciebie oni dzieckiem pochwycili z rąk matki.

— Skądże ty możesz wiedzieć o tem? — odparł Jerzy.

— Ja! Ja też odniedawna wiem o tem — westchnął stary.

Jęk przerwał mu mowę; podparł głowę na rękę i potrząsał nią milczący.

— Czem ja byłem! Co się ze mną działo! — począł mruczeć, jakby sam do siebie. — I mnie na wojnie porwali oni, ale ja sam się im oddałem, bo mnie swoi powiesić chcieli, a ja się na nich mścić zapragnąłem.



Ile lat! ile lat ja im niepoczciwie służył! i myślałem, że tak marnie szczenę na ich barłogu... Co się to ze mną stało! A! książatko ty moje! gołąbku ty mój! czy ty uwierzysz, co ja ci powiem, kiedy ja sam sobie jeszcze nie wierzę. Co się stało? Tyle lat ja w sobie tę krew litewską dławił... próżno! Ot, niedawno... posłali mnie znowu na szpiegi, na Litwę... Poszedłem. A cóż? toż to było moje rzemiosło. Z pod koni gnój podmiatać i na rzeź im swoich oddawać... a co się ze mną stało?

Szedłem na Litwę i dostałem się na zamek, na wielki... zawiedli mnie do kunigasowej na Pilleny.

Stałem, wypatrując po staremu, złoty mój chłopcze, panie! Jak zaczęli śpiewać czarowne litewskie dajnos, jak zaczęli zawodzić... puścili mi się z oczu łzy, serce twarde zmiękło, z krzyżackiego sługi zrobił się znowu ten, co był zamłodu. Posłali mnie dla siebie, a jam powrócił dla — swoich. Jedna pieśń czarowna to zrobiła. Sokole złoty mój, gdzie tam pieśń! to była woda odżywiająca, a jam się w niej z brudu obmył... to była woda święta!

Mówił to, płacząc i jęcząc, z wyrazem takim, że Ry-mos, który się go obawiał i nie wierzył mu, uczuł się poruszonym mimo wiedzy i z pod łóżka ciekawą wystawił głowę.

Szwentas go zobaczył i przestraszył się; lecz dość było kilku słów, wyrzeczonych po litewsku, aby parobek stary śmiać się począł. Mowa ta teraz na zmiękłe serce skutkowała cudownie. Wyciągnął ręce do chłopaka, zapomniawszy o Jerzym, i prędko, chciwie, po litewsku z nim mówić począł. Szwentas ścisnął go i całował.

Jerzy, który był języka zapomniął i ledwie wyrazy niektóre przypominał sobie, stał, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

— To jest kunigas! — mówił Szwentas — pozna-

łem go po znamieniu ziarna grochu pod uchem lewem na szyi.

Rymos, wylazłszy z pod łoża, podszedł także spojrzeć na znamię i ręce załamał. Jerzemu lży się w oczach kręciły.

— Mówcie tak, abym ja was rozumiał — rzekł błagajaco. — Rymos wie, żem ja mowy tej musiał zapomnieć, bo mi ją umyślnie wybili z serca, a wstawili natomiast swoją. Mówcie, abym rozumiał... litujcie się nade mną!

Szwentas pocałował go w rękę...

— Cicho! cicho! — rzekł — jest nas tu już trzech... Eh! będziemy się trzymali i radzili sobie.

Głową pokręcił chytrze.

— Kto wie, co zrobimy? mnie się widzi... musimy swojego kunigasa oddać naszym... a i nam tu nie będzie co gościć potem. Po rozum do głowy!

Jerzemu oczy się paliły; uderzył po ramieniu Szwentasa.

— Kto ci mówił o tem znamieniu? Skąd wiesz, żem kunigas? Znasz moich? gdzie oni są?

— O! o! długoby to rozpowiadać, — mruknął stary parobek — a teraz wam to do niczego. Poczekajcie mało. Trzeba myśleć, jak się stąd wydobyć... To pilniejsza!!

Z zamku na wolność wyjść niełatwo, a w polu się ukryć i dostać do swoich... tam nad Niemnem... chyba jak wąż prześlizgiwać się na brzuchu!!

Rymos, nawykły obawiać się krzyżaków, przed których drżał potęgą, zawołał:

— Gdyby złapali nas! kościiby tylko na polu bieleły. A gdzież ich niema? ich straży? ich szpiegów, półbraci, półsióstr i tych włóczęgów niemieckich, co się tu z całego świata po łup zbierają!

Szwentas po dawnemu się chytrze uśmiechał.

— Potężni oni, i jak mrowia ich jest, — rzekł —

ale i na nich, i na liczbę tę sposoby są chytre. Jeden człowiek za stu starczy i stu oszuka, gdy mu się serce zagrzeje! Oni często tak ufni w swą siłę, że patrzą, a nie widzą. Jam im niedarmo służył tak długo; znam ja ich wszystkie chody.

Gdy mówił, zdala, w podwórcach szelest się jakiś dał słyszeć, — wszyscy potruchleli... Pierwszy Szwentas wysunął się cicho, tak, że znikł z oczu, jakby poszedł w głąb ziemi; Rymos natychmiast pierchnął za nim, a Jerzy, zdmuchnąwszy prędko lampę, padł na łóżko i udał śpiącego.

## V.

Razem z grodem Marji rosło i miasteczko, które pod jego opieką i murami powstało. Jak inne na nowozdobytej ziemi, całe ono się składało z przybyszów różnych krajów niemieckich: z nad Renu, z Turynngji, z Sasów, Frankonów, Bawarów i t. p.

Wiadomo, że Zakon sam, który w początku przyjmował tylko Niemców i szlachtę z najmożniejszych rodzin, w większej części był zbiorowiskiem ludzi, co albo u siebie w domu nic do stracenia nie mieli, lub ducha w sobie żywili, który ich gnał na przygody i zdobycze. Tak samo i miejska kolonja z różnych się składała ludzi, gorącego a awanturniczego ducha, idących z bogacać się i urastać na pogańskie kresy.

Wielu z książąt, jako terazniejszy mistrz wielki, Luder, gdy do Zakonu wstępowali, służbę swą, dwory, rzemieślników z kraju swego ciągnęli za sobą. Tu im darmo dawano ziemię, Zakon pomagał do budowania się, obdarzano ich przywilejami i pewnym samorządem.

Rycerstwo niemieckie dostojniejszych rodzin, krzyżacy i goście ich, raz wraz potrzebowali zręcznego rzemieślnika, -płatnerzy, zbrojowników, złotników, ręko-

dział mnogich, których w dzikim kraju znaleźć nie mogli.

Zasiedlało się więc miasto naprzód Niemcami pracowitymi, ale za nimi szli i próżniacy, którzy z innych wymagań, do jakich jawnie się Zakon nie przyznawał, żyć sobie obiecywali.

Znaleźli się tam i śpiewacy, i błaznowie, i usługna gawiedź wszelkiego rodzaju, na co z zamku przez szpary patrzano. Potworzyły się wesołe gospody, niby dla czeladzi i knechtów... niby dla kupców i podróżnych; a co się tam w nich po kątach działo, miejski sołtys niebardzo w to wchodził.

Nie zdradzał jeden drugiego, bo sam się lękał być wydanym; na wzajemnem pobbazaniu stało to życie.

W zamku surowa reguła, choć się często zwalniała, zawsze niby panowała pozornie; poza nim krzyżacy swobodniej sobie poczynali. Gdy w murach nigdy się żadnej, nawet w wieku podeszłym, niewieście pokazywać nie było wolno; w mieście, pod rozmaitemi nazwiskami i pozory, zamieszkiwała ich liczba wielka.

Rycerstwo, gdy spoczywało na zamku, puszczało się na łowy różne nad Nogatem, ujeżdżało konie, zabawiało się wycieczkami; a powracając, nierzadko zatrzymywało się w mieście, o czem, choć kto wiedział, białych płaszców zdradziłby się nie ważył.

Drobniejsza szlachta, która się już naówczas odróżniała płaszczami szaremi, choć w Zakonie równą się uważała ze starszyzną, nie mogła sobie tyle pozwalać. Trzymano ją surowiej.

Do zwolnienia reguły dla dostojniejszych przyczyniały się, parę razy w rok przybywające, całe zastępy gości krzyżowych z Anglii, Francji, z Niemiec i innych krajów. Dla tych przybyszów drogocennych, bo z nimi wiele zasobów otrzymywał Zakon, zastawiano stoły, wyprawiano uczyty i zabawy, turnieje i łowy. A że oni do reguł zakonnych nie byli obowiązani się zastosowy-

wać, reguła do ich wymagań się nakłaniała. Starszyzna była od niej wolną na czas pobytu gości, a po ich odejździe, obyczaj, raz wzięty, trwał dalej.

Świeccy ludzie przynosili z sobą swawolne rozmowy; nie jeden z dworem na kruczającą ciągnął sługi różne, które w mieście się zostawały i niekiedy tu zamieszkiwały...

Ludność więc była tu wcale inna, niż po miastach, które urosły w warunkach odmiennych. Czoło jej stanowili kunsztmistrze, rzemieślnicy, rękodzielnicy różni, a poza nimi ci, co na ludzkich słabościach, jak plugawe pasorzyty, się gnieźdzą.

Gospód wszelkiego znaczenia coniemiarą było, począwszy od tych, w których się knechty piwem upijały, aż do tych, co białym płaszczom dostarczały doskonałych pigmentów, to jest mocnych win, osłodzonych i korzeniami przyprawnych.

Na stole krzyżackim powszedniego czasu, jeśli się taki pigment ukazał, to w małym kółku i pod wymiarem, jaki reguła wskazywała; po gospodach dawano go, ile kto zapłacił.

Naostatek byli w mieście i tacy mieszcianie, o których powołaniu i zajęciach nikt dobrze nie wiedział. Zwali się albo pokrewnymi jednych, lub protegowanymi drugich i rodziną.

Do tych zagadkowych onego czasu istot, w Malborgu już oddawna osiedlonych, należała i Gmunda Lewen, niemłoda już niewiasta, pokrewną się zowiąca jednego z płaszczów białych, Siegfrieda von Ortlopp.

Siegfried ów, z nad Renu tu przybyły, mąż już zestarzały teraz, milczący, z siły starganemi, dla dawnych jakichś zasług swoich w Zakonie był wielce poważany. Jego powaga osłaniała dom pani Gmundy, który wśród miasta, jak wyspa, stał odosobniony, bo do niego ani sołtys, ani miejscowa władza ni zaglądać, ni od niego nic żądać, ani się mieszać do spraw jego nie śmiała.



Nietylko Siegfried stary tam uczęszczał; przychodzili i inni krzyżacy i zabawiano się tam wesoło nieraz dopótna. Gdy na zamku rzucanie kości i gra inna, oprócz warcab, a szachów, zakazaną była; wiedzieli wszyscy, iż u Gmundy kubki stały jawnie na stolikach i grywano tu zapamiętałe. Nie godziło się też krzyżakom w towarzystwie niewiast znajdować, a tu ich zawsze było pełno:

Gmunda Lewen miała po dwie i trzy siostrzenice, sprowadzane z Niemiec, które się ukazywały tu i znikwały, czeladź kobiecą liczną. A nikt jej chowania ich nie wzbraniał.

Stara gospodyni nader wyglądała poważnie: twarz miała surową, namarszczoną, usta usznurowane, i uchoodziła za bardzo srogo dozierającą dworu swojego. Gdy się czasem w białych krochmalnych czepcach, szeroko rozpiętych nad głową i spadających aż na ramiona, ukazała w progu swojego domu, w sukni czarnej, bramowanej galonami, z torebką i kluczami u pasa, mieszczanie przechodzący kłaniali się jej do ziemi, a mieszcanki przyglądały się strojom ciekawie, rade naśladować, co jej z Niemiec przysyłano.

W kościele, do którego Gmunda uczęszczała nader gorliwie, miała swój klęcznik obity aksamitem, najbliżej ku ołtarzowi posunięty, — i gdy do niego szła, wszyscy się przed nią ustępowali. A idąc, szeleściła sukniemi, dźwięczała łańcuchami i manelami, których zawsze było na niej pełno.

Wiedzieli mieszczanie, iż przez nią i Siegfrieda na zamku u mistrza wszystko, co chciała, wyrobić mogli. Potęga jej już tak była ustaloną, że choć surowsi, jak Bernard, znać jej nie chcieli i czasem się odzywali o niej z przekąsem, nic jej dotąd już za trzeciego mistrza nadwreżyć nie mogło.

Dwór Gmundy stał w mieście samem, niedaleko nowego kościoła, jednakże tak odosobniony i odparkanio-

ny, a drzewami osłonięty, iż niełatwo było zbadać, co się w nim działo. Głównemi jego wrotami od ulicy bardzo rzadko kto wchodził, lecz miał dwie furty mniej widoczne po bokach, które nie próżnowały. Wieczorami, często po obwołaniu gaszenia ognia, u Gmundy świeciło, lecz niktby był nie śmiał o to jej upominać.

Słowem, było to gniazdo uprzywilejowane.

Lat już upłynęło pięć pono od czasu, gdy z wyprawy na Litwę zwycięskiej, w której, oprócz rzezi straszliwej mnóstwo jeńców młodego wieku zabrano, przypędzono do Malborga kilkadziesiąt sierot, przeznaczonych na życie i niewolę.

Byli to, jak mówiono, chłopcy sami, i przypisywano to trafowi, że między nimi znalazło się dziesięcioletnie dziewczę — Baniuta, na którym resztki oszarpanego ubrania, delikatna pleć, wstążka złocista we włosy wpleciona, domyślać się kazały dziecka możniejszego rodu.

W początkach, gdy Baniutę odkryto, surowsi starzy krzyżacy krzyczeli, domagając się, aby to plugastwo wprost, ochrzciwszy, zabić i nie żywić. Stary Siegfried ulitował się dziecku płaczącemu i strwożonemu, i, nie wiedzieć jakim sposobem, wyrwawszy je z rąk oprawcom, wymógł, że mu pozwolono oddać je na wychowanie Gmundzie, która — acz niechętnie, zgodziła się je, jak psa, żywić przy kuchni.

Najpierwej więc ochrzczono ją nagwałt, dając jej imię patronki, czczonej w Zakonie, dla znajdujących się tu relikwii jej, Barbary. Gmunda ze wstrętem podjęła się hodować to stworzenie, które za dziką istotę, nigdy się nie mającą dać przyswoić, uważała.

W istocie, obyczaj miała Baniuta zupełnie inny, niż mieszczańskie dzieci. Napozór od rówieśnic swoich nieskończenie była przebieglejszą, śmielszą, dojrzałą i nieunoszoną; odznaczała się dumą i uporem. Biciem i karaniem nic na niej wymóc nie było podobna.

Mdlała z bólu, gdy ją sieczono, ale zacinała usta i nie wydała jęku.

Nie ucząc się, umiała jakoś, czy też instynkt jej poddawał, wiele rzeczy, którym się dziwowano.

Niezmiernie zręczna i silna, mogła się, jak kot, wdrapać na najwyższe drzewo, przeleźć przez płot, wygrzebać w ziemi jamę i w niej, liśćmi się okrywszy, zakopać, aby jej nie znaleziono... Ze zwierzętami najdzikszymi znała się, jak swoja, — nie przstraszało jej żadne. Później, gdy się nieco z nowym bytem oswoiła, wodziła krzyżackie konie najswawolniejsze, lepiej im dając rady od knechtów.

Gdy ją różnych niewieścich robót uczyć zaczęto, mniej od innych potrzebowała czasu, aby je sobie przyswoić i nadzwyczajną objawiała zręczność, ale ochoty do nich nie miała. W izbie zamkniętej dla niej siedzieć było męczarnią; gdy tylko mogła, wyrwała się na podwórze, a często, gdy znikła, znajdowano ją na drzewach między gałęzmi, lub tak okrytą jemiolą, że jej dojrzeć było trudno.

Musiano się z nią oswoić, nie mogąc natury jej przerobić; a że niezmiernie była pracowitą i pożyteczną w domu, i, pódrastając, stawała się coraz piękniejszą, Gmunda powoli przywiązała się nawet do niej.

Mężczyźni, co ją czasem w podwórku widywali, unosili się nad nadzwyczajną jej pięknnością, chociaż wcale się nie przystrajała, i odziać ją wedle niemieckiego obyczaju było niezmiernie trudno.

Na bose nogi długo, zimą i latem, nie wdziać nie chciała. O sukni mowy nie było też; chodziła w koszuli, w kożusku, z włosami we dwie długie kosy zaplecionemi i lubiła tylko bursztyny i korale, może dlatego, że jej dawny strój dziecienny przypominały. A że o takie paciorki było jej tu trudno, często z głogu, z jagód, z kwiatków sobie nizała naszyjniki jednodzienne. Tak samo z ladajakich liści, byle zielonych, robiła sobie

wieńce na główkę. Dziwnym sposobem, gdy ją, zabierając, odzierano, nie spostrzegł ten, co z niej paciorki oberwał, że dziecko miało mosiężny pierścień na ręczce. Nie odebrano go później Baniucie, a że ręka teraz zgrubiała i ciasny był na nią, wieszała go na sznurku i, ukrywając pod koszuliną, na szyi nosiła.

Niemieckie dziewczęta śmiały się z niej, przedrwiwały, przezywały ją kotką dziką, ale zazdrościły jej wielce piękności, przebiegłości i siły. Małeńka, gibka, zwinna, słabiutka napozór, Baniuta dźwigała ciężary ogromne, a uderzenie małej jej rączki starczyło za ciśnienie kamieniem.

Nauczyć się musiała tej mowy, którą koło niej szwargotano, ale napróżno usiłowano oduczyć ją litewskiej. Siadała po kątach, kryła się i śpiewała pieśni, mówiła sama do siebie tym językiem, jakiego ją matka uczyła.

Chodziła do kościoła i musiała się modlić, lecz wszyscy poznawali po niej, że swoich się bogów nie wyrzekła. Stała strwożona w kościele, a wymykała się z niego, jak tylko mogła. Słowem, było to stworzenie nieuchodzone, ugłaskane tylko pozornie, i jakby wypatrujące chwili, aby pierzchnąć do lasu. Pięć lat upływało, jak ją tu przyprowadzono; z dziecka wyrosła na śliczne dziewczę, z ogromnemi, niebieskiemi oczyma; przyswoiła sobie, co tylko mogła, od Niemek; lecz tego, co przyniosła z sobą, ani zapomniała, ani się wyrzekła.

Rozumem i bystrością daleko przechodziła wszystkie rówieśnice swoje.

W pierwszych latach Gmunda i jej siostrzenice usiłowały się dopytać od niej coś z przeszłości... ale dziewczę potrząsało główką i mówiło, że nie pamiętało nic, oprócz tego, że ją, porwawszy, odarto i zbito.

Z tych czasów pozostała jej na prawej ręce blizna od rany, na którą patrzała co dzień i zdała się ją pielęgnować, jak drogą jakąś pamiątkę.

Posłuszna, pojętna, czasem obojętnie łagodna, gdy się znużyła, — Baniuta sercem się tu nie przywiązała do nikogo... nie zwierzyła nigdy, nie poskarżyła nawet. Wejrzenie jej na tych, co ją otaczali, pokryjome, pełne było nienawiści i wstrętu.

Pomimo tej dzikości dziewczęcia i pozoru dziwnego, tak pięknością i wdziękiem czarowała wszystkich, że mężczyźni nie mogli się jej napatrzeć i Gmunda aż się gniewała już na to obłączenie. Baniuta wcale się nie nastroczała, rada chowała po kątach... ale, jako sługa, często też i wybiec była powinna, choć nie chciała.

Co się miało stać z tą Litwinką, która na Niemkę przerobić się nie dała, nikt przewidzieć nie umiał. Tymczasem ludzie na niej oczy paśli, a nawet stary Siegfried, na wszystko zobojętniały, gdy mu posługiwała, wzroku od niej oderwać nie mógł.

Jakim sposobem Rymos, który przy jednym z białych płaszczów czasem pachółka zastępował, poznał się z Baniutą — odgadnąć łatwo. Trzymał on konie długo pod parkanem dworu pani Gmundy, a traf chciał, że z drugiej strony w krzakach ukryte dziewczę, korzystając z chwili, gdy we dworze o niem zapomniano, właśnie sobie półgłosem piosnki litewskie zawodziło.

Rymos, jak go tylko nuta doszła, z bijącym sercem przytulił się do parkanu i, korzystając z chwili milczenia, znajomej sobie dajnos półgłosem strofkę zaśpiewał.

Baniuta krzyknęła, w jednej chwili już była na wierzchu parkanu i patrzała wdół, drżąca... Zaczęła się rozmowa. Rymos, jak szalony, oczy w nią wlepiwszy, z radości mało nie zapomniął o koniach. W krótkich słowach powiedzieli sobie wszystko, co pamiętali... Baniuta, gdy posłyszała, że jej wołają, ześlizgnęła się z płotu i znikła... Odtąd Rymos w najchytrzejszy sposób wyrывał się na służbę przy koniach do dworku... i w parkanie znalazł się łopianami zakryty otwór, przez

który wygodnie z sobą mogli rozmawiać, jeśli się dziewczynie wyrwać udało.

Obojgu miło było tym dźwiękiem mowy zakazanej się napawać, która dla nich najdroższą była. Rymos rozmiłowywał się w dziewczynie, ona śmiała się z niego. Była nadto dumną, nadto piękną, nadto młodą, aby biedny, obrukany, znędzniały chłopiek coś więcej w niej obudził, oprócz politowania. Ale z sobą mówili — o Litwie; Baniuta daleko lepiej ją pamiętała, uczyła go, czego zapomniał, i o bogach, o obrządkach, o źródłach świętych, o obyczajach domowych, tak mu prawiała, jak stara, przykazując, żeby się nie ważył ani ich wyrzekać, ni zabywać...

Rymos byłby się w niej rozmiłował okrutnie i już mu się na to zbierało; ale na pierwsze słowo dwuznaczne namarszczyło się dziewczę i słuchać go nie chciało.

— W niewoli niema kochania! — rzekło — serce zamknięte.

— To cię Niemiec jaki weźmie, bo na ciebie dobrze ostrzą zęby.

— Niech ostrzą, ale mnie z nich nie ukąsi żaden. Powrócę ja do swoich, powrócę... a tam ojciec albo matka narzeczonego mi dadzą takiego, jaki mi należy, co będzie siedział na wysokim grodzie i panował nad wielkim krajem.

Tak dziewczę marzyło.

Rymos był dla niej sługą, niewolnikiem. Lubiła go, bo z nim jednym mogła się rozmówić tylko — zakazaniem słowem.

A gdy pocichu nucili pieśni razem — płakali oboje...

We dworze Gmundy — Baniucie coraz niewygodniej być zaczynało. Dawniej miała więcej swobody, choć pracę cięższą; dorastającej — ujęto wprawdzie roboty, ale ciągnięto ją do posług w izbach, zmuszano się przystrajać, i Niemcy, zbierający się na pigment i kości, coraz słodsze mi na nią rzucali oczyma.



Miedzy panią a sługą, która odzieży wykwintnej wkładać nie chciała, a wyręczała się innemi, gdy podczas odwiedzin do izb służyć iść kazano, przychodziło do sporów. Baniuta milcząco się opierała; stara jejmość policzkowała ją i łajała.

Uporu sługi niepodobna było przełamać. Wieczorami, gdy gwarno się robiło w izbach, a umyślnie wyprawiano Baniutę, do której z komnat, gdzie się domyślała Niemców, czyhających na nią, żadna siła jej tam napędzić nie mogła.

Inne Niemki, może rade temu, przecież się z niej wyśmiewały, — ona milczała.

O wszystkim tem, co się tu działo, Rymos wiedział od niej, a gdy mu opowiadała, zębami zgrzytał, jak zwierz dziki.

— Tam, na ich zamku, żeby fartuch, leżący zobaczyli na kamieniu, uciekają, żegnając się, jak od złego ducha, — mówił ze złością — a tu... wolno im wszystko... a na wojnie jak bydłęta dokazują...

Jednego wieczora, gdy, wedle zwyczaju, podkraść się parobczak do swojego kunigasa, a nie miał już co rozpowiadać, począł o Baniucie.

Tak samo wprzód jeszcze o kunigasie swym mówił dziewczynie, która z niezmierną ciekawością ciągle go potem dopytywała o niego.

Jerzy, od dzieciństwa chowany w surowej regule zakonnej, o kobietach mało co słyszał, a mniej ich widywał jeszcze. Wygnana z murów klasztornych niewiasta była wszakże jednym z najulubieńszych przedmiotów dla kaznodziejów, którzy piorunowali przeciw niej, aby ustrzec od sideł i zrazić od wszelkiego z nią stosunku.

Mnişi krzyżaccy mówili o niej często, gdyż rycerze w swych wyprawach na wszelkie pokusy narażeni bywali, należało więc ich przeciw nim uzbroić. W ko-

ściele nasłuchiwał się najwięcej Jerzy o kobietach, i to, co o nich wiedział, najwięcej z tego źródła płynęło.

Niewiastę więc wyobrażał sobie, jako istotę chytrą, przewrotną, współniczkę i pomocnicę szatana, czyhającą na człowieka i zbawienie jego, uposażoną czarownemi dary, mającą siłę demoniczną, i wdzięk węża usypiającego wejrzeniem ofiarę. Żywych niewiast widział mało, bo go trzymano od dzieciństwa wśród tych murów, do których przystęp im był wzbroniony. Na obrazach w kościele święte i męczennice, naówczas najwięcej czczone: Barbara, Katarzyna, pokrewna mistrza Luderę, święta Elżbieta, były dość wdzięczne, choć je ręka niewprawnych mistrzów kreśliła. Bogarodzica występowała surowa i smutna. Z tych wszystkich pobieżnych wrażeń i wskazówek wyobraźnia młodego chłopca stworzyła sobie coś dziwnego, dzieląc całą pleć niewieścią na dwa zastępy: bohaterkę świętą i — pomocnicę szatana. Jerzy się niewiast obawiał i był zarazem ciekawym.

W opowiadaniach Rymosa, które później przysły, kobieta ze wspomnień poganina wcale inaczej się przedstawiała. Była to wierna towarzyszka mężczyzny, jego pomocnica, na której ramionach i ręku cały ciężar domowy spoczywał; wesołe dziewczę zamlodu, u źródła, z pieśnią na ustach, potem niestrudzona gospodyni i macierz, gdy raz nad nią pieśń weselną odśpiewano.

Urok jakiś miały dlań te litewskie niewiasty Rymosa, daleko większy, niż niedostępne święte obrazów kościelnych i straszliwe Dalile i Jezabele kaznodziejów.

Nietylko co do pojęcia tego rozmowy z Rymosem zachwiały Jerzym, lecz wogóle zamąciły w nim dawniej jasne religijne wyobrażenia i przyjęte prawdy chrześcijańskie.

Tak samo, jak kobieta litewska, tak i świat religijny Litwy walczył w nim z tym, który widział z grodu

krzyżackiego. Ku poganom ciągnęła go krew i przytę-  
pione wspomnienia młodości; lecz i wielkie, a jasne  
nauki ewangeliczne, do których się przywiązał, nie zda-  
wały mu się mniej pojętnemi.

Oba światy, jakkolwiek bojujące i sprzeczne, chcia-  
ły się przedjednać i pogodzić.

Bogowie Litwy, mieszkający wszędzie, spoufaleri  
z człowiekiem, w tysiącu ukazujący mu się postaciach,  
zachwycali go; ale i ów Bóg jedyny, który za świat  
cierpiał, krew przelał i kazał przebaczać wszystkim,  
a nieprzyjaciół kochać, jak braci, był jeszcze jego Bo-  
giem.

Ani się wyrzec tamtych nie chciał, ni tego, który  
przecież zwyciężał i panowanie swe nad całym rozcią-  
gał światem.

Wątpliwości tylko rodziły się w umyśle Jerzego,  
gdy naukę ewangelji, tak dobitną, a wykretnych tłū-  
maczeń niedopuszczającą, porównywał z czynnościami  
sług Boga ukrzyżowanego, co na piersi znak Jego no-  
sili. Komuż kiedy przebaczyli krzyżacy? kogóż oni,  
jak bracia, kochali??

Ta dzikość sług niepojętą była dla Jerzego, gdy my-  
ślał o Panu ich. Przychodził do dziwnych przypuszczeń  
i tłumaczeń.

Inne więc było prawo, a życie inne?

Z tych dum dziecinnych wkońcu powstawało zwąt-  
pienie i obojętność; nie chciał myśleć o tem, czego zro-  
zumieć nie mógł.

Dawniej gorliwy do modlitwy, Jerzy, począł ją za-  
niedbywać. Z nauką języka, pieśni, z opowiadaniem  
o obyczajach, które dziwnym sposobem zdawały się  
mu jakby przypomnieniami rzeczy dawniej znanych  
i wiadomych — przyszła coraz gorętsza miłość Litwy,  
ciekawość jej, żądza powrócenia do swoich.

Lecz zdawało się to zupełnem niepodobieństwem.

Ani Rymos, ani Jerzy nie znali zupełnie kraju, dróg,

sposobów, jakimiby się wykraść stąd można. Przychodzący teraz do nich Szwentas, który się rozmiłował w kunigasie i pragnął mu dopomóc, choćby największą ze sywej strony ofiarą, wzdychał, ciągle powtarzając, że niema możliwości wyrwania się z rąk krzyżackich.

Robiono najzuchwalsze, najdziwaczniejsze plany; wymyślano niedorzeczne, jakby z bajek zapożyczone, sposoby ucieczki; ale Szwentas na wszystkie trząś głową i pogardliwie spluwał.

Rymos, gdy sami byli, zabawiał Jerzego i uczył go tego, co mu Baniuta, daleko więcej umiejąca i pamiętająca, powiadała.

Ciągle rozповідаjąc i malując tę Baniutę, chłopak wkońcu do najwyższego stopnia rozbudził ciekawość młodego kunigasa. Zaspokoić jej nie było podobna.

Szpitalnik, który bacznie okiem śledził symptomata choroby młodzieńca, dostrzegł w nim łatwo pewnej zmiany na lepsze. Jerzy był wprawdzie niespokojny, rozgorączkowany, nieswój; lecz siły wracały, życia w nim było trochę, chociaż chorobliwego.

Sylwester wołał to, niż apatją długą, której się nadewszystko obawiał. Za pierwszym razem, gdy Bernard go spytał o stan Jerzego, powiedział mu stanowczo:

— Choroba przesilać się zdaje, jest w niej zmiana, a to już wiele. Trzeba teraz myśleć, jak zapobiec, aby лихо nie powróciło. Przeszłe życie, zbyt surowe dla tak młodego wieku, było przyczyną choroby, to nie ulega wątpliwości; radźcie nad tem, co z nim zrobić. Starym na grodzie spoczywać w tych murach — dobrze, młodemu w nich rosnąć — ciasno.

Nic nie odpowiedział Bernard, bo bez rozmysłu nic nie poczynił; lecz widać było, że rady nie lekcewał.

Władzy miał dosyć, aby rozporządzać Jerzym. Wystąpienie w. mistrza Ludera i publicznie dana nagana

Bernardowi okazały się zaraz nazajutrz tylko politycznym obrotem nowego naczelnika Zakonu.

Rano posłał Luder kompana swojego po Bernarda. Posłuszny, poszedł on natychmiast, karność zakonną wysoko szacując i z niej się nie chcąc wyłamywać.

Spodziewał się może od mistrza, we cztery oczy, nowego, a surowszego napomnienia; znalazł go łagodnie usposobionym.

Ten, wczoraj tak nieubłagany, Luder, pozdrowił go uprzejmie i drzwi swej celi zamknął, aby ich nie słuchano.

— Bracie Bernardzie — rzekł — jesteście filarem Zakonu, znacie potrzeby jego i najlepiej wiecie, jak się u nas wszystko rozprzęga. Padliście wy ofiarą za innych, acz niewinną. Musiałem was, co macie zasługi i powagę, strofować i karcić za pozorną samowolę, abym innych władzę moję szanować nauczył. Tłumaczę się wam, bo nie chcę, abyście mnie mieli za człowieka niesprawiedliwego.

Zrozumiecie, com uczynił i dlaczego. Ja na was pokładam nadzieję, że tak, jak za poprzedników moich, służyć sprawie Zakonu będziecie przy mnie.

Wiele zwolnionej reguły potrzeba w ścisłe wziąć karby. Nie lękam się ja losu Orselena, ani noża mordercy; życie moje w ręku Boga; a gdyby była potrzebna krew, dlaczegóżbym jej przelać nie miał? Lękam się czego innego: krnąbrności i lekceważenia tej samej starszyny, która mnie wybrała, nie dla moich zasług, ale dla imienia... a ufa dziś, że się wywdzięczę bezkarnością...

Wy, skromny pracowniku, — dodał, wyciągając rękę do Bernarda, — pomagajcie mi, ale nie okazujcie, iż jesteśmy z sobą zgodni i w zмовie.

Gdy tak mówił mistrz Luder, rysy jego twarzy, wczoraj tak nie znaczące i pospolite, rozjaśniły się

rozumem i zapalem, z którymi ukrywać się zdawał dla ogółu.

— Bardzo wiele do czynienia mamy, bracie Bernardzie — dodał, wzdychając — bo jak u templariuszów, których doścignął palec Boży, i u nas reguła się wypaczyła, połamała, i przekroczyły ją zwyczaje swawolne.

Naprzód, pobożności u nas niema, Boga nie widzimy przed sobą, i stąd płynie zło wszystko. Rycerstwem jesteśmy do zbytku, zakonnikami za mało. To, co się zbawieniem zdawało dla nas: napływ obcych, miłość całego świata, z jaką się do nas garnał i garnie, powoli nas gubi. Na dziesięciu mężnych i pobożnych rycerzy, przybywa do nas stu rozpustnych zbójców, którym smakuje wojna z pogany, bo w niej wszystko im wolno. Musimy ich jeszcze ze czcią przyjmować, gościć, poić, a oni nam zarazę przynoszą.

Po staremu więc, bracie Bernardzie, pracujcie, patrzcie, słuchajcie, czyńcie co potrzeba, aby Zakon nie upadł; a w czem ode mnie poparcia zechcecie, z tem przyjdźcie potajemnie do mnie.

Bernard uradowany podziękował za zaufanie i za wyjaśnienie Luderowi, który, w tej chwili posłyszawszy nadchodzącego kompana, zaraz zmienił ton i odprawił go mručeniem groźnem.

Znowu więc Bernard, pokrzepiony, rozpoczął swą niewidzialną pracę.

Lecz tak jego, jak mistrza, zabiegi dla pohamowania rozprzeżenia były prawie bezskutecznymi; kilku ich było dobrej wiary i woli przeciwko zastępowi całemu krzyżaków, których życie, samo wojenne rzemiosło, nieustanna potrzeba zawojowywania i przywłaszczania sobie coraz więcej krajów, aby zyskać trwałe granice i bezpieczeństwo, nauczyły przewrotności, fałszu, okrucieństwa w polityce: a polityka, jak zawsze, odbiła się potem w obyczajach. Zgwałcenie prawa moralnego w jednej sferze sprowadza lekceważenie jego w innych.



Zdradzano umowy, łamano traktaty, szydzono ze słów i obietnic danych Polsce, Litwie, pomorskim panom; mianoż potem szanować regułę zakonną i prawa mniejszego znaczenia?

Zakon, szpitalnym uczyniony, to jest miłosiernym, mógł się utrzymać; stawszy się zaborczym w imię Chrystusa, kłam zadawał nauce tego, którego wyznawał.

Zaród więc rozprzężenia tkwił już w samej naturze jego potwornej.

Brat Bernard, po sprawozdaniu nedorzecznem Szwentasa, parę razy jeszcze coś z niego dobyć próbował, wreszcie, uznawszy go głupim i niezdolnym — nie myślał już o nim.

Jerzy zawsze wydawał mu się narzędziem, które na korzyść Zakonu dawało się wyzyskać. Jak? tego sam jeszcze jasno nie wiedział.

Chrześcijanin, wychowany w wierze, w której się gorliwym być zdawał, mógł, nawet na swobodę puszczoney, zanieść, jako apostoł, chrześcijaństwo na Litwę. Zamiast krwawego podboju, z jego pomocą Zakon mógł sobie pozyskać zwolenników i sprzymierzeńców. To apostołowanie wydawało się Bernardowi najzdrowszą i najlepszą polityką, chociaż ona wcale ogólnym pojęciem krzyżaków i ich obyczajom nie odpowiadała.

Lecz cóż ważył na tej próbie? Bernard, rozmyślając, wkońcu sam jednak miał wątpliwość: czy Jerzy, wypuszczony na swobodę, nie uległby wpływowi rodzinnego otoczenia i czyby Zakonu nie zdradził?? Wychowany tu, w wielu spraw samem patrzeniem na nie wtajemniczony, mógł być niebezpiecznym i szkodliwym...

Wahał się więc krzyżak i po rozwadze postanowił dłużej jeszcze Jerzego przygotowywać, a, nadewszystko, właściwem postępowaniem wpoić mu miłość Zakonu.

Wszystko to za późnem już było. Dowiedziawszy

się od Sylwestra szpitalnika, iż chłopak zdrowszym się wydawał, tegoż dnia poszedł do niego Bernard.

W istocie znalazł w nim zmianę. Twarz krasił choć słaby rumieniec; Jerzy był więcej ożywiony, mniej uparcie milezący.

Zwykle do zbytku surowy, Bernard, dla swojego pełnego nadziei wychowawca przybrał twarz, jak mógł, najłagodniejszą, oblicze słodczy pełne... Zasiadł poufale na tej ławie, w oknie, naprzeciw niego, na której wieczorami Rymos się zwykł był mieścić, i zawiązał z nim rozmowę, ojcowskim tonem, z dobrocią i wyrozumiałością wielką.

— Widząc, że w istocie lepiej wam jest — rzekł — i Bogu za to niech będą dzięki. Wierzcie mi, że ja wam dobrze życzę, a że się po was wiele spodziewam dla Zakonu, radbym wypiełgnować na silną jego podpórę.

Ci, co ze świata przychodzą do nas, zawsze coś z niego tu przynoszą, z czego się im otrzepać i obmyć trudno; wam Pan Bóg dał się tu od dzieciństwa wychować, osłoniętemu od zgubnych wpływów.

Jerzy słuchał z oczyma spuszczonemi; sam Bernard zmiarkował, iż nadto górnym tonem do wyrostka mówić rozpoczął i zmienił przedmiot natychmiast.

— Może wam w tych murach, do których my starzy nawykliśmy, — rzekł — smutno i duszno? mówcie. Chorym się wiele dozwala!

Jerzy podniósł oczy, uśmiechnęła mu się nadzieja trochę większej swobody; chociaż jeszcze odpowiedzieć nie śmiał, Bernard mógł się dorozumieć, iż tknął strunę, która zadrgała.

Naówczas już, oprócz samych zakonników, prócz niemieckiego mieszczaństwa i kolonistów włościan, ściągniętych dla zaludnienia podbitej ziemi, której mieszkańcy albo padli wojny ofiarą, lub się rozpierzchnęli, — wiele uboższej szlachty z różnych krajów niemieckich przybywało, otrzymując tu nadania lenne od

Zakonu. Już w tych latach kilkadziesiąt rodzin w ten sposób około Malbarga, Królewca i po powiatach się osiedliło. Pierwsi ci przybysze: Pynau, Mul, Stubechy, Brandisy, Muckenbergi, Ewerowie i t. p., mieścili się w pobliżu grodów, które ich zabezpieczały od napaści.

Pomiędzy Malborgiem i Żuławami, w niewielkim od miasta oddaleniu, siedział na folwarku swym, Pynaufeldem zwanym, jeden z najpierwszych kolonistów — Dietrich von Pynau, który na myśl przyszedł Bernardowi. Zdało mu się, że tak blisko i pod okiem mając Jerzego, a dając go Pynauom, aby u nich trochę odetchnął swobodniej, zarazem chłopca uzdrowi i na żadne nie narazi niebezpieczeństwo.

Dietrich von Pynau, z żoną niemłodą, z dwoma synami, którzy mu do nowego gospodarstwa pomagali, mieszkał o godzinę niespełna pieszej drogi od grodu.

Wszystko będąc winien Zakonowi, bo ubogim tu przybył, z jednym wozem i kilku wierzchowcami tylko, a dziś już miał zasobne gospodarstwo; stary Dietrich gotów był do wszelkich usług. Jerzy mógł tam u niego odżyć, pokrzepić się, a nie mu nie groziło.

Pynauowie nie troszczyli się o nic więcej, jak tylko o zdobycie mienia, pracowici byli, skąpi, życie wiedli twarde i surowe, popsuć więc chłopca nie mogli.

— Wiesz co? — odezwał się wreszcie Bernard. — Mnieby się zdało, że trochę cię puścić na wiejskie powietrze nie zawadzi. Chcesz-li, pomówię z Pynauem, który pod miastem ma nadaną ziemię, aby was wziął na czas jakiś. Młodzi lubią łowy, możecie i zapolować z nimi: stary, choć czytać i pisać nie umie, wiele świata widział.

To mówiąc, patrzył krzyżak w oczy Jerzemu, i pochwyciwszy nieśmiało, ale wdzięczne wejrzenie jego, dodał śpiesznie:

— Zgoda? poproszę mistrza o pozwolenie, a staremu Dietrichowi, gdy powiem, będzie was jak własne hodował dziecko.

Jerzy zarumieniony wstał i podziękował tylko. Bernard uradowany wyszedł natychmiast.

W istocie, ta trocha swobody w pierwszej chwili poruszyła wielce chłopaka. Zdawało mu się, że ją zużytkować potrafi; jak?... nie był pewien jeszcze. Może do ucieczki, o której śnili i radzili.

Dopiero po rozmyśle Jerzy rozrachował, iż rozstać się będzie musiał z Rymosem i Szwentasem, że znowu się znajdzie wśród Niemców samych, których co dnia więcej nienawidził.

Ale już słowa cofnąć było niepodobna.

Reszta dnia upłynęła na ciężkich rozmyślaniach i walce z samym sobą, aż do wieczornego przybycia Rymosa. Stary parobek dnia tego jakoś przywlec się nie mógł do swego kunigasa, choć ten tu do rady potrzebniejszym był od chłopca.

Na pierwsze słowo, którem Jerzy zapowiedział prawdopodobny swój odjazd do Pynaufeldu, Rymos rozpaczliwie zakrzyknął i ręce począł łamać. Dopiero ochłonawszy, dojrzał on i Jerzemu ukazał, że to zesłanie na wieś, tak od Malborga bliską, mogło mieć swe korzyści.

— Kunigasio mój! — rzekł. — Nie już was Pynaui te w niewoli będą trzymać zamkniętego? Poto was tam ślą, abyście odetchnęli. Oni około roli dużo mają do roboty i dzień, a noc gospodarstwa pilnują. Będziecie i wy mogli jeździć i chodzić, gdzie zechcecie. A któż wam zabroni do miasta? do Malborga?

Jerzy miał myśl inną: chciał uprosić dla siebie pacholę do posługi i wybrać Rymosa. Oba jednak pomiarkowali, że prośba o niego mogłaby zdradzić ich stosunki i tajemnicę. Rymos się zląkł, Jerzy zawahał.

Młodemu z grodu się wyrwać do Pynaufeldu potajemnie było trudno; Szwentas, daleko doświadczeńszy i przebieglejszy, miał na to sposoby. Mógł więc Jerzy jego się spodziewać przynajmniej. A szło mu o zacho-

wanie tych dwu sług swoich, z którymi go jakby jedna krew i jedna miłość łączyła. Pokładał nadzieję na nich, czuł się nie tak odosobnionym, mając ich przy sobie. Rymos na Perkuna i wszystkich bogów, jakich znał, zaklinał mu się, iż wiernym pozostanie; a gdyby potrzebował usługi, gotów dla niego na wszystko.

Nazajutrz o wyjeździe do Pynaufeldu mowy nie było jeszcze. Jerzy wstał ze swego łóżeczka i przechodził się; Sylwester przyszedł doń uśmiechnięty i taką w nim znalazł zmianę szczęśliwą, iż myśl Bernarda, o której wiedział, zabierał się jak najgoręcej popierać.

Bernard krzątał się już około wyprawy.

Szło mu o to, aby sobie, a przez to Zakonowi, serce Jerzego pozyskać; nie wiedział wcale, co się w niem teraz gnieździło. Chciał więc na tę małą, pierwszą wyprawę Jerzego wyposażyć wygodnie i tak, by miłość własna jego nie cierpiała na tem. Tegoż dnia ze składów Trapiera, to jest szatnego Zakonu, wybrał suknie, przybór do konia, płaszcz, lekkie uzbrojenie i sam poszedł konia w stajni napatrzeć, na którymby Jerzego mógł wyprawić. Pomyślał i o pacholku dla niego; bo na folwarku rąk musiało być mało, a o usługę trudno, i żeńskiej się obawiał krzyżak. Zdało mu się, że Szwentas, do czego innego mniej zdatny, a wierny dotąd sługa i donosiciel, najstosowniejszym będzie towarzyszem.

Wcale się w nim litewskiego nie obawiał pochodzenia, gdyż od wielu lat miał dowody nienawiści, jaką on dla swoich pałał.

Stało się więc, czego nikt nie przewidywał, a czego Jerzy mógł sobie życzyć najgoręcej: dodano mu niezgrabnego Szwentasa za stróża i towarzysza.

I we trzy dni potem Jerzy w towarzystwie Bernarda, za sobą mając na grubej, ciężkiej szkapie uśmiechającego się parobka, w szarym płaszczu z półkrzyżem

czarnym, jechał pięknego dnia zimowego do Pynaufeldu, gdzie miał kilka miesięcy pozostać.

Twarz wprawdzie miał jeszcze smutną i bladą, ale w oczach błyskało coś, jakby lepszej przyszłości przeczucie.

## VI.

Poczyniała się wiosna, słońce dobrze przygrzewało. Na folwarku w Pynaufeldzie, po spoczynku zimowym, panował ruch i czynność nadzwyczajna. Stary Dietrich, który do pracowitego chłopca był podobniejszy, niż do rycerskich przodków, którymi się chlubił, w kożuszkach krótkim, w butach po kolana, w czapce futrzanej dla tysej głowy, z przekleństwem w bezzębnych ustach, związał się z żywością nad wiek jego rozgorączkowaną, naganając nie tylko parobków, ale i dwu synów, drabów dorosłych, silnych i niemniej od ojca zajadłych do gospodarstwa.

Wiosna postępowała nader szybko, nie można się było jej dać wyprzedzić. Potrzeba było nagwałt siać, rolę poruszać, łąki opatrywać, szkody przez wody Nogatu poczynione naprawić, ogrodzenia zniszczone na nowo podnosić i wzmacniać.

Człek to był osobliwy, ten stary Dietrich von Pynau, który się tu ważył kiedyś z nad Renu... straciwszy wprzód ojcowiznę i nie mogąc już dla waśni, a nieprzyjaciół na swych śmieciach wysiedzieć.

Naturę miał ognistą, niepomiarkowaną, zawsze zbytkującą we wszystkim. Młodość spędził nader burzliwie: napadał po gościńcach, więził kupców, tłukł się ze wszystkimi sąsiadami, żonę wziął, z mieczem w ręku się o nią dobijając i z woza ją na gościńcu porwawszy. Dokazywał tak, że wkońcu wszyscy się nań naposiedli; burg jego trzymano, jak w oblężeniu; wyskakiwał z niego, siekąc i łupiąc sąsiadów...



Wkońcu i jemu już samemu uprzykrzyło się to nędzne życie. Zubożał, postarzał; gdyby nie żona i synowie, najprędzejby był gdzie mnichem został. Gdy już nie wiedział, co poczynąć z sobą, zasłyszał o Zakonie, o podbitych ziemiach, które lennem dawano za małą opłatą i służbą; rozgorzała mu zawsze szalona pałka, zbył się za bezcen pozostałości i pociągnął do Prus.

Miał za sobą listy tych, co się warchoła z domu pozbyć chcieli. Przybysz z Niemiec krzyżakom był pożądanym: on jeden z pierwszych się zgłaszał, postawa za nim świadczyła, że się nie lękał niczego, a na wszystko był gotów; wydzielono mu znaczny kawał ziemi pod Malborgiem.

Dietrich, jak był szalonym niegdyś zbójem-rycerzem, tak równie namiętnie rzucił się do gospodarstwa. Zakon dostarczał, czego na początek brakło. On i synowie z kilku pościąganyymi Szwabami błędnymi, wzięli się do zakładania nowego Pynau. Ziemia okazała się dziewiczą, żyzną, wdzięczną; w pierwszych latach płody dała cudowne, o sprzedanie ich nie było trudno. Dostatek niespodziany wzmógł przedsiębiorczego ducha. Dwaj synowie starego Dietricha, prawdziwa krew jego, pomagali mu dzielnie.

Lecz też w Pynaufeldzie, oprócz tego, co grosz jaki dawało, o niczem słyszeć nie było można.

Stara matka ze starą sługą składały całą żeńską ludność domu. To też miały wiele do czynienia i o rycerskich obyczajach zapomnieć musiały.

Wieczorem, gdy do wielkiego stołu zasiedli mieszkańcy Pynau, a z nimi milczący i blade Jerzy, o nim nie mówiono, tylko o polach, nowinach, zbożu, sianie, bydłe; a rzadko nawet o łowach.

Piotr i Paweł, synowie starego, do niego podobni, czasem się pokusili ze psy — ale chyba, gdy już nic innego do roboty i dozorowania nie było.

Pracowici Pynauowie jedli i pili też, jak parobcy.

Gruby obyczaj w domu panował, a przekleństw i łajania można się było dosyć nasłuchać.

Stary, gdy z pola przyniósł gniew, nie wahał się go, oprócz sług, i na żonę wywierać. Ta mu nie skąpiła odpowiedzi. Synom, choć dorosłym, kijem się czasem dostawało. Spokoju w domu prawie nigdy nie było; a gdy we święta musiano spoczywać, zabawa niekiedy gorszą bywała od najcięższej pracy i kończyła się upojeniem i guzami.

Pynau, winien będąc ten nowy byt swój Zakonowi, szanował go, jak pana, którego był lennikiem. Gdy mu Bernard oznajmił, że chorego młodzieńca, wychowanka Zakonu, oddają mu dla pokrzepienia, Dietrich zaklął się, iż nad nim czuwać będzie, jak nad własnym dzieckiem, — co niewiele obiecywało — a oprócz tego poprzysiągł, że stara musi go karmić najlepszymi kąskami, że mu tu na niczem nie zbraknie. Piotr i Paweł podejmowali się go zabawiać. Wyznaczono mu izbę jasną, dano łóżko wygodne... słowem, miało mu tu być, jak w raju.

Szwentas zostawał dla dozoru.

W pierwszych zaraz dniach Pynauowie spostrzegli, że nieśmiały, milczący chłopak w ich życiu nie smakował, a im natarczywiej mu się starali przysługiwać, tem jakoś stawał się płochliwszym i chmurniejszym.

Po cichym żywocie klasztornym to piekło w istocie było dla Jerzego nieznośne; a jeśli co mogło w nim nienawiść do Niemców rozbudzić, to widok tego domu, w którym złe i dobre wrzało ciągle, jak w garnku...

Napróżno usiłował przez czas jakiś zjednać sobie Jerzego i skłonić go do przejęcia swego obyczaju, wkońcu dzikość złożyli na chorobę i dali mu pokój. Zostawiono mu swobodę niemal zupełną, a tego tylko było mu potrzeba.

Wchodził, wychodził, wyjeżdżał ze Szwentasem, kiedy i jak mu się podobało. Patrzano nań z cieka-

wością i podziwieniem, ale zaczepiano już ostrożniej, aby mu się nie naprzykrzać.

W niedziele i święta szaraczkowe płaszcze z Malbarga wykradały się czasem na pijatykę i kości do Pynaufeldu; zapraszano na te gody Jerzego, ale niechętnie przychodził.

Szwentas u niego po całych dniach, opatrzywszy konie, siadywał u progu na ziemi i uczył go pocichu litewskiej mowy.

Szeptali, naradzając się, co by tu począć, aby się wyrwać z niewoli.

Tymczasem zima przechodziła i wiosna się oznajmowała. Była w początkach niestałą, zaglądała i odchodziła... Korzystał z każdego jaśniejszego dnia Jerzy do przejażdżek. Szwentas czasem jechał za nim, niekiedy puszczał samego.

Chłopak z kolei kierował się w różne strony jakby dla poznania okolicy i, ośmieliwszy się, odjeżdżał daleko. Najdłużej odwagi mu brakło zbliżyć się do Malbarga, na który codzień patrzył i tu mu się najłatwiej dostać było, ale strach go jakiś ogarniał. Bał się, aby go kto nie zobaczył, nie doniósł, i aby go znowu nie zabrano na zamek.

W ciągu zimy Bernard, dla przekonania się, jak tam jego wychowawcowi się działo, zaglądał kilka razy do Pynaufeldu... Widział Jerzego zdrowszym, ale równie, jak był, smutnym i milczącym; pozwalał mu więc zwolna się tu pokrzepiać wiejskiem powietrzem.

Zimową porą wszyscy trzej Pynaufeldowicze mieli go więcej na oku; z wiosną we dworze mało kto zostawał. Jerzy był zupełnie swobodny ze Szwentasem i mogli zajmować się, czem chcieli.

To jednak, czego obaj pragnęli najmocniej — wyrwanie się z rąk krzyżaków, pomimo wielkiej świadomości kraju Szwentasa, było tak trudnem, iż dotąd ani pomyśleć nie mogli, jakby to uskutecznić. Parobek wa-

żyłby się sam na to, bo mu z jego powierzchownością łatwo było przebranemu się przesunąć, a złapanemu wyslizgnąć, lub wytłumaczyć. Jerzego młodość, postawa, niedoświadczenie, żywość — oczy nań zwracały i podejrzenia.

Samotność ze Szwentasem na folwarku pynaufeldzkim podziałała na młodego chłopaka tak, że coraz ciekawszym był i niecierpliwszym oglądania Litwy, a nie-nawisć ku Niemcom opowiadaniem towarzysza wzrosła i rozgorzała.

Naglił na niego o wyzwolenie, które tamten w różny sposób przeciągał i odkładał.

Stan zawojowanych posiadłości pruskich czynił przebycie ich dla podróżnych niezmiernie trudnem. Ucieczka Jerzego natychmiastby musiała być postrzeżoną, hasło do poszukiwania dane wszystkim komturom. Mieszkańców dawnych, Prusaków, było mało; po drogach i miastach, a gródkach koloniści niemiec-cy. Czuwanie nad włościemi i przechodniami, z powodu wciskających się szpiegów z Polski, będącej w wojnie z Zakonem, Litwy, która pory do napaści upatrywała, troskliwe było i wielkie.

Gródki krzyżackie stały na wszystkich drogach, a lasami bezdrożnemi przerzynać się nie było bezpiecznie, dla rozbójników pogan, których niedobitki się w nich tułały.

Szwentas, choć nie rozpaczał, że się może uda chwilę upatrzeć dogodną, zwłóczył i wymawiał się.

Jerzy tęsknił, sam dobrze nie wiedząc za czem; Litwę miał w sercu i na oczach ciągle, młodość go pędziła do czynu, życie bez celu męczyło go.

Jednego wieczoru, będąc w tem usposobieniu gorączkowem, sam jeden konno wybrał się na przejażdżkę. Szwentas stał w bramie; zapytał go, dokąd jechać myśli? Jerzy popatrzał wkoło, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W oddaleniu wieże zamku malborskiego wi-

dać było. Ściągnął konia, podumał chwilę, potem skoczył z niego i oddał cugle Szwentasowi.

— Pójdę pieszo — rzekł kapryśnie — będę swobodniejszy.

Nic nie mówiąc, parobek odebrał konia. Jerzy puścił się ku miastu. Znał on je trochę dawniej, bo i z wysokiego zamku przypatrywał mu się, i dawniej nieraz się tam z kim wymykać pozwalano. Dlaczego właśnie dnia tego przysła mu fantazja zejść do miasta, sam on nie wiedział. Drożyna dosyć błotnista, ponad którą rosły karłowate wierzby, krzaki, prowadziła na przedmieście. Była ona teraz pustą i Jerzy, prędko idąc, ani się opatrzył, jak stanął u pierwszych domostw drewnianych, otoczonych ogrodami. Ulic tu jeszcze nie było wytkniętych porządnie, każdy się, jak chciał, budował i rozkładał. Za domostwami kolonistów rolników powoli zaczęły się ukazywać kuźnie, mieszkania rękodzielników, warsztaty, domy ze sklepikami, których okiennice za stoły do sprzedaży służyły. Ubiór Jerzego, który prostą czarną miał suknię na sobie bez żadnej oznaki, jakich się tu codziennie mnóstwo przewijało, oczu na niego nie zwracał. Mógł więc swobodnie puścić się w głąb miasta, ku targowicy i kościołowi.

Co go tam wiodło, sam się może nie przyznawał przed sobą. Opowiadania Rymosa o domu pani Gmundy i o pięknej Baniucie, której był oddawna ciekawym, prowadziły go w stronę, w której stał dworek jej. Miał jakąś nadzieję, że może litewskie dziewczę zobaczy.

Znał położenie domu, a Rymos mówił o furcie, przy której stawał. Zdala kołując, Jerzy powoli zbliżył się ku ogrodzeniu, a zobaczywszy konie i pacholków przy nich, począł upatrywać Rymosa. Był prawie pewien, że musi go tu znaleźć. Młodość ma czasem takie jasnovidzenia niechybne.

W istocie Rymos leżał pod parkanem, pochylony ku niemu, ale Jerzego ani widział, ani nawet poznał

i domyślił się, gdy się przybliżył. Zadrzało serce nadchodzącemu, gdy posłyszał cicho nuconą pieśń litewską.

Leżący na ziemi chłopak oczom swym wierzyć nie chciał, gdy, uderzywszy go w plecy, Jerzy po imieniu zawołał nań.

Schwycił się na nogi, lecz, zobaczywszy kunigasa przed sobą, naprzód przez otwór w parkanie zawołał do Baniuty:

— Kunigas!

Za płotem zaszeleściło żywo i w tejże chwili dziewczę, już się na parkan wdrapawszy, ciekawemi oczyma szukało zapowiedzianego, o którym słyszało tyle.

Instynktem Jerzy podniósł głowę i w chwili, gdy Baniuta w całym blasku swej dziewiczej piękności, z wiankiem na skroni, z rumieńcem na licach, ukazała się w górze, oczy kunigasa już jej szukały.

Oboje, zobaczywszy się, trwali długo zaniemieli, podziwiając się wzajemnie. Ani Baniuta nie spuściła wzroku, ni Jerzy nie zadrżał przed jej oczyma. Chciwie poili się tak sobą... a Rymos, który zdołu im się przyglądał, także stał osłupiały, trochę wylekły, a może zazdrosny.

Na Jerzym ta istota żywa, jakiej nigdy jeszcze nie spotkał, ani oglądał z tak bliska, ta siostra po krwi, tak cudnie piękna, uczyniła wrażenie niewysłowione. — Zdawało mu się, że gdzieś ją widział już, że była dla niego przeznaczoną — coś niezwykłego ciągnęło go ku niej.

Baniuta równie była nim zachwycona; radość malowała się w jej oczach i uśmiechu. Jak dziecię, co kłamać nie umie, ani myśli, wyciągnęła rączki ku niemu... pochyliła się i, choć nie mówiła nic, cała jej postać powiedziała: Weź mnie! chodźmy!

W Jerzym zachwyt mieszał się ze strachem, dreszcze przechodziły po nim, oglądał się dokoła. Wszyst-



kie zwodnych cór szatana obrazy przychodziły mu na pamięć... ale to była Litwinka, pół-dziecię, sierota, wygnanka.

Rymos, przedłużonem milczeniem obojga przelekły, targnął kunigasa za suknię. Baniucie pokazał parkan i miejsce, które niedawno zajmował. Tu otwór sobie do rozmowy i śpiewu zrobili. Jerzy mógł zobaczyć ją zbliska... Pierwsza dziewczyna zrozumiała to i ze zwinnością jaszczurki zsunęła się na dół. Jerzy już na nią czekał. Rymos z pokorą, konie swe ujawszy, ustąpił na kilka kroków z niemi.

Dzięki Szwentasowi, Jerzy się mógł rozmówić po litewsku. Zapomniany język, jak zagrzebane ziarno, dobył się z głębin jakichś, w których spoczywał.

Któż tę rozmowę, podobną do gruchania młodych gołębi, powtórzy? I byłaż to rozmowa? Nie wiem. Składały się na nią śmiechy, półwyrazy, dźwięki niby ptasie, nucenia ledwie ludzkie, wejrzenia, które zastępowały tej muzyki słowa.

Coś dzikiego było, zwierzęcego może, w tej wymianie wrażeń półzmysłowych, półduszných, nieokreślanych niczem, oprócz wstydlivości dziewczęcej i nieśmiałości niedoświadczonego chłopięcia. Dziewczę prostało się, chciało być pięknem, podrzucało główkę, wyginało się, jak ptaszę, siedzące na gałązce... białe ząbki, niebieskie oczki i te ruchy wdzięczne, a dla Jerzego nowe, czarujące, w początku zastępowały słowa...

— Kunigas! — powtarzała Baniuta.

Jerzy głową potwierdzał. Imię jej wiedział i szeptał je zcicha... Śmiała się imieniowi swojemu w jego ustach. Rumieniła się, nie wiedziała co począć... przyszła jej myśl jakaś i nagle półgłosem nucić zaczęła piosnkę litewską.

Chłopak słuchał zachwycony.

— „Tam w ogródku kwitnie macierzanka, tam

w ogródku tymianek zakwita; a gdzie się nasza siostra obróciła, tam najśliczniejsze wyrastały kwiatki“.

„Zieloną łąką przechodzi dziewczyna, dziewiczy wianek w białych rączkach trzyma. Wianku mój ciemny, wianeczku ruciany, daleko ze mną pójdiesz stąd, daleko!“

„Bądźże mi, matko moja, bądź mi zdrowa! Ojciec mój drogi, bądź mi ojciec zdrowy! zdrowi bywajcie, mili bracia moi! siostry kochane bywajcie mi zdrowe!...“

Tęskną tę piosnkę nucąc, dziewczę zaszlochało. Jerzemu ogień uderzył do głowy...

— Nie żegnajcie! — przerwał — wrócimy do nich! Spojrzała nań.

— Nie! nam tu ginąć w ich szponach! — westchnęła.

— Ja was wybawię od nich! — przerwał Jerzy z dumą młodzieńczą, sam nie wiedząc, co mu dawało tę pewność ocalenia.

Baniuta przesunęła się ku otworowi w parkanie.

— Jak? — spytała.

Lecz Jerzy wśród natłoku myśli na odpowiedź zebrać się nie mógł. Pochylił się ku niej.

— Uciekniemy — rzekł — ja was stąd zabiorę...

Wyrzekł to z taką pewnością, iż uśmiech i promień szczęścia na twarz dziewczeczki wywołał.

Podniosła ręce z wyrazem wdzięczności.

Rozmowa byłaby teraz szła może żywiej, gdyby Rymos nie syknął i nie dał znaku. Jerzy zerwał się z ziemi i, zobaczywszy nadchodzącego Siegfrieda z dwoma rozweselonymi towarzyszami, co prędzej zbiec musiał za załom ogrodzenia.

Baniuta znikła; krzyżacy, podśpiewując, siadali na konie, Rymos im podawał strzemiona. Nadchodził wieczór, gwiazdy zaczynały pokazywać się na niebiosach. Jerzy, już nie śmiejąc powracać do parkanu, musiał co prędzej puścić się zpowrotem do Pynaufeldu.

Szedł, jak nigdy, czując się silnym, pełnym życia i jakichś niewysłowionych, błogich nadziei. Jak ten, co się wpatrzył w blask długo, oślepiiony jest i niesie w oczach pochłonięte jego promienie, tak on ciągle miał przed sobą obraz pięknej Baniuty.

Nowe życie wstąpiło w niego... Wczoraj marzył o ucieczce dla siebie tylko, teraz musiał myśleć o zabraniu tego skarbu z sobą. Bez niej, cóżby mu było po swobodzie?

Prawie sam nie wiedząc jak, wpadł znowu przez przedmieścia na drożynę i śpiesznym krokiem pobiegł do folwarku. Jakkolwiek podwajał kroku, już noc prawie była, gdy nareszcie znalazł się w Pynau, gdzie Szwentas niespokojny czekał na niego we wrotach, a w izbie siadano do wieczerzy, krzykliwie, jak zwykle, czyniąc przypuszczenia, gdzie się mógł chłopak obłąkać, który pieszo się puścił, a tak dopóźna nie wracał? Obawiano się jakiego przypadku.

Zjawienie się w progu Jerzego młodzi Pynauowie powitali wesołym śmiechem, a stary gderaniem i pytaniami, co się mu stało, iż na czas nie wrócił.

Chłopak musiał kłamać dosyć niezręcznie. Nie myślał się przyznawać wcale do wycieczki ku miastu; skłamał więc, że, ponad błotami w zaroślach obłąkawszy się, drogi nazad nie mógł łatwo wyszukać.

Być może, iż mu niespełna uwierzono, lecz Dietrich nie chciał naciskać, młodzi się uśmiechali szydersko i Jerzy siadł z nimi do wieczerzy.

Rozmowa wkrótce zwróciła się do spraw gospodarskich, wołów i koni, a gość mógł się niepostrzeżony wymknąć do swej izby, gdzie nań Szwentas oczekiwał.

Przed nim także Jerzy się nie myślał przyznawać do tego, co widział i jakie na nim wrażenie robiło dziewczę; wspomniał tylko, że za miastem Rymosa spotkał.

— Słuchaj, Szwentas! — rzekł — jeżeli to prawda,

co mi powiadasz codzień, że tęsknisz do swoich, a mnie do nich chcesz dopomóc, nie zwódźże; myśl o tem, poczynaj, bo ja szaleństwo jakie zrobię i głową gotówem nałożyć.

Szwentas westchnął ciężko.

— Dopóki ja tu na folwarku jestem — dodał — ująć mi łatwiej. Gdyby mnie, jak dziś, którego wieczora nie stało, długo czekać będą, potem poślą szukać, czy mnie gdzie zwierz dziki nie zadrapał. Ucieczka im do głowy nie przyjdzie prędko, a my będziemy mieli czas... ubiec kawał drogi.

Później, gdy mnie i ciebie na zamek wsadzą — stamtąd, gdyby się i udało, wnet wrzawa powstanie i pogoń wyprawia.

Szwentas potakiwał, ale ręce łamał.

Miał on oddawna myśl, którą w sobie żywił, nie śmiejąc jej wypowiedzieć jeszcze. Chciał wprzód przygotować się i rozpatrzyć, czyby się wykonać nie dała. Ucieczka lądem była prawie niemożliwą; Szwentas myślał o dużej łodzi, którąby nocą Nogatem puścić się można i, dostawszy do morza, u brzegów jego żeglując, przybić do litewskiej ziemi.

Lecz on sam z łodzią i wiosłami oddawna nie miał do czynienia, wód i ich ująć zaledwie słabo z opowiadań cudzych tworzył sobie pojęcie...

A jednak to mu się zdawało, przy pomocy losu, w który wierzył, najzbawienniejszem i jedynem. Pływał jak ryba i jak każdy półdziki człowiek, który się uczyć tego nie potrzebuje; zdało mu się naturalnem, że i Jerzy umieć to musiał... Ratować się więc mogli zawsze, a ucieczka wodą niełatwą była do wyśledzenia...

Chodził z tem Szwentas nad Nogat, upatrując zawczasu, gdzieby dobrą łódź mógł sobie przywłaszczyć, bo o nabyciu jej innym sposobem nie mogło być mowy.

Dopóki jednak nie czuł się pewnym swego, Jerzemu

nie wspominał o tem wcale. I tym razem wstrzymał się od wyznania.

— Rymosa też musimy z sobą zabrać — dodał Jerzy, przynaglając — myśl i o nim.

— Kto wie — szepnął — może nam jeszcze kogo trzeba będzie stąd uprowadzić.

Parobek się obruszył.

— Jednemu ciężko, kunigasiku, — rzekł, — dwom gorzej, — trzem — to już prawie niepodobna, a czterech ja nie poprowadzę!!

I śmiać się zaczął smutnie.

— O, młodo, a pstro! — (juniste, pankiste) — mruczał. — Nie dość wam, że swoją głowę wyniesiecie; kunigasikowi chce się orszaku zaraz, aby prędzej wytropili i wszyscy razem zginęli!!

— Jużci we trzech, czy tam wielu — odparł Jerzy — łatwiej się obronimy.

— Gdy bronić się przyjdzie, — rzekł Szwentas szydersko — lepiej sobie postronki na szyję pozakładać i samym się powiesić. Zachciało się wam wojować!

Jerzy zmilczał.

— No, Rymos — odezwał się parobek — a czwarty kto?

Jerzy milczał zarumieniony.

Przebiegły stary w tym rumieńcu wszystko, co mu było potrzeba, wyczytał; domyślił się, jakby widział, o kogo chodziło.

— Nie chcecie, to i nie mówcie — począł — bez tego ja wiem. Rymos wam tą dziewczką Gmundowej nabił głowę, alboście ją gdzieś i najrzeli. Młodemu fartuszek na myśli, a u mnie kobieta pustego orzecha nie warta i ja dla żadnej guza sobie nabić nie dam, ani wam się pozwolę nastawiać.

Spojrzeli sobie w oczy; Szwentas pewnym był, że odgadł.

Pięknych dziewcząt setkami na Litwie! — dodał.

Nie myślał się ani mu przyznać, ni w rozprawę z nim wdawać Jerzy; nie odrzekł nic na to.

— Jak chcesz, i w jakikolwiek bądź sposób — rzekł, odwracając się, — myśl o ucieczce. Nie zechcesz ty, ja sam się rzucę naoslep...

— Szkoda was, bo zginiecie; — spokojnie odezwał się Szwentas. — Trochę cierpliwości, a stary coś wyдума...

— Jutro — dorzucił — ja na zamek idę.

Nie tłumaczył się, co go tam prowadziło. Szło mu o to w istocie, by się rozpytał, kiedy, dawno zapowiadana potajemnie, wielka wyprawa pójść miała na Litwę. Chciał naprzód o niej uwiadomić swoich, bo teraz tak zapalczywie krzyżaków zdradzał, jak dawniej im służył; potem zdało mu się, że w zamęcie tym, jaki zawsze towarzyszył nagłemu wyciąganiu w pole, łatwiej im było wymknąć się niepostrzeżonym.

Na wyprawę tę oczekiwano obiecanych z Niemiec i Anglii gości rycerzy. Potajemnie czyniono już przygotowania na ich przyjęcie, a rycerstwo krzyżackie cieszyło się, bo przybycie obcych był zawsze hasłem nowej swobody i zupełnego zwolnienia reguły zakonnej.

Wprawdzie terażniejszy mistrz, Luder, zapowiadał ostrzejsze jej zachowywanie; lecz żadna władza nie mogła w tych chwilach ogólnego zapału pilnować ściśle form, do których goście wcale się nie zastosowywali.

Szwentas wiedział z doświadczenia, co się to działo na zamku w przededniu wielkich wypraw, gdy stoły obsiedli cudzoziemcy i, podbudzeni do przyszłej walki, upojeni podwójnie, jak pszczoły z ula, potem puszczali się, pomieszani z rycerstwem zakonnem, na rzezie, jak na biesiadę.

Mnogość pachołków i czeladzi różno-języcznej, zaprzątanie przyborami do wojny, czyniły wszelką kar-



ność niemożliwą, i zamek nierychło do ładu jakiegoś powracał.

Z takich dni łatwo było korzystać i wymknąć się zrazu niepostrzeżonym, tak, by myślano, iż ci, co znikli, razem poszli z tymi, co się na wojnę wybrali.

Szwentas rachował na to. Niepokoiło go tylko to, że raz był podsłuchał Sylwestra, doradzającego Bernardowi, aby chłopca wziął z sobą na przyszłą wycieczkę.

Na zamku było jeszcze tajemnicą pozorną, kiedy mają goście przybywać i wyprawa być postanowioną; lecz starsi z pewnych oznak wnioskowali, iż to rychło nastąpić było powinno.

Rozkazano owsy do worów zsypane mieć wpogotowiu, solone mięsiwo stało w beczkach odliczone, miód i winopodczaszowie już utoczyli w baryłki podróżne. Izby gościnne myto i oporzządzano w średnim zamku. W. mistrz codziennie prawie otrzymywał poselstwa jakieś; ludzie obcy przybywali z pismami i znakami.

Ruch wogóle większy, niż w tej porze zwykły bywać, postrzegł Szwentas.

Pozorem do dostania się na zamek był jakiś przybór na konia, który dla Jerzego wydał pomocnik Tra-piera. Schwyciwszy tu, co mu wiedzieć było potrzeba, Szwentas zabierał się do powrotu, gdy na drodze, nieustannie się po zamku i po wszystkich jego kątach uwi-jającego, spotkał — Bernarda.

Ten zdziwił się wielce powrotowi parobka i zatrzymał go.

— Jak śmiałeś pana swego opuścić? — zapytał.

— Sam mnie posłał — odpowiedział parobek spokojnie, pokazując wędzidło nowe...

Bernard popatrzył i zachmurzył się.

— Mogliście do czasu i starego zażywać — rzekł — bo rychło was na zamek sprowadzę. Jerzy zdrowszy jest i silniejszy?

— Albo ja wiem? — począł parobek. — Codziennie

na niego patrząc, nie widzę zmiany. Stary Dietrich skarży się, że na nim nie widać polepszenia. Mruk, milczący, smutny... jak był, tak i jest do dziś dnia. Z niego nie będzie pociechy.

Pogardliwie słuchał tego Bernard.

— Widać, że i tobie w Pynau zasmakowało — rzekł szydersko.

— Jakby to mnie — odparł parobek — gdzie lepiej, albo gorzej być mogło?

Ruszył ramionami. — Chyba ta różnica, że inna ręka w kark tłucze...

Krzyżak odszedł był parę kroków.

— Powiedz panu swojemu, — dodał — żeby się rychło do powrotu sposobił: dosyć już miał swobody; a u Pynauów nic się dobrego nie nauczył.

Szwentas uśmiechnął się.

Ze złą nowiną pośpieszył zpowrotem na folwark, ale tu Jerzego nie zastał. Częściej teraz, niż dawniej, szczególnie wieczorami, wymykał się on i pieszo... Miał go w podejrzeniu parobek, lecz milczał.

Dnia tego powrócił Jerzy o zmierzchu, zmęczony i zdyszany, poruszony więcej, niż kiedy. Szwentas leżał u progu, czekając na niego; podniósł się, zobaczywszy go, ze zwykłym sobie uśmieszkiem szyderskim.

— Pozdrowienie wam przyniosłem od Bernarda, — rzekł — bo gdy kogo człowiek nierad spotkać, pewnie się natknie na niego. Tak i ja. Pytał o wasze zdrowie; powiedziałem, żeście chorzy, ale to pono nie pomoże i na zamek wkrótce potrzeba będzie powracać.

Jerzemu oczy się zaświeciły.

— Szwentas! — zawołał — nim ta chwila nadejdzie, rób, co chcesz, ja ująć muszę.

Nic nie mówiąc, zrezygnowany parobek się na ziemi położył, skurczył, ręce pod głowę zacisnął i westchnął głęboko.

— Słyszałeś? — powtórzył chłopak.

— Kunigasiku! — zamruczał Szwentas — ja to nawet słyszę, czego wy nie mówicie, a chcecie, bym puścił mimo to, co niepotrzebnie tak głośno wykrzykujecie? Szwentas stary robi, co może, a wy idźcie spać.

Nazajutrz dodnia parobka we dworze nie było, nie powrócił do obiadu, nie pokazał się do wieczora. Jerzy, jak tylko począć miało zmierzchać, puścił się ku miastu. Wymykał się on tam teraz niemal codziennie, tak, aby u parkanu stanąć o zmroku. Baniuta prawie zawsze nań oczekiwała, czasem się zjawiał Rymos, a wówczas bezpieczniejsi się czuli, bo on straż sprawiał około furty...

W cichych rozmowach z dziewczyną, Jerzy wszystko jej już wypowiadał, co wiedział i myślał. Oboje z dziecinną zarozumiałością postanowili uciekać, a było im tem pilniej, że Baniuta ze łzami w oczach się uskarżała na zuchwałe obchodzenie się z sobą gości, od których Gmunda wcale jej bronić nie myślała, żalącą się łajała i groziła jej chłostą.

Jerzemu myśli najzuchwalsze przychodziły do głowy, jakby dziewczę ocalić? Własna ucieczka już nie obchodziła go tyle, co los niebieskookiej, złotowłosej Baniuty. Była to pierwsza w życiu jego namiętność, gwałtowna, nie licząca się z niczem. Samo przypuszczenie, iż mu ktoś mógł pochwycić ten skarb, do wściekłości go i szału pobudzało...

Szwentas się ociągał; gotów był go porzucić i sam z nią i Rymosem zbiec w lasy... a potem?? Sam on nie wiedział, co się stać mogło?

I tego wieczoru, powróciwszy, Jerzy postanowił przynaglić Szwentasa, aby, bądź co bądź, dzień ucieczki naznaczył. Ale parobek wrócił znużony późno bardzo, i na pierwsze słowo kunigasa, położywszy palec na ustach, szepnął:

— Niezadługo...

Więcej powiedzieć nie chciał.

Parę dni znowu upłynęło. Jednego popołudnia, gdy we dworze oprócz starej Dietrichowej i sługi nikogo nie było, w dziedzińcu konno zjawił się Bernard, który, że pachołka z sobą nie miał, a ludzie wszyscy w polu na robocie byli, dowołać się nie mógł nawet, by mu kto konia pottrzymał.

Stara Dietrichowa wyszła z lamentem i pokłonem, tłumacząc się, że w polu było co żyło, a młody krzyżak i jego pachołek także gdzieś powędrowali.

Zmarszczył się Bernard.

Nie chciał już zsiadać nawet, znalazłszy baby same, i z konia wydał staruszce rozkaz, aby Jerzemu naza-jutrz na zamek wracać poleciła.

Zawrócił się i pojechał.

Jerzy, który właśnie drogą od miasta skradał się na folwark, poznawszy zdala Bernarda, musiał się w łozinach ukryć, aby uniknąć spotkania. Serce mu biło przeczuciem jakimś złowrogiem. Pośpieszył co prędzej na folwark. Tu Dietrichowa, ledwie go ujrzawszy, wołać poczęła, aby się zbyć danego jej polecenia...

— Paniczyku — rzekła — przybył tu po was brat Bernard; jutro was na zamek wołają.

Jutro! tak, jutro! niech mi tak Bóg i święta patronka Barbara pomogą. Tak mówił, słyszałam wyraźnie; nakazał, byście mu się jutro stawili...

Jerzy stał, jak przybity; gniew mu sercem poruszał; to nastawanie staruszki drażniło go; odezwał się półszydersko:

— Jutro? he? a nie oznaczyłże pory?

— Nie, ale wyraźnie mówił, jutro, a twarz miał namarszczoną i posepną. Jutro więc, co prędzej, to lepiej...

— Zbyćbyście nas chcieli! — dodał Jerzy.

Stara poruszyła ramionami.

— E! — rzekła — nie zacieżyliście nam bardzo. Co tam! Mało was temi czasy koło domu widać było. Co

za dziw? Długo takiej nie zażyjecie swobody, bo na zamku więzienie...

— A! tak — zamruczał Jerzy.

Więc jutro — rzekł w duchu, wchodząc do swej izdebki... Rozpaczliwie załamał ręce... Szwentasa nie było jeszcze, przywłókł się późno. Temu już w dziedzińcu parobcy oznajmili, śmiejąc się, że się z nim jutro żegnać będą. Wieść rozeszła się była po folwarku, i stary Litwin wiedział ze szczegółami o przybyciu i rozkazie Bernarda, gdy do izby kunigasa wszedł smutny...

Nim on się odezwał, Szwentas ręką dał znać, iż nie potrzebuje być zawiadomionym.

Jerzy przypadł doń z rozpaczą. Parobek stał zaszępiiony, lecz ostygły.

— Mów! — wołał — co poczniemy?

W Litwinie odezwała się przekora na widok tej natarczywości. Milczał umyślnie, trąc głowę i uszy...

— No, pojedziemy na zamek! — zamruczał Szwentas.

Jerzy odskoczył, namiętnie zaciskając pięści.

— Zdrajca jesteś!

Litwin zmilczał.

— Mówże!

— Kunigasiku, gdy wpadniecie w taki książęcy gniew, czyż wy posłyszycie, choćbym co rozumnego powiedział? Uspokójcie się wprzód.

Zawstydzony chłopak starał się przybrać postać spokojną.

— No, tak, kunigasiku mój! — począł Szwentas — pojedziemy na zamek posłusznie... bo jutro uciekać, znaczyłoby głowy na pieńki położyć... Ale nie bójcie się, ujdziemy i ujdziemy bezpiecznie... gdy Szwentas mrugnie i powie: Teraz pora...

Jerzemu z folwarku powracać na zamek nie chciało się tak, że, do rozpacz prawie przywiedziony, Szwen-

tas dawał mu się wyzłościć, mruczając sobie, że o dziewczynę pewno chodzić musiało. Za całą pociechę niekiedy mu podszeptował:

— Kunigasiku, z zamku drapniemy, gdy wszystko będzie gotowe, choćby we trzech, a choćby i we czworo...

Mówiąc to „czworo“, spoglądał nań chytrze i uśmiechał się.

Nie wtajemniczony, domyślał się już na pewno, że Jerzy ze swobody dla poznania dziewczęcia u Gmundy korzystał.

Drugiego dnia z rana Szwentas, posłuszny, wybierał się już, konie siodłał, sakwy napełniał i żegnał się ze służbą i parobkami, gdy spostrzegł, że Jerzego na folwarku nie było. Zbiegł on w dzień biały, nie gdzie indziej, jak do miasteczka.

Przez całą noc przemyślał nad tem, jakby się raz jeszcze z Baniutą zobaczyć, pożegnać ją i oznajmić, że bądź co bądź, zabrać ją z sobą musi, gdy pora przyjdzie do ucieczki.

Wahał się aż prawie do białego dnia z wymknięciem się do Malborka; szarzało zaledwie, gdy, opończę prostą schwyciwszy, nie mogąc się wstrzymać już, za wrota wyskoczył. W mieście ruch się zaledwie poczynił, a w kuźniach i warsztatach, a sklepikach ledwie się okiennice odmykały, gdy dobiegł do pierwszych domostw. Przesunąć się niepostrzeżonemu przez ulice i rynek, którym właśnie pobożni do kościoła na poranną mszę przechodzili, łatwiej było, niż Baniutę w tej porze ze dworu na rozmowę wywołać.

Płaszcz, krojem i barwą okazujący, że do Zakonu należał, nieco mu przystęp ułatwiał; ale godzina była zbyt wczesna i wrota domu stały zaparte.

Szczeńciem pobożna Gmunda otwarła je sama, wychodząc do kościoła, a Jerzy wcisnął się niepostrzeżony w dziedziniec. Tu, wprawdzie, u studni, dziewcząt



było kilka, które wodę czerpały i chusty przepierały, ale Baniuty nie znalazł. Ukryty za krzakiem bzu, czekał zniecierpliwiony długo, nim i ona ze dzbanem w rękę przybyła do studni.

Inne dziewczęta właśnie powróciły do dworu i Jerzy znak jej dał, aby się zbliżyła na rozmowę. Baniuta, w tej porze niezwyklej zobaczywszy go, przelekła pobiegła ku niemu.

Twarz biednego kunigasa zdradzała niepokój i trwogę.

— Baniu! — zawołał — ja muszę na zamek... dziś, zaraz! Nie mogę tam wrócić, nie zobaczywszy ciebie.

Trzymał ją, pochwyciwszy za rękę.

— Zamkną cię? — zapytała.

— Ale wyrwę się im i uciekać muszę. Bądź gotową! nie pójdę bez ciebie, nie porzucę cię w ich szponach.

Baniucie się oczki zaśmiały.

— Pamiętaj, kunigasiu! — rzekła cicho — a śpiesz się! Inaczej, przyjdiesz za późno i tylko trupa mego znajdziesz gdzieś pod płotem. Oni mnie zgubić chcą; codzień muszę się obraniać siłą i chytrością, a wkońcu obojga nie stanie. Gdy zabraknie ich... mam trut-ziele, abym wstydu nie przeżyła.

Śluchając, Jerzy dyszał gniewem okrutnym i rękę jego, zapomniawszy się, dłoń dziewczęcia tak ścisnęła, jakby ją chciały zgnieść na miazgę. Baniuta z bólu pobladła...

Kunigas postrzegł teraz dopiero, że ukochaną męczył, choć usteczka jej jeszcze mu się uśmiechały. Puścił zbolalą rękę jej i, przyskoczywszy do milczącej dziewczyny, objął ją za szyję. Obie jej ręce zawisły na jego ramionach i gorące oddechy zlały się w pierwszym pocałunku...

— Pamiętaj! — szeptało dziewczę.

— Pamiętaj! — mówił rozplamieniony Kunigas...

Zapomnieli się w tym uścisku, gdy tuż z poza nich, głos syczący, opryskliwy, gniewny, odezwał się, jak piorun spadając na nich...

— Do mnie! do mnie! łapać!... Knechta sobie sprowadziła wstydliva dziewczeczka, co się tak boi we dworze rycerstwu posługiwać!... Chwytać go i na zamek!...

Baniuta odepchnęła kunigasa i pierzchnęła w ogród; Jerzy, czując już, że go za płaszcz chwymano, z całej siły wyrwał się napadającym sługom, otrząsł od nich i, twarz osłaniając, popędził ku wrotom, u których furta szczęściem stała otworem. Za sobą słyszał ścigających, kobiety, krzyczące wniebogłosy i pacholków; co raz to koniec poły ktoś chwytał... ale Jerzy silny był i zręczny... W ulicy zwrócił się nagle i, nim goniący mieli czas rozpędzeni zmienić kierunek pogoni, uszedł w stronę przeciwną, chroniąc się za załom ogrodzenia... Trzy uliczki wąskie rozchodziły się do zabudowań przedmiejskich, ponad któremi świeżemi liśćmi okryte zwieszały się gałęzie czeremchy, dzikiego bzu, wiśni i brzoź. W pierwszą z nich puścił się Jerzy, rachując na to, że zniknie z oczu, nim się opatrzą, w którą uliczkę się puścił.

Pogoń czeladzi pani Gmundy nie ustawała, ale już kunigas, płot przelazłszy, schronił się do ogrodu, przypadł i usłyszał, jak go pominęli ludzie, ze śmiechem i odgrózkami ścigający, jak złodzieja...

Dopiero, gdy ucichły krzyki, chłopak podniósł się z ziemi, obejrzał się baczenie, odartego płaszcza poprawił i, okrażając przedmieścia, poza niemi do Pynaufeldu pośpieszył.

Szedł, jak półżywy z bóleści i troski nad Baniutą i nad sobą. Co ją tam od pani Gmundy, co jego na zamku spotkać miało, jeżeli kto poznał i wydał, jako zuchwałego napastnika?







POWIEŚCI HISTORYCZNE — Tom XXIII

---

J. I. KRASZEWSKI

# K U N I G A S

DZIEJE LITWY I KRZYŻAKÓW  
W POCZĄTKACH XIV WIEKU

CZĘŚĆ II



1 9 2 8

---

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE  
CZERNIAKOWSKA 225

## I.

Malborski zamek wcale teraz inaczej się przedstawiał przybywającym doń codziennie zbrojnym krzyżowcom, niż przed kilku tygodniami. Spokojne, smutne, a posępne mury przybrały jakąś szatę świąteczną.

Starano się je dla cudzoziemców uczynić piękniejszymi, niż powszednich dni były. Murarze dali im świeżą powłokę, bramy świeciły wypolerowanymi gwoźdźmi i okuciem, gorsze i rozmiękłe ścieżki a drożyny pozarzucano kamieniami, wały, zmyte deszczem i powyrywane, pozasypywano i ubito. Na wieżach, na Babiej i na Czarnej, powiewały chorągwie wielkiego mistrza i Zakonu.

Straże w bramach poprzywdziewały uzbrojenia jasne, suknie nowe. W dziedzińcach wszędzie czysto było i umieciono, jak w izbie, a ludzie, co się pokazywali tu, wszyscy byli jakby na wielkie święto poubierani.

I nietylko służba, ale i cała starszyzna, którą tu i ówdzie widać było ukazującą się w oknach i na krużgankach, miała szaty odświętne, nowe, oblicza jakieś uroczyste, rozpromienione, wesołe...

Na średnim zamku, gdzie była wielka sala biesiadna, w której zwykle mistrz gości przyjmował, i gdzie się w doroczne obchody, czasu kapituł i narad, gromadzili komturowie, starszyzna, zasłużeni rycerze, przy-

sposabiano wszystko do wielkiego stołu... nie zakonnym obyczajem.

Wedle starego prawa, pierwsi owi rycerze szpitalni jerozolimskiego domu jadali tylko trzy razy w tygodniu mięsne potrawy, przez trzy dni nabiał i jaja dozwolone były, w piątek suszyli o chlebie i wodzie...

Do stołu siadali rycerze dawni, podzieleni parami, słuchając czytania Żywotów Świętych, a okruszki z ich zastawy szły dla ubogich, razem z dziesięciną tego, co się tu gotowało i piekło... Dawniej wymierzano i piwo, i wino... w milczeniu i krótko pożywali jadło proste... teraz!...

Teraz z całego świata szły skupywane na stół ich korzenne przyprawy najdroższe, które się tylko na książęcych ukazywały kuchniach; okseftami dostarczano im win najwytworniejszych, prosty sprzęt klasztorny zastępowały misy srebrne i pozłociste, glinę — kosztowne szkło weneckie; białe rąbki wzorzysto szyte musiały stoły okrywać...

Wszystko to działo się pod pozorem, by Zakon dostojnym gościom, którzy mu w pomoc przybywali co rok, okazał, jak możliwym był i zamożnym. Osobliwie od czasu, gdy wielki mistrz przeniósł tu swą stolicę, okazałość stała się konieczną. Naczelnik Zakonu chciał narówni stać niemal z panującymi. Surowa reguła pozostała dla półbraci, dla płaszców szarych, dla służby i gawiedzi; na wysokim zamku książęco żyło się i ugaszczano. Do tego życia starszyna przywykała, stało się ono potrzebą i, tłumacząc je, mówiono, że Zakon niemiecki musiał świat swą potęgą olśniewać, inaczej nie pociągałby ku sobie i nie zjednał znaczenia, jakie mieć był powinien.

Mnożyły się zdobycze oręża i frymarku, rozszerzały granice posiadłości zawojowanych i wydartych, skarb się łupami napelniał; Zakon w istocie stawał się potęgą, a był przedstawicielem niemieckiej chciwości zie-

mi; mniszy habit coraz spadał z ramion jego, odsłaniając żelazne pancerze i skrwawione dłonie.

Stróże szpitalni rośli na wojsko rozbójniczo chrześcijańskie, mianując się czcicielami Marji, sługami Chrystusa, poddanymi Apostolskiej Stolicy, gdy w istocie germańską ideę zaboru mieli w sercu i myśli.

Naprzemiany kłaniając się to cesarzowi, to papieżom, pierwszym oddawali hołd, gdy drudzy karcić ich chcieli, — do tych uciekali się, gdy cesarz spory ich rozsądzał nie po myśli...

Jawnem już było ze składu Zakonu, czyją popierał sprawę w imię wiary i nawrócenia pogan.

Sala biesiadna, w której od rana krzątała się czeladź liczna, tak była przystrojona, jak zamek cały... Brakło tylko niewiast, aby za królewską ją wziąć było można. Siedzenia dokoła stołu na ławach z poręczami — okrywały poduszki miękkie, posadzkę wschodnie kobierce, stół bielizna bramowana szyciem... U ściany na dębowych policach rzeźbionych lśniły ogromne dzbany, misy misternie kute, kubki, którym złotnicy nadali kształt zwierząt fantastycznych... Od stropu do dołu cała część ściany zakryta była niemi, zastawiona tak gęsto, że oko polic rozeznąć nie mogło...

Na osobnym stole przygotowane miednice i nalewki brązowe, ręczniki szyte czekały na ręce, którym przed ucztą służyć miały do ablucji.

Stolnik, podczaszowie, służba obchodzili dokoła zastawione stoły, rozpatrując, gdzie czego brakło, co przystawić należało, czem przyozdobić jeszcze i zbogacić książęcy występ Zakonu.

Spodziewano się gości; niektórzy z nich już byli i po komnatach spoczywali, inni co chwila przybyć mieli, bo się już posłami zawczasu oznajmili.

Kilkodniowa uczta poprzedzić miała, wedle zwyczaju, wyprawę na pogan, rodzaj łowów wesołych, w których zwierzem był Prusak lub Litwin, czasem na-

wet ochrzczeni i dawno nawróceni Polacy. Nie bronił chrzest od krzyżackiego miecza, tylko słowo niemieckie i krew germańska.

Tym razem gośćmi Zakonu byli: Ludwik, margrabia brandenburski, Filip, hrabia z Namur, hrabia Henneberg, kilku Francuzów chciwych rycerskich zapasów, kilku Austriaków i jeden możny pan angielski. Zastęp ten, który już liczył dwieście najpiękniejszych hełmów, powiększał się jeszcze codzień.

Każdy z tych dostojnych przybyszów prowadził z sobą garstkę szlachty, równie jak sam uzbrojonej i mężnej... Przeciwno poganom napół nagim, za ledwie w jakiś oręż opatrzonym, żelazny rycerz z Zachodu stał za dziesięciu, był machiną i jakby ruchomą twierdzą, rozbijającą tłumy. Nie brały go strzały, o mur stalowy na jego piersi rozbijały się twarde pałki. Wyprawa była zabawką, klęska rzadką, a nieszczęśliwi mogli się pomścić zadawanych sobie, tylko skupiając się w tłumy ogromne i mrowiem zasypując przeciwnika...

Dnia tego część już gości zgromadzoną była w salce o granitowym słupie, dokoła mistrza wielkiego. Gwar słychać było wesoły... Języki mieszały się tu różne, jak u wieży Babel... Część mówiła po niemiecku rozmaitemi dialektami ziem, z których pochodziła, niezawsze się dobrze rozumiejąc między sobą; Francuzi z niektórymi porozumiewali się po łacinie, między sobą językiem południowej i północnej Francji, obu krewnemi sobie, a odmiennemi jednakże... Anglik łamał się z niemczyzną powinowatą; kilku rycerzy poliglotów chodziło od jednych do drugich, posługując jako tłumacze...

Wszyscy dostojnicy zgromadzeni już byli i oczekiwano tylko na hrabiego z Namur, który po wczorajszej, długo przeciągniętej uczcie spoczywał, gdy skromnie i pocichu wsunął się Bernard i stanął na uboczu. Nikt na niego nie zwrócił uwagi, chociaż piękna

ta postać dziś tak odbijała od innych wyrazem posepnym, smutkiem i bólem prawie, a tak wśród ogólnego wesela i ożywienia zdała się tu obcą i rażącą, iż pierwsze na nią wężrzenie powinno było wywołać pytanie: co ten człowiek przynosił z sobą? jaką klęskę, jaką wieść złą, jaką groźbę?

Większa część krzyżaków nawykłą tak była widzieć brata Bernarda surowym, ścisłym zachowawcą reguły i stróżem jej nad innymi, iż jej może posepne to oblicze nie zdziwiło wcale. Zbywano je wejrzeniem przelotnem, ukłonem nieznacznym, i nikt nie śpieszył do rozmowy i towarzystwa z tym, który tu, dziś zwłaszcza, wśród tych saturnaliów, był jakby dysharmonijną nutą...

Ten i ów rzucił nań okiem i uchylił się prędko.

Goście przysłuchiwali się z upodobaniem powieściom krzyżaków z czasów pierwszego ich osiedlenia się i pierwszych walk z niewiernymi. Czasy to już były niemal w bajeczne obleczone legendy, postrojone poetycznemi wymysły. Chlubiono się tymi przodkami, których pierwszym zamkiem obronnym był stary dąb rozłożysty, obwiedziony parkanem, opasany rowem, na gałęziach swych dający schronienie przyszłym zdobywcom...

W opowiadaniach rycerzy malował się ów lud litewski, bohatersko broniący swej ziemi, bogów, obyczaju, świętości wiekami ubłogosławionych, jako dzicz napół zwierzęca.

Stary Siegfried, z twarzą rozpromienioną młodszych lat wspomnieniami, właśnie popierał przekonanie to, które większość braci dzieliła, iż zdraudnej dziczy tej wcale oszczędzać nie było potrzeba...

— Chrzcić ich? — wołał — ale co im chrzest pomoże? Tak samoby grzechem było: święconą wodą oblać nierozumne zwierzę! Pogańska ślepotą odwieczna nie dopuści im nigdy ujrzeć światła... Nawet w ko-



lebce wzięte dzieci, gdy dorosną, krew w nich gra i, jak wilczęta, zbiegają do lasu. Jedyne srodek — wytepiac to plemie... Ja — mowil — nigdy m zadnemu, co sie mi pod wlocznie lub miecz nawinal, nie przebaczy!; chrzcie ich mieczem i krwia... *Ego te baptiso in gladio!*

Smial sie stary, mowiac to.

— Ziemia opustoszeje, powiadaja; — dodal powazniej — znajdziemy u siebie kim ja zaludnic... Rodzi sie u nas dosyc dzieci, dosc mamy ludzi bezziemnych. Gdzie siadzie nasz przybysz, choragiew z soba niesie cesarstwa i zajmuje ziemie te dla Apostolskiej Stolicy i dla panstwa rzymskiego. Ziemie te darowizna otrzymalismy od papiezy, krolow, cesarzy, do ktorych z prawa cala kula ziemska nalezy; wlasnoscia jest nasza... wiec tych przywlaszczycieli w pień...

— Probowali — przerwal Lampert z Mülbergu — chrzciec sie pozornie, aby nas z niczem odprawic. Stali wprost do Rzymu, poddajac sie... ale sie to im nie powiodlo... Za pozno bylo... ziemia to nasza...

— Gorzej jeszcze — mowil Hans Wirnburg — zaczeli stawiac kościoły i sprowadzac sobie mnichow, aby sie nimi od nas zaslonic... aleśmy im i tym klechom odebrali ochote oszukiwania nas... Cha! cha! Kazałem wieszac księzy i kościoły popalic...

Cicho sie zrobilo. Siegfried dodal:

— Jacy to tam przez pogan zywnieni księza byc mogli i jakie te ich kościoły... Boznica Baala...

— Tepic, bic, palic — *tabula rasa* zrobic, to sposob jedyny — dodal. — Gdy sie ziarno ma siac, trzeba ziemie rozdierac bez litości, dopiero ono na niej wszedzie, krew uzyzni...

Bernard przysluchiwal sie zdaleka; na twarzy jego nie widać bylo ani oznaki przyzwolenia, ani oburzenia i oporu; mowy podobne nie po raz pierwszy obijaly sie o uszy jego.

— Dziś — odezwał się wielki mistrz Luder — dzięki Bogu i opiece patronki naszej, Marji, świętym orędownikom Zakonu, możemy już spokojnem okiem w przyszłość spoglądać. Ziemi zagarnęliśmy wiele, dosiegamy brzegów morza; a choć z Polakami potrwa jeszcze walka i spór długo, choć Litwa się z nimi sprzęgać zaczyna, stoimy już tak, że się i im obojgu oprzemy, i ziemie, dla Stolicy Apostolskiej a cesarstwa zdobyte, dla nich utrzymamy...

Zwrócił się ku gościom.

— Z waszą łaskawą pomocą — dodał, spoglądając na Ludwika Brandenbura. — Wszystkie kraje chrześcijańskie czują, że nam posiłkować powinny, tak, jak niegdyś szły na krucjaty do Ziemi Świętej. I tu sprawa Krzyża naszą sprawą.

— Każdy miecz i włócznia, która nam w pomoc przybywa — rzekł Siegfried — znaczy tyle, co darowizna Kościołowi milowej kraju przestrzeni.

— A kraj to — mówił Hans z Wirnburga — wcale nie do pogardzenia i nie tak niewdzięczny, jak się na pozór wydaje... Ziemia w większej części żyzna, gdy ją niemiecka socha poruszy... miodu i wosku dostatek, lasy zwierza pełne, rzeki w ryby obfitujące... Zima bywa sroga, to prawda, ale gdzie od wiatrów osłonięta, tam nawet na stokach wino rodzi...

— He? — rozśmiał się jeden z Francuzów — w wino wasze nie wierzę wiele, ale ryby i zwierzynę szanuję.

— A jabym wam rad — przerwał Siegfried — dać u obiadu kubek starego miodu, z którym się żaden pigment nie może ważyć...

— Piłem go i bardzo mi smakował — odparł Francuz — ale dla głowy ciężki jest.

— Bo my też nielekkie głowy mamy — odezwał się, śmiejąc, stary Siegfried.

Bernard, ciągle stojący na uboczu, niby słuchał, a zdawał się nie słyszeć... Wzrok jego błędził po ścianach.

Coś z jego twarzy poznawszy, marszałek przysunął się do zadumanego i spytał go:

— Wyście tu jedni czegoś chmurni: żal mi was. Cóż za nowy ciężar wspólny spadł na was jednego? podzielcie go ze mną; krzywda się wam zawsze dzieje, bo nadto ramion nastawiacie.

Bernard brwi coraz bardziej marszczył.

— Tym razem — odezwał się enigmatycznie — ja nie za nasz Zakon, coby mi pociechą było, pokutuję, ale za grzech własny.

— Grzech? — rozśmiał się marszałek, niedowierzająco patrząc nań. — Posłuszni jesteście radzie świętej: poniżacie siebie, abyście byli podwyższeni; ja w grzech, przez was popełniony, nie wierzę.

— Przecież *peccavi!* — krótko odrzekł Bernard i zamilkł.

— Obudziliście ciekawość moję — odezwał się, wpatrując weń, Altenburg.

— Ale nie tu miejsce, by ją zaspokoić — rzekł Bernard. — Nie chcę wam wesołej zatruwać chwili.

Uderzony tonem, jakim wyrazi te wyrzeczone były, marszałek za rękę pochwycił Bernarda.

— Krótkiem słowem powiedzcie mi, co dla mnie tajemnicą na żaden sposób być nie powinno. Sprawa ważną jest...

— Dla mnie i sumienia mojego — odezwał się Bernard — dla Zakonu wagi mniejszej.

To rzekłszy, jakby chciał uniknąć dalszego tłumaczenia, Bernard parę kroków wtył odstąpił.

Marszałek, nie nalegając już, powiodł za nim oczyma...

— Dziwny człowiek z tego Bernarda — szepnął do zbliżającego się Hansa z Wirnburga. — Zatruwa sobie

życie, troski wszystkich biorąc na własny rachunek...  
Co mu dziś jest?

Hans pochylił się do ucha marszałkowi.

— Musi się czuć winnym — rzekł, śmiejąc się —  
że dobrym zasadom naszego Siegfrieda o wybijaniu  
pogan nie hołdował... Ma za swoje...

Wtem wielki mistrz przerwał, do Altenburskiego się  
zwracając z mową, a tuż i dzwonek oznajmił, że w sali  
uczta stała gotowa. Czeladź otworzyła drzwi i mistrz  
margrafa brandenburskiego z przybyłym hrabią z Na-  
mur wiódł przodem do jadalni.

Świetnie wyglądało to towarzystwo rycerskie, które  
na ten dzień zbroje poskładało i przywdziało naj-  
kosztowniejsze swe szaty, najpiękniejsze szkarłatne  
odzieże, aksamity, wschodnie jedwabne tkaniny i zło-  
tem przerabiane lamy.

Wpółśród tego różnobarwnego tłumu białe pła-  
szcze krzyżaków, które starszyzna poprzywdziewała na  
ten dzień, ciężkie łańcuchy złote odbijały powagą swą  
i prostotą. Hrabia Namur odznaczał się szczególniej  
wytwornością sukni, której krój kunsztowny, szycia,  
obrabki, godła kolorami jakby pomalowane, czyniły  
go przedmiotem ciekawości, a może zazdrości wielu.  
Bliżsi przypatrywali się tym jedwabnym obrazkom na  
jego piersiach i rękawach, którym towarzyszyły napisy  
dowcipne...

Brandenburski pan, bogato odziany, z pewnym ro-  
dzajem pogardy szyderskiej przyglądał się strojowi są-  
siada, więcej uderzającemu, acz zanadto niewieściemu.

Śmianoby się może z Francuza otwarciem, gdyby  
ten, napozór delikatny, biały człowieczek nie był za-  
razem jednym z najmężniejszych rycerzy i nie dał już  
dowodów, że z olbrzymami ciężkimi, co go otaczali,  
walczyć potrafi zwycięsko...

W ostatnim turnieju, który na podwórcu średniego

zamku niespodzianie zaimprowizowano, hrabia wszystkich przeciwników nadzwyczajną pokonał zręcznością.

U stołu był to najweselszy biesiadnik, a dobra myśl i swoboda, z jaką się odzywał, nigdy mu nie dawały zapomnieć o powadze, nie ścierały z niego pewnej dumy i nakazywały poszanowanie..

Patrzano nań, jako na wyjątkową istotę, osobliwą i niezrozumiałą; on też na swych towarzyszy spoglądał z łagodnem szyderstwem. Oni tu przedstawiali siłę zwierzęcą, on dowcip i całą zręczność człowieka, który je wziął w spadku po pokoleniach wielu.

Rozmowa, nie zmieniając przedmiotu, znowu była o wojnie z pogany, z tą różnicą, że starsi, którzy zasłyszeli o walkach z Saracenami, porównywając tamtych do tutejszych niewiernych, niemal ich pół-zwierzętami obwoływali i tem samem usprawiedliwiali okrucieństwo, z jakim ich tępili.

Jeden z braci dowodził, że, nawet w kolebce wzięte, stworzenie takie dzikie nic się nauczyć, nigdy do człowieka podobnem się stać nie może.

Zasiadano do stołu w ten sposób, by około każdego z dostojniejszych gości rycerz też, dla zabawiania go, przyjmowania i pojenia, był umieszczony; stary Siegfried miał zająć miejsce przy hrabi niemieckim, gdy pacholę śpiesznie nadchodzące znak mu dało...

W tej chwili odwołanie było czemś tak niezwykłym, iż krzyżak mu się chciał oprzeć; lecz posłyszawszy, co mu szepnięto do ucha, pomieszany nieco, pośpieszył innego na swem miejscu posadzić, a sam niepostrzeżenie wymknął się z sali.

Nietylko, że ją opuścił, lecz natychmiast z gmachu wyszedłszy w dziedziniec, śpiesznym krokiem zdążył do wrót; pominął strażę i, poza mury się dostawszy, począł niespokojnie oglądać. W twarzy jego widać było zdziwienie, gniew, oburzenie, rozdrażnienie.

— Na Boga! — mrucał — niesłychana rzecz! dziw-

ne zuchwalstwo! żeby mi w takiej godzinie spokoju nie dać... Nieznośna baba!... Dostanie za swoje...

Wtem, gdy się tak rzucił, dostrzegł z za węgła muru wybiegającą w płaszczu zakonnice — półsióstr krzyżackich, starą Gmundę, która, ujrawszy go, zdyszana śpieszyła, ręce załamując.

Nim Siegfried czas miał rozpocząć wymówki, żwawsza od niego niewiasta już wołała mu do ucha:

— Dziewczynę litewską wykradziono mi!... uciekła!... Tak... ja nie mam kogo ślać w pogoń. To sprawa knechtów waszych. Niegodziwa swawolnica, jeśli się jej da zbiec, będzie rozpowiadała po świecie, co się u mnie dzieje... będzie czernić i pleść rzeczy niestworzone.

Pogoń trzeba ślać! ludzi dawajcie!

Mówiła zdyszana, a Siegfried słuchał namarszczony.

— Takeście jej pilnowali! — zakrzyknął. — Miała więc czas i miejsce z knechtami się znajomić i zmawiać, gdy dla naszych braci często kubka wina przynieść nie chciała! Dobrzeście ją wychowali!...

Ślać pogoń? — dodał — tak! ale dokąd? jak?... Są jakie poszlaki? wiecie, który i czyj knecht? A! to skaramie Boże!

— Któż się tego mógł spodziewać? kto przewidywać? — wołała Gmunda. — A com ja winna? kto się od waszej czeladzi uchowa cały!

— Kiedyż się to stało? — pytał Siegfried.

— Kiedy! kiedy! — powtórzyła stara jejmość, trzęsąca się z gniewu i niecierpliwości. — Cały to spiszek być musiał. Kilka dni temu schwytali ją rano w ogródku, gdy się z jakimś knechtem ścisnęła... Goniono go, łapano... uszedł. Kazałam sieć, aby się dowiedzieć o nim; nie wydała nazwiska... Posadziłam na pokutę, na chleb i wodę. Żółknąć poczęła i chudnąć, aż mi się nie jej, ale piękności żal zrobiło. Kazałam puścić i pilnować. Dziś rano... powiadali, że chora na strych leżeć



poszła... Dopiero około południa dziewczęta się dowiedziały do niej, ale już nie było i śladu...

— A skądże pewnoś, że z knechtem uciekła? — ofuknął Siegfried.

— Kiedy ją z nim schwytano...

— Żadnej poszlaki? Widział kto? — począł krzyżak.

Gmunda płakać zaczęła; mówiła coś niewyraźnie, rzucała się, narzekała na swą dolę. Siegfried, któremu do swoich pilno powracać było, niecierpliwił się także i burczał:

— Posyłać za nią? gdzie? kogo?... albo to knechty nasze na to są, aby na zbiegłe dziewczęta polowały?

Tak mówił krzyżak, a jednak widać było, że rad był w czymś pomóc Gmundzie. Groźba jej, że dziewczę może po świecie roznosić, co się w domu jej działo, nie była i jemu obojętną.

Tuż we wrotach stał starszy bramny sługa, człek stary i otyły, ciekawie się przypatrując, a może i przysłuchując rozprawie Siegfrieda z Gmundą. Zwrócił się ku niemu krzyżak, jak do zaufanego, z uzaleniem, iż knechty broili, że sługa pani Gmundzie zginęła.

Bramny, doświadczony i od lat wielu będący przy zamku, głową potrząsał.

— Coś to się składa dziwnie — zamruczał. — Waszej siostrze dziewczka przepadła, a nam tej nocy chłopak, co go brat Bernard chował, sierota... no i ten niecnota parobek, psubrat Litwin, którego bym ja dawno był powiesić kazał, a Bernard go trzymał, karmił i nim się posługiwał...

Siegfried się rzucił.

— Pewno to? — zawołał.

— Albożbym śmiał mówić, gdyby już całego zamku górnego i dolnego i wszystkich kątów, szukając ich, nie strześli. Wszak i mnie brał Bernard na spytki, a warczał, a rzucał się, żem ja ich przez wrota wy-

puścił. Ja! u mnie się kot nie wydostanie bez pozwolenia... A z dolnego zamku, gdzie się około szpitala i stajen tyle ludzi szasta, wchodzi i wychodzi, możnaby stu ludzi wyprowadzić i niktby nie wiedział o tem.

Czyżby głupi byli iść tu, gdzie jabym im w oczy zajrzał, a nie tam, gdzie wrota otworem...

Siegfried zadumał się, nie chcąc przed bramnym powiedzieć, co myślał. Zwrócił się do Gmundy, lamentującej pocichu...

— Idź do domu, idź! co się zrobić da, to się uczyni... Dwóch ich stąd pono tej nocy drapnęło. Jest więc ślad; musieli razem ująć i razem ich też złapią, bo Bernard nie zaśpi pewnie...

To mówiąc, Siegfried pożegnał siostrę i przyśpieszonym krokiem zwrócił się do sali biesiadnej nazad.

Tu już pierwsze kubki na czcze żołądki i głowy podziały tak zwycięsko, iż wrzawa i szum nie dawały słowa usłyszeć. Brząkano w puhary, śmiechy tubalne się rozlegały; woń silnych zapraw korzennych napełniała salę. Służba zdejmowała już pierwsze opróżnione misy i śpieszyła je drugim daniem zastąpić. Ogromne ćwierci dziczyzny, stosy pieczonego, gotowanego i smażonego ptactwa, pływające w zawiesistych sosach, każdy rękoma i nożami rozrywał, a myśliwskie psy popod stołami gryzły się o rzucane kości.

Siegfried, szukając dla siebie próżnego miejsca, nie znalazł innego nad jedno w końcu stołu, gdzie się, zawsze skromny i unikający być na oku, brat Bernard usadowił.

Tego mu właśnie potrzeba było... Bernard, na łokciu sparty, nie brał się do jedzenia, noża nawet nie odpaś — siedział pogrążony w myślach jakichś.

Wszystko dokoła się śmiało, on marszczył się i krzywił.

Siegfried pochylił mu się do ucha.

— Słyszeliście? wiecie? — zapytał. — Waszego wy-

chowanka, słyszę, nie stało... Z parobkiem jakimś ujść miał... A oto Gmunda na mnie napadła, że jej knechty naszą dziewczkę porwały. Nie inni, tylko ci.

Bernard się rzucił ku niemu.

— Miała Litwinkę na wychowaniu? — zapytał żywo.

— Tak, jak wy... — ale spojrzenie nie dało mu dokończyć; Bernard znakiem, wczas uczynionym, przypomniał mu, że pochodzenie chłopca było tajemnicą.

— Zbiegł więc wasz zakładnik? — spytał Siegfried.

— Znikł... nie wiem — zamruczał ostrożny Bernard. — Szpitalnik mi doradził dać go na folwark, do Pynauów, dla wyzdrowienia... tam musiał on dać się zbałamucić komu. Parobek... litewski zwierz — dorzucił — pół-dzika bestja... ale zdrajcą nie był i lat u mnie służył wiele. Niepojęta rzecz...

— Posłaliście za nimi? — zamruczał Siegfried.

— Pogonie poszły ciche — rzekł Bernard — ale rozgłaszać o tem nie trzeba. Wszystko się jeszcze na głupim wybryku dla dziewczyny skończyć może. Mnie ta ucieczka dziewczki od Gmundy trochę pocieszyła. Chłopiec młody, krew gorąca... gdzieś, chwyciwszy ją, skryć się musiał w pobliżu Pynau. Przetrzęsą krzaki, to go znajdą.

A parobek... pewnie ucieczki się wcześniej dopatrzywszy, nie zbiegł, ale szukać chłopca musi...

Siegfried słuchał, ostygłszy nieco.

— Tak sądzicie? — zapytał.

— Sądzę, że inaczej być nie może, bo uciec.. dokąd? jak? byłoby niepodobieństwem! — rzekł Bernard. — Chłopca się wsadzi do kaźni, na chleb i wodę, Gmunda dziewczynę ukarze...

— Więc cicho — dokończył Siegfried, siadając i biorąc się do jedzenia.

Bernard, mimo że się sam uspokajać starał, pozostał zadumanym i posepnym. Ponieważ rozesłał na

wsze strony pogonie i szpiegi na zwiady, spodziewał się lada chwila jakiejs wiadomości i każde pacholę wchodzące oczyma przenikliwie mierzył.

Nikt jednak w ciągu uczty nie zbliżył się do niego; wiadomość nie przyszła żadna. Już słodkie dania na stole się zjawily, gdy Tomchen, pacholę Bernarda, nadbiegł wreszcie do niego. Lecz z oczu mu nie było widać, by z czem dobrem przychodził.

Pochylił się panu do uszu.

— Mówią, że i tego Litwiaka nie stało, co go Romkiem zwali, a drudzy Rymosem...

Drgnął Bernard.

Zaczynało mu być jaśniejszem coraz, iż wszyscy ci zbiegli, jednej krwi będąc, musieli się zawczasu porozumieć z sobą i razem umówioną przedsięwziąć ucieczkę.

Nie tyle mu żal może było tych rachub chybionych, któremi się łudził, wychowując Jerzego, co samego chłopaka, do którego się był, sam o tem nie wiedząc, przywiązał. Szło mu i o to, co dla Zakonu przez niego chciał uczynić; lecz teraz, gdy jawnem było, że, mimo wszelkich starań, poczuwał się Litwinem i że zbiegł pewno nie gdzie indziej, jak do swoich, teraz niechybna zguba wychowanka trapiła go.

Nie powątpiewał na chwilę, że zginąć musi.

Jakimże sposobem wyrwać się mógł z rąk, przeslizgnąć bezkarnie przez posiadłości krzyżackie?

Stał mu przed oczyma piękny ów chłopak, po którym się spodziewał tyle... z rozbitą czaszką, z piersią zakrwawioną.

On sam nie miałby już nad nim litości. Jak skoro odstępcą był... śmierć ponieść musiał. Przed ucztą głoszone owe niektórej braci twierdzenia, że Litwę tępić i wybijać należało, teraz mu się niemal słusznemi wydawały.

— Zawsze w nich krew ta i duch pogański się od-

zywał! — mówił do siebie. — Dzieckiem go wzięto, języka oduczono, słowem Bożem karmiono, pochodzenia własnego nie wiedział, Niemcem się sądził... a przecież szatan zdążył po swą ofiarę i zabrał ją, choć dla Pana wyrwałem mu ją z paszczyki...

Gdy tu, w końcu stołu, dumał tak smutnie Bernard, a Siegfried, już troski zapomniawszy, jadł, aby opuszczone dania sobie nagrodzić, — w drugim, u góry, zwolna się śpiewy słyszeć dawały...

Śpiewy, nie pobożne, jakby u zakonników przystało, ale świeckie, miłosne, żartobliwe, wesołe... Poczynali je obcy, a wtórowali im, wzdychając ci, co ich dawno nie słyszeli i głodni byli.

Wielki mistrz musiał udawać, że ich nie słyszy, nie rozumie...

Z jednej strony brzmiało półgłosem:

Es ritt ein Fürst in frembde Land —

Zu einer schönen Jungfrauen...

Z drugiej, jak na przekorę, nucił inny:

Es flog ein klein Waldvögelein...

Der lieben für's Fensterlein,

Es klopfet also leise

Mit seinem Goldschnäbelein:

Stand auf, Herzlieb...

Jakby na złość wielkiemu mistrzowi i zukosa spoglądając nań, trzeci zaintonował:

Zu Braunschweig stehet ein Castell...

Jeden ze strony, widząc, że już bez pieśni się chyba nie obejdzie, a śpiewy miłosne rozigrać się nadto mogą, wniósł starą odę, a wszystkim znaną pieśń hildebrandową:

Ich will zu Land ausreiten... <sup>1)</sup>,

która rycerstwu lepiej przystała.

---

<sup>1)</sup> Pieśni wszystkie stare, historyczne.

Zagłuszyła ona inne i śmiało się podniosła pod sali sklepienia... Nikt się jej wstydzic nie potrzebował, a prastare dzieje opowiadając, sercami kołysała...

Hrabia Namur, który do innych, a słodszych pieśni był nawykły, przysłuchiwał się ciekawie razem i szydersko... Anglicy usiłowali coś zrozumieć...

Uczta była skończoną; wielki mistrz wstał pierwszy i poważniejsi za nim do izb jego się wynieśli, chociaż znaczniejsza część biesiadników, pigmentu sobie dolewając i pieśń po pieśni wznawiając, na ławach pozostała. Dzień uroczysty nie dozwalał polnować ściślej ani godzin, ani praw stołowych... gościnność nie dopuszczała odmawiać napoju...

Przez otwarte okna zawiewało wonne powietrze majowe... Rycerstwo nastrojało się do przyszłych bojów, a ktoby był młodszych podsłuchał, jakie sobie obiecywali zdobycze, wzdrygnąćby się musiał.

Upojeni, rozpowiadali sobie okrucieństwa rozpustne, które tylko rozbestwienie ludzi, od świata i rodzin oderwanych, samotnością roznamietnionych, mogło prawdopodobnemi uczynić...

Śmiali się z tych szarów między sobą, jedni drugim je wyrzucając i szukając z nich sławy...

Tymczasem Bernard stał u okna, spoglądając w podwórcę... zdając się namyślać, jakie miał przedsiębrać kroki przeciw zbiegom. Tomchen jego poszedł był po knechtów, co razem ze Szwentasem stajen strzegli, i miał ich przyprowadzić do przesłuchania.

Jak tylko kupkę ich dostrzegł w podwórcu Bernard, natychmiast do nich pośpieszył.

O zniknięciu Jerzego, Szwentasa, Rymosa i dziewczyny dopiero się przed samą i w czasie uczty dowiedział, szczegółów nie miał żadnych, potrzeba było je pościagać.

Przestraszona czeladź stała, oczekując na jednego z tych, których się na zamku najbardziej obawiano.



Zbliżył się, jak sędzia surowy, krzyżak i kazał mówić im, co wiedzieli o Szwentasie, o Rymosie.

Z początku nikt nic wiedzieć, nikt się niczego domyślać nawet nie chciał... Wszyscy utrzymywali, że parobka zbiegłego nie widzieli oddawna...

Okazywało się jednak z półsłówek, że Szwentas już od dni kilku niby słabował, od roboty się uwalniał, po kątach błakał. Widziano go dwa razy z Jerzym na rozmowie w ciemnej sieni... Rymosa ktoś widział nocą jeszcze...

Kunigas już, po powrocie z Pynau, nie mieszkał w szpitalu, — celę miał na kurytarzu, niedalekim od Bernarda... Znaleziono w niej znaczniejszą część odzieży i oręża, które Zakon wydawał braci do użytku, bo własności nikt nie miał wedle prawa, i suknie nawet, jakie nosił, każdej chwili mu odebrać i zamienić starszy miał władzę. Wprawdzie spełniało się to tylko względem uboższych a mniejszych, bo biała arystokracja znacznymi własnymi rozporządzała sumami, — tolerowano to, patrząc przez szpary.

W Jerzego celi zostało tyle sukni, jakby w lekkim tylko przyodziewku się wymknął i bez ciężkiej zbroi. Ani on, ani jego towarzysze nie zabrali koni...

U żadnych wrót stróże bramni wychodzących ich nie widzieli; tylko Szwentas, którego nie pilnowano, poprzedzającego dnia z odkrytą głową, ze dzbankiem w rękę, przez wrota około szpitala jawnie sobie wyszedł i więcej nie powrócił.

Bernard sam, pomimo późnej godziny, udał się jeszcze na miasto, aby tam starać się dopytać, czy którego ze zbiegów nie widziano... Z obawy pociągnięcia do badań, lub w istocie nie wiedząc nic, mieszczanie odpowiadali, że nie uważali nikogo.

Tomchen musiał dosiąść konia i tegoż wieczora dojechać po Pynauów, dostać języka, czy się tam który nie przemykał...

Dietrich stary i synowie jego przysięgali, że na oczy ich od wyjazdu nie widzieli...

U pani Gmundy z równą surowością badano sługi i czeladź, chociaż nikogo tu posadzać nie było można o bliższe stosunki i sprzyjanie litewskiej dziewczynie. Niecierpiano tam dumnej i nieugiętej Baniuty, której żadne katowanie, groźby, głód złamać i do posłuszeństwa nakłonić nie mogły.

Dziewczęta, jej towarzyszki, znęcały się nad nią... męska służba prześladowała... współników tu poszukiwać było trudno...

O której porze i jak się Baniuta wydobyła z za parkanów i wrót pozamykanych? nie umiano odgadnąć. Była jeszcze z wieczora; w nocy żadne drzwi nie skrzypnęły; a gdy późno w dzień poszły jej szukać dziewczęta, nie znalazły... Wprawdzie nie było jej trudnem bodaj z poddasza się spuścić, parkan przeleźć, na drzewo się wdrapać i z niego zniść... Dziewczę lepszych sukni, któremi je do gości przystrajać chciało, nie tknęło. Pozostały nienaruszone na strychu. Wdziało nędzną sukmankę i przyodziewek najlichszy...

Nadchodząca noc nie dozwoliła dnia tego nic się dowiedzieć, wpaść na trop żaden. Powysyłani ludzie, którzy okolicę trząść i przejeżdżać mieli, zaczęli powracać aż nazajutrz... Nigdzie zbiegów żadnych, ani na gościńcach, ani po folwarkach, nie znaleziono śladu... Pytania i plondrowanie było próżne...

Nazajutrz, stróż nocny miejski, który nade dniem ku rynkowi powracał, rozpowiadać zaczął, że na drodze do Pynaufeldu nocą przemknęły mu się, jakby cienie, jakieś cztery ludzkie postacie... jeden idący przodem człek, para potem i na końcu jakby pacholę.

Mogli to być oni, lecz powtórne trzęsienie zarośli i okolic folwarku było próżne. Skarżył się tylko rybak,

który miał duże czółno na Nogacie u brzegu, że mu je właśnie nocy poprzedzającej skradziono...

Brat Bernard zaraz po biesiadzie, gdy wielki mistrz z kompanem swym odszedł był do kaplicy i sypialni, zgłosił się do niego o posłuchanie.

Przychodził ze smutnem wyznaniem winy swej, ucieczki Jerzego i niepojętego spisku jeńców litewskich, którzy w zмовie z sobą uszli.

Luder przyjął tę wiadomość obojętnie dosyć, starając się nawet strapionego Bernarda pocieszyć tem, że szaleńcy ci gdzieś głodem zamrzeć muszą, a gdyby się cudem jakim do swoich dostać mieli, Zakonowi żadnej szkody wyrządzić nie potrafią.

— Bracie Bernardzie, — rzekł — nie trapcie się tem, ani zrażajcie, ale pilnie odtąd przestrzegajcie tego, aby żaden obcy żywiół się do naszego niemieckiego Zakonu nie wmieszał. Ani sług, ani czeladzi, ani knechta nie godzi się nam mieć, któryby nie był czystej krwi niemieckiej...

Jest nas, dzięki Panu, dosyć i nie potrzebujemy obcych pomocy...

Wielki mistrz na tem skończył i, mając już uklęknąć do wieczornej modlitwy, zwrócił się jeszcze do Bernarda, cicho szepcząc:

— Jeżeli ich ujęto... szkoda żywić...

Dał znak, ręką po szyi powiódłszy, który Bernard zrozumiał dobrze... pokłonił się nisko i, gdy Luder do klęcznika się zbliżał, wyszedł pocichu.

## II.

Dolinę wpośród gęstej puszczy zieloną, której środkiem mały strumień przebiegał, otaczały dęby i lipy, graby i leszczyna... Jak wygnanki osamotnione, uwięzione, ściśnięte, dwie, czy trzy olbrzymie sosny, świer-

ków para ciemniejszymi gałęzmi ponad wiosenną zielenią liściastych braci dobywało się do góry... Nagie ich pnie strzelały ku niebiosom, bo żaden konarów, w tej gęstwinie zgłuszonych, nie mógł puścić... Stały świerki i sosny te, jak niewolnice... i tyle miały powietrza i słońca, co nad sobą...

Zato się dobrze działo zwycięzcom, rozrastającym się bujnie; a nigdzie ślad ludzkiej ręki nie nadwierał tych panów puszczy, których i burza szanować musiała, bo wkraść się tu nie mogła...

Padało słońce w dolinę, ale do głębin leśnych, gdy się liśćmi okryły, nie zajrzał promień żaden i tajemnic ich nie odsłonił... Jak sklepienia zielone, splątane z sobą i pokrzyżowane, rozpościerały się gałęzie, pod sobą cienie kryjące i chłody...

U skraju lasu, na małym pagórku, który strumień podmywał i na wiosnę jeden bok jego odarł z murawy, żółty piasek obnażywszy i glinę, siedział dąb odwieczny, król lasu, ojciec może tej gęstwiny. Wierzchołek jego występował ponad najwyższe drzewa, a stopy rozpostarte, porożłupywane, grube, jak drzewa, wielką przestrzeń zalegały...

Dąb to był jeden, czy trzy z sobą tak zrosłe, że się w jedną olbrzymią zlały bryłę? teraz już rozpoznać nie było podobna... Grubą korę czy pioruny poryły głęboko, czy wieki tak ulepiły — nikt nie umiał odgadnąć. Rozdoły poobrastały mchy, gdzie niegdzie trawy i kwiecie nawet... Pasorzyty te, przyczepione do szczelin, zwieszały łodygi i liście ku dołowi, jakby prosiły się na ziemię...

Pod dębem nic nie rośło, oprócz trochę mchu i chudej trawki pożółkłej...

Na grubych dębu gałęziach z trzech stron pozawieszane były bryty całe sukna szkarłatnego, opadające aż na ziemię. Jedna tylko połąć od słońca odkryta była... Na pomniejszych żywych i suchych gałązkach

niezliczona moc ręczników szytych, fartuchów, płacht, zawitek najdziwaczniej się strzępiła...

Niektóre z nich były białe jeszcze i jasne, inne po-  
żółkłe, szerniałe, pobrukane, podarte w strzępki, roz-  
gniłe na nici... Gdzie niegdzie pas czerwony, wstęga ja-  
kaś — kraśniały wśród tych łachmanów i bielizny...

Zdała poza dębem-królem wielkiem kołem biegł  
płot wysoki, szczelny, który schodził aż do strumienia  
i, przeskoczywszy go, część łąki zamykał... Ztyłu od la-  
su stały w tej zagrodzie wrota wysokie, mocne, dachem  
pokryte, a po obu ich bokach — dwie furty ze  
wschodkami.

Tam, gdzie stary pień dębu patrzył na świat i słoń-  
ce, a rozpadł się jakby we dwie połowy, w głębokiej  
dziupli widać było kloc nieforemny...

Pień to był innego drzewa, dobyty z ziemi, który  
naroście, korzenie, garby i szpary urobiły tak dziwnie,  
jakby nad nim ręce ludzkie pracowały. A nie tknęły go  
nigdy kamień ni żelazo. Bawiła się siła jakaś nieznana,  
gdy rósł w ziemi ten potwór, by mu kształty nadała ni-  
by ludzkie, niby zwierzęce, istoty niebywalej a stra-  
szonej... Pień ten miał głowę olbrzymią i w niej doły, jak  
oczy, i rozwartą paszczkę, a pod nią nastrzępioną bro-  
dę... a ponad czołem, występującem, jak dach, strze-  
chę kudłatą...

Głowa siedziała wbita w ramiona szerokie bez szyi,  
z piersią wypukłą i nabrzmiałą; niby rąk dwoje chu-  
dych, przyczepionych było do boków; niby grube dwie  
skręcone nożyiska, zwijały się dwa sploty korzeni  
u spodu...

Potwór to był niekształtny, a choć myśl żadna  
w nim nie powstała i przypadek jakiś wyrzeźbił mu  
twarz straszną, — oblicze to mówiło, bałwan był jakby  
snem jakiejś istoty, która na progu życia w kloc stę-  
żała...

Gdy się człowiek wpatrywał w to bóstwo, dobyte

z ziemi, zwolna przejmowała go trwoga, przechodziły dreszcze, zdawało się, że te dwie jamy czarne wzrok miały i rozdarta gęba przemówić mogła, a ręce piorunem cisnąć...

Po czole mchy i resztki kory złupanej rysowały marszczki groźne, na policzkach snuły się jakby zastygłe uśmiechy szyderstwa...

Pień ten gadał do ludzi... choć milczał.

Gdy promienie słońca i cienie liści ruchome nań padały, zdawało się poruszać oblicze, mienić i stawać na przemiany to groźnem, a okrutnem, to szyderskiem, a bezlitośnem, to spokojnem i uśpionem. Bałwan budził się, żył, zabarwiał, blednął, a przy ogniach nocnych się poruszał..

Stał przeciw słońcu, urągając mu się i wyzywając...

Dąb był świątynią Perkunasa, kłoc — cudownym wizerunkiem jego... A dokoła rozciągało się święte Romowe nowe, wyroczni miejsce i dziwów. I strumień, co obmywał podnóże, był święty, i ziele, co na niej rosło, cudownem było... i powietrze, nasycone wonią liści, dawało życie.

Przed dębem, nad strumieniem ułożony był z ociosanych misternie kłód jakby stos wielki i wysoki, który się zwał u góry i obwiedziony był balasami. Na nich zwieszało się sukno szkarłatne, które wiatr miejscami pościagał i poobrywał. Ztyłu wiodły na stos wschody, bo tu Krewe-Krewejto — Ewarto-Krewe, kapłan najwyższy, czasem wstępując, ukazywał się ludowi i przemawiał, zagrzewając do czci bogów swych, a odpychania obcej wiary...

Były to dni uroczyste, rzadkie, na których oznajmienie mnogie zbiegały się tłumy.

Lecz i w dniu zwykle nigdy tu pusto nie było. I teraz roila się ludem dolina, widać było w lesie porozkładane ogniska, powiązane konie, snujących się ludzi w bieli.



Z za dębu podnosił się zwolna ku górze siną wstęgą dym od kamiennego ołtarza... Tu było ognisko nieustające, święty płomień, co nigdy nie gasnął, podsycany smolnem drzewem, żywicą i ofiarami pobożnych...

Pomimo nagromadzonych tu tłumów dokoła, cisza jakaś uroczysta panowała nad doliną. Szmary tylko ludzi, około świętego ognia się przechadzających, rżenie koni, szum lasu przerywały milczenie. Pobożni mówili głosy zniżonemi, chodzili, nie czyniąc wrzawy, z poszanowaniem dla miejsca świętego. Ptactwu tylko i strumieniowi wolno było swobodnie głosić cześć litewskiego boga... A że po mnogich przybyszach w dolinie zawsze pełno było okruchów jadła, gromadami krążyli nad nią leśni mieszkańcy, najrozmaitszemi odzywając się głosami.

Widok doliny był wielkim, pełnym różności obrazem...

Z jednej strony gromadą siedzieli siwobrodzi starcy nad wygasłym ogniskiem, gwarząc między sobą pocichu. Dalej w głębi widać było odosobnione niewiasty i dziewczęta, które jedzenie dla pielgrzymów przygotowywały, krzątając się około kamieni, wśród których ogień rozpalono.

Kupkami stali mężczyźni, z różnych stron, z różnych powiatów, mieniając się z sobą przyniesionemi wieściami. Młodzież u skraju lasu, żwawiej rozmawiając, śmiejąc się pocichu, niekiedy wyzywała się na rękę, porywała jakby do zapasów, i wprędce, przypomniawszy gdzie była, uspokajała się, zalecając sobie milczenie.

Bliżej stosu, dębu i ognia snuli się kapłani różnego stopnia, miejscowi i przybyli... Krewowie mniejsi, w białych szatach i pasach, z laskami białemi w rękach; wejdaloci w sukmanach oszytych taśmami białemi i strzępkami, niektórzy w wieńcach na głowie, in-

ni niosąc je w rękę, niektórzy z obnażonemi skroniami, w zapylonej podróżą odzieży.

Mniej pokaźnie, ubogo poodziewani wiejscy wur-szajtosi poza stąrszyzną trzymali się na uboczu z po-szanowaniem, a przy nich sigonoci, ofiarnicy, mężo-wie silni i surowego wejrzenia.

Tym nieraz nietylko kozła i owcę przychodziło za-bijać u ołtarza, ale i porwanego na wojnie niewolnika na stos, związanego, prowadzić i dobijać, gdy się mę-czył...

Całym zastępem poza parkanami dębu świętego le-żeli obozem wróżbici, guślarze, wędrowni śpiewacy, burtynikasy, swalgonowie, pogrzebowi słudzy lingu-sony...

Po odzieży ich, zwyczajnej, nie różniącej się od sukman, jakie lud w różnych nosił stronach, poznać było można, iż przychodzili tu z wyższej i niższej ziemi, od granic języka, od rubieży Krywiczán, z głębin la-sów, błót i puszcz dzikich... Wszyscy oni choć raz w rok musieli się u świętego źródła i dębu pokrzepić, oświadomić i nabrać wody dla chorych, popiołu z ogni-ska, liści z drzewa...

Każdy z nich przynosił Krewie lub wejdałotom wieść o tem, co się działo po innych miejscach świę-tych, a stąd brał rozkazy i upomnienia...

Słuchano kunigasów, mających żelazne miecze w rękę, ale biała laska Krewy, gdy nią skinał, nie po-strachem, lecz jakąś siłą niepojętą poruszała tłumy. Najwyższy kapłan, jeszcze z prastarych czasów, miał większą moc, niż żelazo książęce...

Blżej ognia świętego, oddzielone od innych, w osob-nej zagrodzie, mieściły się stróżki wejdałotki, dziew-częta, wybierane z najpiękniejszych, najdorodniej-szych, najsilniejszych... wszystkie jednako odziane, w bieli i zieleni, milczące, poważne, do których mę-czyznom zbliżać się nie było wolno. Zkolei po trzy wy-

chodziły, niosąc drzewo i żywicę... przystępowały do ogniska, podsycaly je i, stojąc, czekały, zapatrzone w płomień, dopóki inne nie przyszły ich wymienić z kolei. Czasami cichy śpiew nuciły, który brzmiał tęskno, powolnie, jak skarga ludu do bogów...

Wejdaloci, służący u dębu perkunasowego, prawie nieustannie byli zajęci. Przychodzili do nich wędrowni wróżbici po radę, chorzy po lekarstwa... Matki przynosiły dzieci, biedni znosili ofiary...

Krewule, staruszek z brodą szarą, mały, otyły dosyć, zmęczony, na ustroniu siedząc, pod daszkiem u parkanu, oparty oń, drzemał, oczekując, aż który z wejdalotów przyjdzie go o co zapytać. On tu wątpliwości i spory rozstrzygał...

Obok niego przez drzwi półotwarte w szopce, dachem dranicowym pokrytej, dostrzec było można po składanych ofiar różnych, poprzynoszonych Perkunasowi.

Na policach stały garnki z miodem, kręgi wosku, warkocze lnu, sztuczki płótna, pasy i zapaski, nawet sznury bursztynu i szkieł świecących... W bodniach zsypywano ziarno, na kołach wisiały pozabijane zwierzęta... Skarbiec to razem był i spiżarnia...

Kiedy niekiedy z wejdalotów który to przynosił tu nową dań i składał, to zabierał, co na pożywienie było potrzeba...

Wśród tego ruchu u dębu milczenie zachowywane czyniło widowisko to dziwnem, jakby nie żywi ludzie, ale duchy i cienie się nieme około służby boga krzątały... Białe suknie wejdalotów i kapłanek czyniły je w istocie do jakichś widm podobnemi...

W obozie, gdy nawet dziecię zakwiliło, matki zatulały mu usta, aby świętego milczenia nie przerywało.

Raz w dzień, o wschodzie słońca, gdy pierwszy promień jego na dolinę zaglądał, na nowiu Menesa i na

pełni... odzywały się śpiewy wejdałotów. Reszta ofiar w ciszy się odbywała...

Taki był obyczaj dawny i potrzeba dni terażniejszych, bo Romowe i świętości musiano przed krzyżakami ukrywać, a śpiewy zdradzić mogły...

Trzykrotnym łańcuchem opasane było uroczysko dokoła... Zbrojna straż koczowała przy dolinie, a wszyscy też kapłani mieli oręż i gotowi byli stanąć w obronie swych świętości. O stająć kilka drugi szereg opasywał kręgiem Romowe... Na skrajach puszczy stali trzeci wartownicy czujni, którzy o niebezpieczeństwie hukaniem i naśladowaniami różnych ptaków głosami oznajmowali. Niejeden już naówczas dąb święty padł pod siekierami niemieckimi, niejedno Romowe zniszczono, wielu wejdałotów wyrzezano; ostatnie przytułki świętości starych musiały być pilnie strzeżone.

Skarbce też kosztowniejsze, złoto, srebro i miedź chowano w podziemiach, w lesie utajonych, o których tylko najwyżsi wiedzieli kapłani.

Dzień wiosenny miał się ku schyłkowi i ukośne słońca zapadającego promienie wpadały tu, ozłacając świeżą zielonością okryte drzewa; wędrowcy jedni się zabierali do drogi, drudzy gotowali do spoczynku, inni dopiero do obozowiska zdążali, gdy lekki szmer jakis dał się słyszeć wdali i od ogniska zaczęli wstawać ludzie, a kupić się w miejsce jedno.

Starszy wejdałota, Nergenno, który pilne na wszystko miał oko, najrzał zdala ten ruch, przyłożył rękę do czoła, popatrzał długo i młodego chłopaka posłał w to miejsce, gdzie się kupili ludzie, aby mu przyniósł wieść, co ich tam gromadziło.

Żwawy Merunas przesunął się pomiędzy ogniskami i gromadkami, siedzącymi u nich, a że miał białą przepaskę, ręcznik, oznajmujący, iż do służby Perkunasa należał, ustępowali mu wszyscy z drogi.

Na skraju lasu postrzegł w pośrodku ciekawej gromady stojących ludzi troje i białą zasłoną od stóp do głów obwinietą niewiastę, której część twarzy zaledwie widać było.

W chwili, gdy się ku nim przybliżyć miała — kobieta w bieli, jakby ze znużenia wielkiego, schyliła się, padła i położyła na ziemi. Ktoś z gromady niósł jej kubek świętej wody dla orzeźwienia.

Z trzech towarzyszących jej mężczyzn jeden, młody, piękny, postawy rycerskiej, śmiałego wejrzenia, na jakiegośby wodza wyglądał, gdyby nie lata zaledwie chłopięce i twarz jeszcze ledwie puszkciem okryta.

Poza nim, małego wzrostu, gruby, z głową dużą, silny, barczysty, stał parobek z pałką na ramieniu, z sakwami na plecach. Dalej jeszcze smukły, chudy chłopak, w tych latach, gdy człowiek z dziecięcia wychodzi, a męża nie dorósł, trzymał się na uboczu, oparty na kiju podróznym.

Z odzieży tych wędrowców, z ich twarzy, z postawy znużonej widać było, że przybywali zdaleka, że drogę mieli za sobą ciężką i długą. Kurzawa i błoto osiadły na ich nogach, gałęźmi poszarpane mieli suknie, zmiętą i zszarzaną odzież, oblicza schudzone.

Leżące na ziemi dziewczę niekiedy ciekawie podnosiło głowę, rzucało oczyma niebieskimi po dolinie ku dębowi, uśmieszek przebiegał po jej ustach; lecz wnet zmęczenie zmuszało ją lec na trawie, i choć dokoła stali, szemrząc, ludzie, przypatrujący się natrętnie, — biedne stworzenie zamykało powieki i sen na nich ołowiany osiadał. Merunas, który tu wielu już i różnych widywał przybyszów, tych z żadnej oznaki wyraźniejszej odgadnąć nie umiał, ktoby byli. Ubiór ich jakiś, ni obcy, ni swojski, nie miał cechy ziemi, z której przychodzili. Sama twarz i postawa młodego chłopaka, który przodował innym, miała w sobie coś niezwykaj-

nego — ruchy zdradzały nawyknięcia jakieś nie litewskie.

Wędrowcy ci byli to: Jerzy kunigas, Szwentas, Ry-mos i Baniuta.

Jakim sposobem przez kraje, zajęte krzyżackimi strażami, dostali się tu na bezpieczne, w lasach ukryte, Romowe? Pytali ich wszyscy, nikt nie rozumiał, a odpowiedziom wielu nie wierzyło.

Kunigas obudzał nawet nieufność wielu; szeptano, niedowierzająco spoglądając na niego, bo mówił litewskim językiem, jakby się go wczoraj nauczył, i słowa przychodziły mu ciężko, a gdy ich brakło, marszczył się niecierpliwy i gniewny.

Podróźni nie umieli rozpowiedzieć o swej drodze. Szwentas tylko słowy urywanemi cieszył się, że się ciężka wędrówka skończyła.

Gdy się Merunas zbliżył i zapytał, — poszepnął mu jeden z ciekawych, że zbiegi przybyły z niewoli krzyżackiej, a jeden z nich się kunigasem mianował.

Gdy się to działo, a Baniuta, pomimo ludzi, co się w nią wpatrywali, zarzuciwszy zasłonę na głowę, usypiać miała na gołej ziemi, niektórzy ze starszych szemrać zaczęli, iż należałoby ją której z niewiast powie-rzyć, aby o niej miała staranie.

Wyszedł jeden z koła i podstąpił tam, gdzie starsze kobiety siedziały u ognia, gotując wieczerzę... Wstały z nich dwie zaraz i żywo pośpieszyły ku leżącej dziewczynie. Stały nad nią zadumane, przypatrując się z obawą i podziwieniem... Baniuta spała. Jedna z nich poklekła przy niej, ostrożnie podniosła z lica zasłonę i poczęła wpatrywać się w twarzyczkę, którą sen już ujął, jakby śmiertelny... Szeptano nad nią, — nie sły-szała nic, dotykano — nie czuła; oddech był wolny... rumieniec gorączkowy na policzkach, a półotwarte usta czerpały z powietrza życie, którego piersi brakło...



Ulitowawszy się jej, dwie niewiasty zlekka wzięły Baniutę, podniosły z ziemi i, ostrożnie krocząc z ciężarem tym, poszły ku swojemu ognisku. Raz tylko otworzyła oczy, westchnęła, uśmiechnęła się im... powieki zapadły znowu i tak uśpioną... półżywą złożyły, jak dziecko, na prędko przysposobionem posłaniu.

Rymos, tak prawie znużony, jak ona, siadł na trawie, podparł się rękoma — drzemał. Szwentas najlepiej przebył te trudy i trzymał się na nogach, śmiejąc się a rozglądając.

Kunigas też nie poddawał się znużeniu, choć ono na twarzy jego było widoczne. Patrzał i oczyma pożerał, co widział...

Wszystko to było dlań nowem, dziwnem, jakby ze snów jakichś dziecinnych wskrzeszonym, a tak niezmiernie różnem od tego, w czym się wychował i dorósł.

Krzyżackie pachole, do ich obyczaju wdrożone, walczyło z sobą, by się do nowych nałamać... Zdala widoczny dąb, stos, płonący ogień, w białych szatach snujący się wejdaloci, ta świątynia pod gołym niebem, ten bóg, którego czczono trwożliwym milczeniem, przejmowały go postrachem i niepokojem...

Nawykł był wierzyć w innego Boga, kłaniać się innym kapłanom... w duszy odzywały mu się poważne pieśni kościelne i słowa modlitw, które szły do serca... Nie wiedział sam jeszcze, czy się miał wyrzec tamtego Boga dla tego, czy obu w sobie zjednoczyć.

Merunas, dostawszy języka, zawrócił się ku dębowi, a wieść o zbiegach, z ust do ust podawana, napęłniła w chwili dolinę. Do uśpionej Baniuty zbiegły się wszystkie kobiety; około kunigasa ścisnęli się mężczyźni; napastowano pytaniami starego Szwentasa.

— Co wy mnie się pytacie, jakem ja się tu dostał? — mówił parobek, któremu ktoś dla orzeźwienia podał brzozowego soku. — Albo ja sam wiem, jakem ja

ich tu cało potrafił przyprowadzić? Czy nas bóg jaki wiódł, czy duchy... a to pewna, że nie mój rozum, ani ich mądrość — dodał, wskazując na Rymosa i kunigasa. — Płynęliśmy wodą, szliśmy lądem, marli głodem, spali we dnie, chodzili nocą. Wilki nam oczyma w ciemnościach przyświecały... Jajami ptasiami z gniazd i surowemi grzybami karmiliśmy się czasem.

Pomijali nas krzyżacy, nie widząc, jakbyśmy płaszcz mieli niewidankę... niedźwiedzie torowały nam drogę.

Och! och! któż to opowie? kto to zrozumie?

Tchnął Szwentas, otarł czoło i zaśmiał się.

— Cud się stał... a teraz dajcie biedę wydychać, bo ani dzień, ani dwa, ani dziesięć wlekliśmy się... a no i liczbęśmy stracili. Menes był napół przecięty, gdyśmy z Malborga się wykradli, a oto znowu miecz słoneczny go rozplątał... i my dopierośmy tu stanęli...

I Szwentas też, za przykładem Rymosa, obejrzał się tylko, nogi podgiął i na ziemi siadł. Kunigas tylko nie myślał o spoczynku.

Stał milczący, gdy Merunas powrócił, za rękaw go ujął i wskazał ku dębowi, że tam go wzywano.

Jerzy już poczynął iść, gdy stary jego towarzysz, ujrzawszy ruch ten, wstał, mrucząc, i zabrał się z nim razem.

— Beze mnie wy tam, kunigasiku, — rzekł — chyba się nie rozmówicie ze świętymi ludźmi... bo oni was, a wy ich nie zrozumiecie. Powlokę się za wami.

Jerzy szedł śmiało, nic nie odpowiadając.

Kilku wejdałotów na nich u parkanów czekało... Szwentas, potarłszy czoło, wyprzedził swego kunigasa.

— Coście za jedni? — zapytał starszy z wejdałotów.

— Z krzyżackiej niewoli — odparł Szwentas. Wskazał na Jerzego. — Wiecie, kto jest?... to dzieckiem zabrany Redzie z Pillen chłopak, którego krzyżacy

Niemcem już byli zrobili... Odezwała się krew... ma  
znamie, grochu ziarno, na szyi... on jest!

Wejdałota ręce podniósł...

— Od dziecka u nich był? — zawołał, marszcząc  
się — a cóż nam dziś z niego...

Jerzy, dosłyszawszy to, podniósł głowę.

— Zdam się — rzekł krótko, a dumnie.

Wejdałoci spojrzeli nań, — postawa potwierdzała  
słowa; głowami poruszyli, na siebie spojrzeli. Szwen-  
tas tymczasem rozповідаł bez ładu o podróży, prze-  
rywając powieść swą śmiechem i przekleństwami. To,  
co mówił, tak było do baśni podobnem, iż słuchający  
ramionami ruszali... Mówiono im też o Baniucie...  
a Szwentas się przyznał, że długo służył Niemcom, do-  
póki mu się, jak powiadał, serce w piersi nie odwró-  
ciło...

Nie wiedząc, co począć z tym przybyszem, milczą-  
cym, a dumnym i wyglądającym im obco, wejdałoci  
poprowadzili go do Krewuli.

A Baniuta? Baniuta spała... Sen to był, jakby dzie-  
cięcia w kolebce, które czuje, że ktoś nad niem czuwać  
musi. Jedna po drugiej przychodziły baby i dziewczęta  
licu się jej przypatrywać, potrząsały głowami i szep-  
tały...

Baniuta spała... Czasem się westchnienie wyrwało  
z piersi, i zdało się, jakby już obudzić się miała, lecz  
sen powracał znowu i noc się roztoczyła dokoła,  
a dziewczę, jak spało, tak spało.

Już wszystkie niewiasty, jedna po drugiej, po raz  
i po dwa przychodziły się wpatrywać w uśpioną; a jed-  
na tylko stara Jargała, siedząca u ognia niedaleko,  
choć ją ciągnięto i namawiano, nie chciała się ruszyć  
i zobaczyć dziewczęcia.

— Nie chcę widzieć — mówiła — poco? A to mi  
się rozedrze serce... Miałam w tych latach córkę, co mi  
zginęła... Czy zwierz ją zadrapał, czy Niemcy zabili,

żaden wróżbita nie wie... a przepadła, jak kamień w wodę.

I nie poszła stara Jargała, tylko, przypomniawszy swoje, zapłakała, podparła się na rękę i zaśpiewała piosnkę, którą dziewczę z wiankiem do mogiły prowadząc, śpiewano...

Dały jej pokój inne...

Siedziała długo; nagle, jakby jej coś do serca zapukało, ruszyła się z ziemi, chciała powstać i usiadła.

— Pójdę? nie? — mówiła w sobie. — Poco? Rozedrze się serce!

Siedziała znowu i ruszyła się jeszcze... Coś ją gnało i coś wstrzymywało...

Rzuciła się, wstała na nogi, lecz zbrakło jej odwagi. Wtem zdala z tej ciszy doszło ją westchnienie lekkie... To Baniuta przez sen tak oddychała.

Ogień przygasły rozdmuchał wiaterek i blask padł na uspioną. Jargała szła ku niej powoli zrazu, potem żywiej coraz; obejrzała się, jakby wstydziła; przybliżyła się; nachyliła; ukłękła — siadła.

Oczy starej, jakby z powiek wyskoczyć chciały; ręce bezwiednie wyciągnęła, otworzyła usta... patrzała... napatrzeć się nie mogła. Oddech żywszy coraz poruszał jej piersi, łzy z oczu płynąć zaczynały.

— A! taką, taką rybką złotą byłaby moja, gdyby żyła! — poczęła jęczeć pocichu — takie miała kosy bursztynowe, takie uszka malinowe... takie czoło śnieżne... Dziecko moje! dziecko moje! — Mówiła z płaczem, tak cicho, tak oddech wstrzymując, że ledwie sama siebie słyszała...

Wtem śpiąca drgnęła; otworzyły się powieki szeroko; ukazała oczy jasne, niebieskie; wlepiła je w staruszkę, patrzała i po ustach biegł uśmiech... Oko w oko tak spoglądały na siebie, chwilę czy godzinę... po starej mrowie przechodziło... Baniuta powiek zamknąć nie mogła...

Na piersiach dziewczęcia oddech koszulkę poruszył i odsłonił na sznurku kolce, które nosiła ukryte.

Nagle dwa krzyki słyszeć się dały... dziewczę wyciągnęło ręce, stara chwyciła ją w objęcia.

— Baniuta!

I matka padła zemdlona.

Niewiasty, zdala siedzące, zbiegły się przestraszone cucić starą, dziewczę jej wyrwać z rąk zastygłych, — ale się trzymały tak, jakby się zrosły...

Baniuta matkę znalazła.

Na wieść tę ruszyło się co żyło; pobudzono uśpio-nych... dziewczęta się zbiegały; przychodzili dowiady-wać się mężczyźni...

— Jargała córkę poznała!!

Nie wierzyli niektórzy, ale Baniuta już poczęła opo-wiadać, co pamiętała z dzieciństwa... a za każdym jej wyrazem stara, w ręce plaszcząc, wykrzykiwała:

— Gołąb mój! dziecko moje!

I kolce świadczyło o niem.

Krewe, siedząc pod daszkiem, słuchał opowiadania Szwentasa. Kazał sobie kunigasowi pokazać znamię grochu na szyi; głową trząśł... nie wierzył.

Jerzy mu na krzyżackiego szpiega patrzył, a Szwen-tas na oszukanego głupca.

Po naradzie stary kazał pocichu wszystkich przy-byłych umieścić w szopie, koło dębu, dać im jeść i straż postawić. Ściągnięto i rozspanego Rymosa, który, ledwie się tu dowlókłszy, padł i zaczął drzemać znowu.

Jerzy, który mało mówić umiał, nie czuł się tu swo-bodnym; dziwił się sam, że ta Litwa, do której tęsknił, inaczej mu teraz zbliśka się wydawała, niż ją marzył zdala, gdy Rymos o niej opowiadał.

Machinalnie kilka razy się chciał przeżegnać i — strzymał... Trwoga jakaś i smutek ogarniały duszę.

Ludzie, których widział, mieli dlań coś dzikiego w sobie...

Zapadła noc. W dolinie ognie pogasły, na ołtarzu tylko pod dębem płonęło święte gnisko i trzy białe dziewice stały przy niem, podsycając je, na straży, jak trzy posągi milczenia...

W zaroślach chór słowików nucił pieśń wiosenną głosów tysiącem...

Jerzy to usypiał na swem posłaniu, to się podnosił i przysłuchiwał. Pieśni tych leśnych nigdy dotąd w życiu nie słyszał jeszcze; mówiły one doń językiem, którego nie rozumiał, a duszę jego poruszały...

Miał rozpocząć życie nowe... musiał wszystko stare przekląć i zapomnieć... Jakiś żal niewytłumaczony budził się po nieznośnej, znienawidzonej przeszłości...

Były w niej na czarnem tle całunów, jakby złote gwiazdy, jasne słowa życia... i miłości... był urok jakiś w tych postaciach mnichów, których widywał, miłosiernych czasem, pokornych... Uśmiech szpitalnika Sylwestra nad łóżem chorych, jak aureola, opromieniał starca.

Tu wszystkie lica były groźne i posepne.

Sen zbiegł mu z powiek; podniósł się; ciążyła głowa, w piersiach było duszno.

Miał odzyskać matkę... Napróżno obrazu jej szukał w pamięci, — nie znalazł go... zatarło się wszystko...

Szwentas spał w nogach jego, jak zwierz najedzony i napity; Rymos leżał trupem prawie... Wstał Jerzy... przez szpary w ścianach spostrzegł chodzącą straż. Dalej w mrokach nocy czerwony dym i żółte światło ognia rysowały konary dębu, pień jego, opony szkarłatne, ołtarz i trzy nieruchome wejdałotki.

Zkolei jedna, to druga, jak przez sen, ruchem nauczonym, wyciągała rękę ku ognisku, rzucała mu pastwę; płomień wybuchał jaśniejszy, dym dobywał się gęstszy, iskry podnosiły się, wirując w powietrzu i gasnąc, lub rozpryskując się. Jerzego ogarniała trwoga.



W szopie mu robiło się duszno; majowego poranka pierwsze brzaski srebrzyły niebo, — uchylił wrót nieco i wyszedł powoli...

Na ziemi spali ludzie pokotem; stróże popatrzyli na wychodzącego i nie rzekli mu nic. Wysunął się z szopy, począł błądzić po zagrodzie... Bramy stały zawarte, ujść nie mógł; dozwalało mu krążyć, zdala spozierając na niego... Ciekawość jakaś wiodła go dokoła. Drożyną pomiędzy drzewem i stosem Krewejtę szedł dalej, gdy z ciemności bałwan Perkunasa spojrzał na niego.

Brzask dnia oświecał zlekka bezkształtną potworę. Spróchniała miejscami, w półmroku, jakby własną jakąś światłością gorzała.

Kunigas spojrzał i oczu nie mógł oderwać. Poczwarne, nieludzkie oblicze przybierało w oczach jego wyrazy dziwne, wszystkie groźne, krwi chciwe, okrutne.

W tych wizerunkach zbolełego Boga, które widywał po kościołach, mimo cierpienia, była miłość, łaskawość, dobroć jakaś. Był to Bóg, winy przebaczący, zamęczony przez ludzi, krwią oblany własną.

Ten, który z pod pnia nań spoglądał, zdawał się cudzy, nienasycony, pożądać... nie znał miłosierdzia... Był to bóg ognia, zniszczenia, piorunów...

Kunigas, nie umiejąc wypowiedzieć, czego doznawał na widok Perkunasa, czuł tę różnicę sercem, które się ścisnęło...

Tam z kazalnicy przynajmniej płynęło słowo przebaczenia, łaski, miłości; tu... panowała zemsta. Tam kapłani niekiedy mówili, że wszyscy ludzie są, lub powinni być braćmi; tu oni byli wszyscy sobie wrogami.

Połyскуюjąca blado we mroku głowa Perkunasa, z szeroko rozdartą paszczką otwartą łaknęła ofiar... zdawała się je miażdżyć w swych szczękach i z rozkoszą karmić się niemi.

Kunigas stał, z trwogą wpatrzony w kłoc ten straszny, po którym światelka próchna biegały, tworząc poruszenia na obliczu potwory, — gdy jeden z czuwających wejdałotów przybliżył się ku niemu.

Był to młody, urodziwy Konis, znacznego rodu dziecko, któremu wrócono wprędce łaskę Krewuli, a może i stolicę Krewego... W oczach jego, rozumnych a ognistych, błyskało życie, podbudzone religijnym zapamiętem... Wiedział on już o Jerzym i jego losach, a pragnął się od niego samego dowiedzieć czegoś jeszcze.. Jak wszystkich napastowanych Litwy obrońców, i jego obchodziły wielce tajemnice tych ludzi zbrojnych, co z Zachodu z nową wiarą i orężem szli na kraj jego, zdobywać i wywracać. Jerzy chciał go zbyć ukłonem i milczeniem, oddalając się; lecz Konis go zatrzymał łagodnie.

— Żyliście pono u Niemców, z Niemcami i w ich wierze przez czas długi — rzekł do niego. — Mielicie sposobność im się przypatrzeć. Prawdaż to? silniejsi są od nas ci najeźdźcy?

Kunigas namyślał się chwilę.

— Tak, niestety, — rzekł — silni są żelazem, orężem, zbroją, bogactwem, a może i tem, że oni ani żon, ani dzieci, ani rodzin nie mają. Są to kapłani tamtego ich Boga, ale zbrojni i dla podbicia mu wszystkich ziem walczący...

Konis brwi marszczył.

— Cóż to za Bóg ten ich? — zapytał. — Mocny on jest?

Jerzy zadumał się, oczy spuścił. W sercu mu pozostało coś z nauk kapłanów... nie chciał odpowiedzieć jasno, bo trwoga jakaś zabraniała mu bluźnić przeciwko Temu, którego niedawno był wyznawcą.

— Ja niewiele wiem o nim — rzekł. — Jest to rzeczą kapłanów znać Go lepiej. Widać, że siłę ma, kiedy ją im daje. Tyle Mu już krajów zawojowali.

— Ciska i on pioruny? — pytał Konis.

— Nie, — odparł Jerzy — mówią o nim ciągle, jako o Bogu łaskawości i przebaczenia.

— A nikomu przecież nie przebaczą? — odezwał się Konis, ruszając ramionami. — Musi tam w istocie być tajemnica jakaś, o której nie wiecie.

Tu wskazał na dąb i Perkunasa...

— U nas... niema ani miłosierdzia, ani przebaczenia — począł z coraz zwiększającym się zapałem. — Nasz bóg mściwy jest, mścić się i zabijać káže... bo silny. Tej ziemi, której on i my panami, bronić będziemy z jego pomocą, do kropli krwi ostatniej, z okrucieństwem bez litości. Siedzieliśmy tu lat tysiące, naszą była... groby dziadów i ojców po niej rozsiane. Bogowie nam ją dali; kto prawo ma z gniazd nas wypłaszać?...

Śmierć wrogom!! — Podniósł rękę do góry...

Kunigas patrzył i nie odpowiadał. Zaczynało się rozwidniać, a w dalekim obozie poruszać powoli...

Konis, ochłonawszy trochę, zbliżył się, przypatrując Jerzemu, i badał dalej:

— Powiedz mi, kto ich nauczył kowania żelaza i tych wszystkich sztuk przeklętych, którymi oni nas zwyciężają? Budują, słyszę, grody z kamienia i umieją głązy zmusić, aby się zrastały z sobą? Skąd mają bogactwa?

— Patrzałem na to, co mają i co umieją, — rzekł Jerzy — ale jak do tego doszli? ja nie wiem... Jest ich narodów niezliczonych mnóstwo, wszystkie należą do jednego Boga... to ich silnymi uczyniło...

— Tak, — odparł Konis zamyślony — tak, był u nas czas, że jeden Krewe nad całym krajem Letuwy panował; potem rozmnożyli się Krewule i kunigasowie powstali, i ziemie się porozpadały w szmaty... ale terazniejszy wielki kunigas, Giedymyn, znowu weźmie wszystko w dłoń jedną.

Tu czoło mu się zachmurzyło, spojrzał na Jerzego.

— Potwarz na niego rzucają, — dodał — że z postrachu tamtemu Bogu niemieckiemu i jego najwyższemu Krewie chce się poddać... Mówią, że słał posły... że w zakład dał córkę Polakom... Córkę? może... ale on się bogów litewskich nie wyrzeczy, bo Litwa jegoby się wyrzekła... Nie! nie! Lis to jest chytry... chce zyskać czas, aby się potężniej uzbroił.

Kunigas słuchał, nie rozumiejąc. Konis, rozgrzany, mówił coraz żywiej, nie zważając, czy go słuchający pojmie...

— Prawda! ta obca wiara ciśnie się do nas zewsząd... od Krywiczán, od Rusów... Budują sobie świątynki, przywlekają się ich kapłani... lecz kryć się muszą, bo śmierćby ich spotkała... Obcym bogom my się tu osiedlić nie damy...

Zamilkł i zwrócił się znowu do Jerzego.

— Mówią, że wy jesteście synem Redy? — odezwał się... Wróćcie do Pillen, na granicę, do waszej ojcowizny? Pamiętajcież bronić jej dzielnie, a nie dać w ręce Niemców.

Spojrzał badająco...

— Na waszem miejscu — dodał — wolałbym innym powierzyć obronę grodu... Nadto długo żyliście z krzyżakami... nie będziecie mieli takiej, jak my, siły do walczenia z nimi...

— Dlaczego? — odparł Jerzy, który się poczuł znowu Litwinem. — Albo to, długo w więzach siedząc, do káta, co je włożył, nazwyczaić się można?! Nauczyłem się ich nienawidzić.

Konisowi oczy się zaśmiały.

Głos, jakim wkońcu przemówił Jerzy, odezwał się w jego sercu... zaczął mieć wiarę w przybysza.

— I nauczyć się byliście powinni tych sztuk, które oni umieją. Wiecie, skąd oni oręż biorą? jak go używają? Tem być możecie nam pomocnym.

Około dębu zaczynało się coraz bardziej ożywiać.

Od strony wschodu rumieniło się niebo... słońce za chwilę ukazać się miało. Cały chór wejdałotów, burty-ników, wurszajtów, dziewcząt od ognia, ustawiał się koło ołtarza i dębu, aby za chwilę zaśpiewać pieśń poranną, witającą słońce...

Na ołtarzu na nowo podsycony ogień wysoko piał się jasnym płomieniem i słupem dymu... Kunigas przypomniał sobie teraz Baniutę; obejrzał się tęsknie dookoła i, nie wiedząc, co się z nią stało, postanowił natiychmiast jej szukać.

Uważał ją za swą narzeczoną; kochał, jak siostrę... drżał, myśląc, czy po tej podróży strasznej nie padła, znękana chorobą.

Zobaczywszy niedaleko stojącego Rymosa, pośpieszył pytać o nią; ale młody parobczak wiedział tylko, że ją wczoraj wieczorem na rękach poniosły na spoczynek niewiasty.

Chciał już iść, gdy wśród tej ciszy uroczystej, której od wczoraj nic nie przerwało... nagle zanucili kapłani pieśń na cześć Saule-Lajmy i Saule-Perkunasa...

Pierwszy to raz, po hymnach kościelnych malborskich, po psalmach pokutnych, usłyszał Jerzy pieśń religijną pogan...

Nie śmieli jej śpiewać pełnemi głosy i piersią całą, bo lasby był zatrząsł się i odbiły echa dalekie... popłynęła, jak strumień cichy i spokojny, a smutny... Jerzy jej nie rozumiał, ale mu brzmiała czemś tajemniczem, wielkiem, dobytem z prochu wieków...

Hymny i psalmy, które on słyszał po kościołach, były dziełami natchnionych ludzi, wieszczów świętych, a ta pieśń nie miała ojca, ani matki. Ojcem jej był lud cały, matką jej były wieki. Rosła, po słowie, po wierszu przybierając od każdego pokolenia, aby przysłym być po praojcach i prawiekach spuścizną.

Kunigas nie wiedział o tem, ale coś w duszy mówiło mu, że śpiewu tego nie stworzył człowiek, tylko... lud.

W piersi jego poruszał śpiące wspomnienia krwi starej o pradziadach, od których wypłynęła.

Jerzy słów nie chwycił, a śpiew ten do słońca, zdało mu się, że rozumiał...

Z za czarnego muru lasów, z za wałów chmur sinych, w tej chwili właśnie dobyło się Lajma-Sauła i dąb święty stanął cały w złotych promieniach.

### III.

Pieśnią poranną rozlegała się dolina jeszcze, gdy na skraju jej, pod lasem, gromada niewiast ciekawych nieustannie się zwiększała około namiotu Jargały, matki Baniuty.

Wszystkie matki chciały widzieć ten cud, dziewczę wyrwane z rąk niemieckich... ocalone! wczoraj sierotę, dziś jedynaczkę bajorasowej, która ją już opłakała od lat wielu...

Opowiadano sobie teraz pocichu, jak Jargała usypiała, nic o dziecięciu nie wiedząc, i jak we śnie przyszła do niej Lajma-Pani, z obliczem słonecznem, i szepnęła do ucha: — Wstań, a idź, skończyły się łyzy twoje, szczęście twe się poczyną — oto tam, na ziemi nagej, śpi dziecko twoje, Baniuta!

I poszła stara matka, i znalazła ptaszynę swoją.

Zdało się Jargale, że tak maleńką z rąk porwali, iż jej dokołysać nie mogła: więc tejże nocy wzięła dorosłą na kolana, i objąwszy, nucąc pieśń kolebki, kołysała ją i usypiała przez noc całą...

A teraz?

Teraz jej ludziom pokazać nie chciała i nie mogła, zbiedzonej, obszarpanej, drogą zmęczonej. Zaprowadziła ją do namiotu, zasłoniła od oczu, i chciała przystroić, nimby na świat wyszła.



Położyła główkę jej na swych kolanach, rozplotła złote warkocze i, śpiewając cicho, czesać je zaczęła... a całowała i czoło, i kosy... i łzy padały ze starych oczu na młodą, uśmiechniętą twarzyczkę dziecięcia.

Dokoła namiotu cisnęły się niewiasty natarczywie.

Potrzeba jej było wszystkiego: i szytej koszulki, i fartuszek bramowanego z dzwoneczkami, i paska czerwonego, i bursztynów na szyję, i zapięcia do gźła, i wstążek do włosów, i wianuszek na czoło...

Boć ciemnego, rucianego wianka nie zgubiło dziewczę po drodze, tylko przywiadł, gdy na ziemi spała.

Więc niewiasty z sercami matek biegły, niosąc, co która miała, cisnąc się z podarkami, wołając przez namiot do Jargały:

— Naści spódniczkę dla dziecka! naści sznurek na szyję... a oto koszulka, jak śnieg biała, i pasek, jak krew czerwony...

I rzucały podarki przez otwory namiotu.

Każda coś dać chciała, a wszystkie zobaczyć dziewczynę.

Równieśnice gotowały się ją wziąć zaraz i prowadzić do ognia, do wejdałotek, aby Perkunasowi i Lajmie podziękowała...

A w głębi szarego namiotu zazdrosna matka wciąż czesała włosy, splatała kosy, śpiewając i płacząc, dzieckiem się nie chcąc z ludźmi dzielić...

Bała się, aby jej oczyma nie zjedli, nie odebrali.

Baniuta śmiała się i, rączki podnosząc do góry, starą matuchną głaskała po twarzy...

— Nie bój się, już mi cię nie odbiorą!

Niewiasty szturmowały do namiotu.

— Córkę nam dawaj! — śpiewały, śmiejąc się... — pokaż ją słońcu... pokaż światu!!

Musiała stara matka wdziać koszulę białą i spódniczkę, i sznury, i wianuszek na czoło... A co włożyła na

nią, to westchnęła... bo ot, już wyniść z nią trzeba było i podzielić się z niemi.

Ociągała się i lubowała.

Taka bo śliczna stała przed nią Baniuta!... Coś w niej się zachowało z dziecka, a wszystko wypiękniało jeszcze... Matka ręce całowała, oczy ustami zamykała... i wołała: Śliczności ty moje!!

A za namiotem siostrzyce nieznane śpiewały, wołały: Wychodź co prędzej...

I potrząsano płótnem i grożono: — Pokaż nam dziewczynę!

Stara ostatni raz pocałowała ją w czoło i ręką podniosła opłótek.

Baniuta stała zarumieniona: okrzykiem ją powitało, jak królową.

Nie było na niej znać ani znużenia, ni podróży; matki pocałunki przez noc wszystko pogoiliły... Piękna była, a taka szczęśliwa!...

Dziewczęta, podbiegłszy, chwyciły ją za ręce... Wielką gromadą wiodły przez dolinę ku dębowi. Po drodze kupy stały i witały, parobczaki ręce podnosili, starzy ustami klaskali...

Wejdaloci, wejdalotki już na nią czekali u wrót.

Stał tu i piękny Konis, przepasany białą opaską, z laską jasną w ręku, w dębowym wieńcu. Zdala się przypatrywał i gdy ją zobaczył taką przepiękną, zbladł aż i zadrżał...

Z wejdalotek, co na nią czekały, żadna się z nią mierzyć nie mogła...

Czy ją tak wykarmił niemiecki chleb, czy litewska tęsknica?! Nikt nie wiedział, że ją matki łązy i pocałunki tak obmyły i zarumieniły. Szła sobie, jak kwiatek, co dopiero otworzył się z rana i śmiał się do słońca.

Wszystkie dziewczęta cisnęły się za nią do ognia. Wejdalotki prowadziły, szli wejdaloci i kapłani, i wróż-

bity, i sam nawet stary, szpakowaty, otyły Krewule, na lasce się opierając...

Konis mu coś szeptał do ucha, stary potakiwał głową.

Dziewki od ognia oprowadziły ją dokoła ołtarza i dokoła dębu... a guślarze kropili wodą ze świętego strumienia, sypali na nią ziarnem i błogosławili.

Baniuta, jak upojona, wieść się dawała, i sadzać, i podnosić... Jargała ledwie nierychło podążyła za córką.

We wrotach Konis piękny czekał na nią i zatrzymał.

— Do córki muszę! — zawołała.

— Idźcie wprzód do starego Krewuli, bo mówić z tobą potrzebuje... a on tu pan i rozkazuje.

Jargała zmarszczyła się trochę, zamruczała i podeszła.

Na stronie stał Krewule, na lasce oparty, i czekał.

— Matko Jargało — rzekł — a oto wam bogowie po tylu latach dziecko oddali...

— Niechże im będą dzięki! — zawołała matka.

— A myślisz, stara, że oni to uczynili dla ciebie? — dodał stary.

Jargała spojrzała zdziwiona.

— Ba? dla kogóżby?

— To my wiemy, co tajemnice bogów znamy — zwolna mówił Krewule. — Po to ją tu przyprowadził los, aby ona tu została. Gdyby Lajma tobie ją dać chciała, przyprowadziłaby ci ją do chaty. Nie! do swojego ołtarza przyjść jej kazała.

Stara jęknęła, przestraszona.

Krewule laską postukiwał i brodę szarą poglądał. Oczki jego maleńkie pilnie matkę zrozpaczoną badały.

— Taka wyrocznia bogów — dodał. — Musi ona tu zostać wejdałotką u ognia naszego. Na to ją ocaliły bogi.

Jargała rzuciła się na kolana. Baniuta, która opodał nieco z dziewczętami stała, krzyknęła i głosu jej za brakło. Ręce drżące wyciągała ku matce, tylko co odzyskanej, którą wnet znowu stracić miała.

Wejdałotki milczeć jej kazały. Stary Krewule, któremu długo stać ciężko było, a nogi miał chore, poobwijane szmatami, siadł na ławce pod daszkiem. Kij przy sobie postawił, spojrział w bok, gdzie stał róg z miodem, trochę się napił i mówił poważnie bardzo:

— Płaczesz! alebyś dziękować powinna! albo to jej tu źle będzie chodzić koło ognia świętego, zawsze w świeżych rąbkach i wiankach?? A jakież ty jej los lepszy dać możesz? Zamaż wydasz? praca nieustanna, łązy i trud... a tu cisza, i spokój, i dostatek... Ludzie szanują, bogowie błogosławią. Życie sobie jak ptaszy-  
na prześpiewa...

Baniuta, słuchając, coraz bledszą była; stała się białą, jak rąbek, w który ją przybrano... a drżała, jak liść, i śliczne oczy jej okryły się powieką, która nad niemi zawisała ze łązą srebrną.

Matce tchu w piersi zabrakło, nogi zakłęśły, padła na kolana, szlochając.

Opodał trochę stał kunigas Jerzy; słuchał, a spoglądał; brew mu zadygotała, ściągnęła się, namarszczyła... czoło porysowało, — bladł i zżymał się.

Postąpił kroków parę ku Krewuli.

— Ojcze — odezwał się łamaną i trudną mową. — Coście rzekli, to się na żaden sposób stać nie może.

Krewule spojrział groźnie.

— A no, tak, nie może! — rzekł Jerzy. — Ja Baniutę wyprowadziłem, jam ją z niewoli wziął i mało nie na rękę ją tu przyniosłem. Z prawa ona mi się należy; a ona mi też, jako narzeczona, słowo dała, i ja jej. Bogowie z ludźmi się nie dzielą; ja nie odstąpię jej!!

Krewule rzucił się z siedzenia.

— Cicho, zepsuty jakiś, zniemczały chłopczel... Weselaście nie odprawiali. Perkunas prawo ma, choć prowadzoną do męża, wziąć dziewczynę... Milcz, przybłądo!... milcz... ani mi się waż!

I opadł na siedzenie. Jerzy chciał mówić coś; wrózbici go, pod ręce ujawszy, wtył popchnęli. Powieki Baniuty podniosły się; ścigała oczyma kunigasa, a choć łzy miała na nich, patrzyła mężnie.

Jerzy, próżno usiłując się wyrwać z rąk, w które opadł, przestał się szamotać.

Wystąpił młody Konis...

— Nigdy wyraźniej — rzekł — bóg swej woli nie objawił.. Jawna rzecz... ślepy dojrzy... trafiła wprost z niewoli tu, gdzie ją przeznaczenie wołało...

Tu jej przysało zostać i żyć... my oddać nie możemy, co boże... Kiedy liść na ołtarz z nieba spadnie, odgarnąć go nie wolno... a ona też tu, jak liść, przyleciała wprost...

— A jam ją pierwsza poznała i przyjęła, ja! — zawołała Jargała, jęcząc.

Spojrzała ku córce, lecz tę już na dany znak wejdałotki dziewczętom z rąk odebrały i opierającą się, przelekłą, wiodły, napół unosząc, do swej zagrody, której drzwi się zaraz za nią zamknęły.

Lekki, słaby krzyk dał się słyszeć tylko... i po nim cisza.

Krewule popił z rogu, usta otarł i zatopił się w myślach...

Konis popatrzał dokoła, poszeptał coś wurszajtom, oczyma poszukał kunigasa, którego trzymano przy ogrodzeniu, i poszedł ku niemu.

— Nie sprzeciwiajcie się woli bogów — rzekł cicho. — Żlebyście poczęli... dziewcząt znajdziecie dosyć; a kto wejdałotki dotknie, choćby stokroć kunigasek był, śmierć go czeka...

— Ależ ona wejdałotką nie jest i nie będzie, bo jest narzeczoną moją — odparł Jerzy dumnie. — Gdym ją zaswatał w lesie, prowadząc, przy świadkach, którzy tu są, całowałem ją w usta, więc pocałunkiem ślubowaliśmy sobie...

— Nie — odparł Konis stanowczo. — Wesela nie było... a ona wejdałotką zostanie.

Wyzywajacem wejrzeniem zmierzyli się, i Konis odszedł, nie chcąc przedłużać rozmowy.

Rozpłakaną Jargalę starsze baby podniosły z ziemi i poprowadziły gwałtem za zagrodę.

Tu ją usadowiły na ziemi. Stara Marga pochyliła się nad nią i do ucha szeptać zaczęła:

— Czego płaczesz? oszalałaś! A toż szczęście ją spotkało... Wielka rzecz, że męża mieć nie będzie, ale i troski też! cóż to za dola małżeństwo? Kądziel, garnki, wiadra, pranie... w polu praca, w domu łajanie... Świekra zła, mąż niewierny...

Ona tu we wszystko będzie opływać! W złoto ją oprawia!... Cichoż stara, cicho...

Inne też pocieszały i wmawiały, ale nadaremnie, — stara płakała.

Kunigas burzył się cały i odzienie targał na sobie; oczyma szukał Szwentasa... nie było go blisko... Z dawnego życia przyszedł mu rozum wyuczony... Zmiarkował, iż potrzeba było spokój udawać i gniew schować w piersi głęboko. Jak u krzyżaków kłamać się nauczył i milczeć, tak tu przybrał obojętną minę...

Na ziemi siadł, a Rymosa posłał, aby mu chleba przyniósł i miodu... Taką sobie twarz zrobił, jakby mu się już tylko jeść chciało, patrzeć, słuchać, a o niczem więcej nie myślał.

Z za zagrody, przez szparę, przypatrywał mu się Konis bacznie, długo dosyć; a przekonawszy się, że gniewy już odeszły i chłopak ostygł całkiem, zwolna przystąpił do niego.



— *Su Diawu negali bartis* — rzekł mu pocichu — (z panem Bogiem nie żartować), dobrze, że rozum macie. Nie wiem, jak tam u Niemców, ale u nas jeszcze Krewe i Krewule są bogów posłańcami i tłumaczami woli ich na ziemi. Sprzeciwiać się im nie godzi...

Jerzy spoglądał, nic już nie odpowiadając... przyniesiono mu jadło i napitek, a choć głodu nie czuł, udał, że mu do nich pilno było, aby się zbyć Konisa.

Wejdałota też, kilka słów jeszcze dorzuciwszy, zakończył: *Diaws wislab iszlaiko* (Bóg wszystko do końca prowadzi), — i poszedł.

Szukał Rymos Szwentasa, który, po długiej z krajem rozłące, teraz się ze swoimi nagadać nie mógł. Porywano go od kupy do kupy, a on im o krzyżakach dziwy prawił.

Chłopak ledwie mógł go wyszukać i do kunigasa zaprowadzić. Napity trochę był stary chłop, lecz wesół i bardzo dobrej myśli.

Udało się odprowadzić go nieco na stronę kunigasowi.

— Wiesz, co się stało? — zapytał go.

— Jakżeby nie! — rozśmiał się Szwentas — ludzie prawią... Szczęście wielkie spotkało Baniutę.

Jerzy namarszczył się.

— Co wam tęsknić za jedną dziewczyną! — przerwał, odgadując go, parobek. — Matka wam znajdzie piękniejszą... Dać pokój; z Krywulem i wejdałotami nam nie wojować, kiedy się im spodobała...

Nie można więc mówić było o tem ze Szwentasem, który się nie zdał na sprzymierzeńca. Jerzy zmienił myśli.

— Słuchajno, — rzekł cicho — widzę, że mnie tu niedowierzają i pilnują. Nie wiem nawet, czyby mnie stąd puścili, gdybym iść chciał. (W istocie nie myślał porzucić Baniuty). Spocznię tu po drodze, a ty idź

o mnie oznajmij matce. Powiedz jej: niech po mnie przysyła...

Spojrzał nań Szwentas pytająco.

— Chcecie, bym szedł sam?

— Spoczne — powtórzył kunigas. — Czekać tu będę na ludzi, co po mnie przyjdą. Idź.

Parobek się zadumał trochę, po głowie potarł, nie sprzeciwiał. Zwolna odstąpił od niego, nie mówiąc nic, i powłókł się ku obozowisku.

Jerzy do zagrody powrócił, do szopy swej nazad szedł i położył się spoczywać. Wierny Rymos u nóg się jego umieścił. Baniuty już ani widać, ani słyszać nie było...

Mieniały się dziewczęta przy ogniu... i wszystko szło dawnym trybem...

Płaczącą tymczasem Jargalę, oprócz bab, wurszajto-wie i swalgony otaczali, nasłani przez wejdałotów, czyniąc jej obietnice wielkie, a umawiając, aby przeciw woli Lajmy nie wyrzekała.

— Zobaczycie, jak wam teraz w domu szczęścić się będzie... Nie zabraknie nic, a szanować was ludzie muszą, kiedy córka zostanie u ognia. I wasze domowe ognisko lepiej teraz grzać będzie.

Stara ich nie słuchała.

— Wczorajże córki nie mieliście — mówiły baby — aniście nawykli do niej.

— A! wołałyby jej nie widzieć oczy moje i serce się nie cieszyć nią, niż stracić ją tak prędko! Jak sen było szczęście moje! — płakała stara.

I dzień tak zszedł do wieczora, słońce zapadło, dolina usnęła.

Rymos wymknął się z szopy, za rozkazem pana, szukać Szwentasa; lecz znaleźć go już nie mógł. Znikł stary.

Nazajutrz kunigas chodził i czatował, czy Baniuty nie postrzeże, czy choć głosu jej nie posłyszy... Znikła,

jak w ziemię wpadła, nie było jej. Mielizby ją stąd tajemnie gdzie indziej uprowadzić?

Nie; jeden był ogień święty i dąb a Romowe.

W duszy Jerzego co się działo, jak cierpiał, jak się zżymał, iż posłuchał rady Szwentasa i naprzód tu przybył, nie wiedział nikt; bo chodził, twarzą kłamiąc, i z Konisem mówił spokojnie, a gniewu i tęsknoty nie okazywał.

Liczył już tylko dni, kiedy się mógł zpowrotem spodziewać Szwentasa. Lecz i to obrachować było trudno. Odległości dobrze nie znał, droga była nie jedna, człek znużony... przeszkód wiele.

Gdy w borze zatętniło, a nowi ludzie przyjeżdżali na Romowe, serce mu biło, spoglądał, wywiadywał się, nuż od matki posłowie?

Ale oczekiwanych nie było.

Wyszedłszy za zagrodę, siadał pod nią, patrzył w dolinę i dumał. Tęsknota go zjadała. A i życie tutejsze, i strawa, i wszystko, co widział, nie w smak mu było, a krzywe...

Na zamku żywot był łatwiejszy, chleb smaczniejszy, obyczaj mniej dziki... Tu zato swobodę miał i u swoich się czuł.

Lecz swoi byli, a czasem, jakby obcy mu, wstrętliwi. Gdy o bogach, gusłach, sprawach swych opowiadali, rozumieć ich nie mógł, niekiedy się brzydził. Chciał bardzo miłować, a serce stygło.

Cieężko mu było: z tem, co porzucił, nie rozstał się całkiem; to, co miał, odpychało go.

Lud z pałkami i pociskami, bez zbroi, bez odzieży, półnagi, skórąmi okryty, niekiedy mu zwierzęcem się wydawał. Krzyżacy w lśniących zbrojach i łańcuchach piękniejsi byli.

Lecz całej Litwy jednym tłumem w dolinie mierzyć nie było można. Na dworze Giedymina musiało być inaczej.

Upłynęło już siedm dni od wyjścia Szwentasa, a od Pillen wieści nie było...

Zabito go może w drodze? zwierz dziki rozszarpał? utonął gdzie na rzece?

Ósmego dnia z południa zatętniało w borze wrzawą wielką. Nie wiedzieć dlaczego, kunigas się zerwał na nogi; pewnym był, że po niego jadą.

Wyrwał się naprzód kroków kilkanaście, patrzył, a pierś mu się podnosiła żywiej.

Z lasu wyjeżdżali ludzie na małych konikach, zbrojni, a było ich soroka z półtora...

Przodem przed nim, na koniu też, w świecącym hełmie, ktoś jechał z mieczem u boku...

W gromadzie, zdało się kunigasowi, że poznał Szwentasa, który, przygarbiony, jak wiązka siana, trzymał się na grzbiecie konia. Nie był pewnym.

Tymczasem przybyły lud począł zsiadać z koni i w dolinie się rozkładać. Dowódca w hełmie stał jeszcze chwilę, rozglądał się, jakby na coś oczekiwał... potem i on konia oddał, i z tym, którego zdala Jerzy wziął za Szwentasa, począł zwolna zbliżać się ku dębu zagrodzie.

Młodemu serce biło okrutnie... byli to swoi — byli to jego ludzie. Ten dowódca wkrótce mu się miał jak panu pokłonić i paść przed nim twarzą.

Szwentasa już teraz poznał na pewno. On to był i zdala ręką na kunigasa wskazywał.

Jerzy stał wyprostowany, dumny, wpatrując się w przybliżających. Mógł już rozeznaczyć twarz tego, który w hełmie lśniącym szedł przeciwko niemu. Oblicze było dziwne, bezbrode, nagie, surowe, smutne, dumne, z pałającymi oczyma. Jakieś uczucie poruszało niem i malowało się wyrazem oczekiwania, dzikiej trwogi. Szedł, stawał, patrzył na Jerzego, zmarszczywszy brwi, mierzył go oczyma.

Zwolnił kroku; ręka jedna dotknęła piersi, jakby chciał oddech tamować.

Twarz to była nie męska, ale i nie niewieścia, mająca w sobie zarazem rycerskiego coś, ale przybranego, a namiętnego i rozrzewnionego. Hamował uczucie, co go wiele kosztować musiało; ścinał usta, brwi ścigał, krok mierzył, jakby się obawiał za prędko dojść, gdzie go serce wiodło.

Jerzy, wpatrując się w przybliżającego, nagle odgadł w tym rycerzu przebrany — matkę.

Myśl ta przeszła mu po głowie, jak błyskawica, i sam się jej zawstydził.

Nadchodzący, postawszy chwilę, zasromić się musiał wahania swego; pośpiesznym krokiem zbliżył się do Jerzego milczący, wlepił oczy w niego, krzyknął i objął go rękoma.

Reda, po wielkiem podobieństwie do męża, poznała syna.

Wśród tego uścisku, jakby chciała upewnić się jeszcze, że jej nie myli jakaś ułuda, odsłoniła mu szyję, rozdzierając prawie kołnierz sukni, i ujrzała znak — grochowe ziarno.

— Margier! — zawołała, ściskając go w objęciu.

Jerzy nie pamiętał już uścisków matki... namiętne te pieścizoty napełniły go niewysłowionem uczuciem.

Ludzie zaczęli się na widok tego spotkania skupiać około nich... zdala wychodzili wejdaloci, po całej dolinie szmer szedł głuchy.

Reda wkońcu zlekka odtrąciła od siebie Jerzego i przypatrywać mu się zaczęła znowu... z radością i wzruszeniem niezrozumiałem, jakby zarazem wstręt czuła ku niemu. Jerzy, chociaż teraz przebrany w suknie litewskie, miał w sobie coś, co tu nie swojskiem było. Ruchy inne, postawę wyuczoną, wyrobioną, nie taką, jaką daje swobodnie puszczona natura. Raziło w nim przestrojone dziecko krzyżackie.

Na pierwsze matki pytanie odpowiedź zabrzmiała w jej uchu dźwiękiem znienawidzonej niemieckiej mowy. Dziecko jej nie umiało własnego języka! Brwi znowu ściągnęły się dziko i ręka jakby do odepchnięcia nagotowała... Ledwie się to stało... wnet macierzyńska miłość pociągnęła ją ku niemu; objęła go za szyję i całować zaczęła.

Chwilę trwało to dziwne oglądanie znalezionej dziecięcia. Nie ulegało wątpliwości, że on to był, lecz nie takim go sobie wyobrażała Reda...

Zwróciła się do swoich ludzi, wydając rozkazy i, otrząsnawszy się z wrażenia, poprawiwszy hełmu, z dumą nową poczęła iść ku stojącym wejdałotom.

Nietylko Konis i kilku ich, ale stary Krewule, na ręku chłopaka sparty, wyszedł był naprzeciw sławnej kunigasowej, córce Walgutisa.

Znano ją i cała Litwa ją szanowała, bo żaden mąż naówczas odwagą, rozumem, czujnością i nienawiścią względem Niemców jej nie dorównywał.

Pilleny, dawna stolica rodziny ich, leżały nad granicą samą; kusili się o zdobycie jej nieustannie krzyżacy; ona jedna umiała i mogła tam się utrzymać. Z jej rozkazu tak potężnie wzmocniony był gród; ona jedna umiała, dzień i noc tu stojąc na straży, nie dać się ubiec, zaskoczyć i zatrwożyć siłą przeważną.

Cała naówczas Litwa już była zjednoczoną w jednych ręku i pod władzą jednego pana; Reda tylko nie poddawała się i trzymała na swej dzielnicy, nie chcąc słuchać nikogo, a przebaczano jej to dlatego, że w obronie granicy nikt zastąpić jej nie mógł.

Daleko w kraju znano ją, jako nieubłaganą, surową, zuchwałą, i obawiali się jej wszyscy. Niemcy, którzy dziecię porwali, sposobili się z jego pomocą może opanować Pilleny, syna jej wzamian oddając; rachuba ta ucieczką Jerzego zawiedziona została. Reda triumfowała.



Wejdaloci i Krewowie tę mężną niewiastę, obraniającą ziemię swą od Niemców, mieli w poszanowaniu większem może, niż drudzy. Była też dla nich hojną a łaskawą, bo obcej wiary nienawidziła.

Przybycie jej tu szczególnie Konisa wprowadziło w pewną trwogę. Nie obliczył on, napastliwie odbierając narzeczoną kunigasowi, że jego matka się o nią upomnieć może...

Dlaczego to zrobił? teraz sam nie wiedział dobrze. Śliczne dziewczę uczyniło na nim wrażenie namiętne; zachciał ją mieć w orszaku wejdałotek, aby patrzeć na nią, i aby nikt drugi jej nie miał... Później, gdy nierozważny krok pośpiesznie wykonał z pomocą powolnego Krewuli, sam zważył, że postąpił lekkomyślnie; lecz cofać mu się wstyd było... Dziewczę tak było piękne, historia jego tak cudowna!... Sama wieść o niej mogła do ołtarza ściągać tłumy.

Lecz teraz przybycie Redy, której syn się mógł skarżyć, nowe obiecywało trudności.

Krewule stary łatwo równie Konisowi, jak wszelkiej innej przewadze woli ulegał.

Konis był w duchu strwożony, lecz gdy trwoga ogarnia człowieka, jak on, piastującego dostojęństwo, które słabości nie znosi, rodzi się z niej zuchwalstwo tem większe, rozpaczliwe. Nie szło już o Baniutę, lecz o to, by wejdałota przy pomocy kunigasów ulec nie był zmuszony.

Witano kunigasową Redę... z względnością wielką, a stary Krewule wprost, poprzedzając ją, poprowadził do ognia świętego. Tu zwyczajem było, że książęce niewiasty, z rąk wejdałotek wzięwszy przygotowane drzewo, same miały prawo dorzucać je do ogniska. Przywilej to był wielki a łaska, która szczęście i błogosławieństwo przynosić miała. W takich razach kunigasowe zwykle do suchych szczapek, które im podawano,

dokładały jakąś ofiarę dla ognia: kosztowną bryłę bursztynu, srebro lub złoto.

Stopiony kruszec, z popiołów dobyty, szedł do skarbcza Perkunasowego.

Za Redą, która szła dumna i zamyślona wślad Krewuli, stąpał z głową spuszczoną Jerzy. Kunigasowa, zbliżając się do ołtarza, z torebki, wiszącej u pasa, dobyła garść srebrnych pieniążków... i gdy starsza wejdałotka podała jej drzazgi, które na ognisko rzucone być miały, cisnęła z niemi razem, z brzękiem na rozpalone kamienie padające, pieniądze.

Oko Redy, która już od Szwentasa w drodze o Baniucie słyszała, ciekawie szukało między wejdałotkami, których gromadka stała we wrotach osobnej zagrody, tej, o której parobek jej opowiadał. Domyślała się nieznaney dziewczyny w różnych, lecz Baniuty tu nie było. Jerzy także szukał jej oczyma napróżno.

Szwentas mówił Redzie z wielkim zapałem o ślicznej dziewczeczce, o męstwie, jakiego dowody dała w podróży, o niezmiernym żalu Jerzego po tej, którą kochał i za narzeczoną uważał. Kunigasowej jednak cała ta powieść nie podobala się. Serce matek zazdrosne jest o synów: ta miłość Jerzego dla obcej, pobyt w krzyżackiej niewoli już wstrętliwej dziewczyny niemiłą jej była.

Dla syna chciała równej mu rodem... a ta była prostego bajorasa dziecięciem ubogiem.

Niele dwie się więc cieszyła z tego, że wejdałoci ją, jak należy sobie łup, zabrali.

Przywiązanie chłopca do Baniuty w jej oczach było prostą krewkością dziecięcą, której pobłażać nie myślała.

Wystawiała sobie dziewczynę z tego, co jej Szwentas powiadał o pobycie we dworze Gmundy, jako załotnicę zepsutą. Takiej żony nie życzyła dla syna.

Po obejściu trzykrotnem ogniska Reda skłoniła się

Krewuli, dała jeszcze garść pieniążków dla wejdałotów i, oczyma syna ciągnąc za sobą, wyszła, przeprowadzona do wrót zagrody, w dolinę.

Tu już dla nich namiot był szary rozbity i ognisko rozłożone, przy którym pieczono mięsiwo na wieczerzę. Jerzy siedł obok matki. Spoglądał na nią ciekawie i trwożnie, uczuwszy w tej niewieście siłę i wolę większą, niż miał w sobie.

Ona patrzała nań i upatrywała, co krzyżackie wychowanie na nim wycisnęło. Piękny był w jej oczach, biło ku niemu serce matki; a coś jakby nieprzyjacielskiego w nim czuła.

Około rozbitego namiociku, w którym dwa siedzenia usłano naprędce, stali w pewnem oddaleniu ludzie Redy... dobrze zbrojni, silni, zdrowi, lecz dzikich ruchów i twarzy. Zdała uśmiechali się swojemu panu, szepcząc i wskazując nań palcami.

Reda, nim rozpoczęła z synem rozmowę, długo się w niego wpatrywała, i raz jeszcze, rozchyliwszy suknię, zajrzała do znamienia na szyi.

Chłopiec, czując, że mogła mieć wątpliwość, począł nieśmiało opowiadać jej, co sobie mgliście przypominał z przeszłości; wszystko to potwierdzało jego pochodzenie i kilka razy Reda uściskiem mowę mu przerwała.

Ta mowa połamana, obco dźwięcząca, raziła ją, choć z ust dziecka. Niemiec mówił przez niego i uczucie miłości coraz to się warzyło nienawiścią wroga. Nie mogła im przebaczyć tego, że jej dziecko przetworzyli tak ohydnie...

Jerzemu często brakło wyrazu... wahał się... Reda naówczas, cała zarumieniona, rzucała mu je szybko, z gniewem i niecierpliwością. To go onieśmiewało.

Radość z odzyskania syna zatrutą była w sercu matki.

Nierychło Margier, gdyż tego dawnego imienia kazała mu używać, ośmielił się mówić o swej ucieczce i wspomnieć o dziewczynie.

Reda na pierwszą o niej wzmiankę głową poruszyła i usta jej wzgardliwie się uśmiechnęły.

— Dobrze, że ją sobie wejdałoci zabrali — rzekła. — To nie była dla ciebie żona, a nałożnicy ja nie chcę. Lat tyle trzymali ją Niemcy, i ty potem chciałbyś mi z niej robić synową? Nie — nie!...

Margier spoglądał błagająco. Począł słać dziewczę z jej wdzięku, śmiałości, z serca dobrego, jak umiał; lecz im mocniej ją wychwalał, tem Reda się oburzała więcej.

Nareszcie zamknęła mu zakazem usta...

— Tyle dni w drodze żyliście razem — rzekła — ta dziewczyna musiała się bezwstydnie o ludzi ocierać tak wielu; to nie żona dla kunigasa, syna Redy... Ciesz się, że ją wzięli do ognia, przynajmniej nie przepadnie; ja jej znać nie chcę.

Wyrok ten, wypowiedziany surowo i stanowczo, oburzył Jerzego, który nadzieję całą na matce pokładał; zamilkł nagle, ale spojrzenie nań Redy przekonało ją, że nie uległ jej.

— Zapomni — rzekła w sobie.

Nie chcąc dopuścić dłuższej o tem rozmowy, Reda natychmiast poczęła z zapalem mówić synowi o swoich Pillenach.

— Nam nie myśleć o godach! — zawołała — o swadźbie i weselu... nie na zabawę ty wracasz do Walgutisowego grodu... My się tam bić i czuwać musimy dniem i nocą. Nie zamek to krzyżacki, ale czata na granicy, w której spać nigdy nie można, ani się rozdziać ze zbroi. Krzyżacy oddawna czyhają na nas, a ją, biedna kobieta, muszę tam zastępować ojca twojego. Teraz kolej na ciebie, a na mnie wrócić do ką-

dzieli, choć ja jej już w rękę utrzymać nie potrafię. Nie pora ci żonę brać, Margier.

Znasz krzyżaków i Niemców, ich chody i sztuki; będziesz nas uczył. Poto cię bogowie nasi nam oddali, na to cię oni w niewoli trzymali, abyś z niej wyniósł, co nam wiedzieć trzeba, a co nam było tajno. Oni się tam przed tobą z niczem nie kryli...

Margier milczał, siedząc zadumany.

Tak wieczór zszedł na rozmowie, która się nie wiodła. Reda nawet niewiele mu dawała mówić, tak ją raził głos i wymowa obca; on sam też, wstydząc się, jąkał i urywał.

Nazajutrz rano zapowiedziała kunigasowa powrót do Pillen z rana.

Łoże dla niej z liści usłane było pod namiotem, Margierowi ludzie przygotowali drugie, szałas skleciwszy obok z gałęzi. Wróciwszy tu, chłopiec siadł zamyślonny; sen go nie brał. Matka straszna, groźna, choć kochająca, której rozkazów słuchać był zmuszony, stała mu na myśli wraz z Baniutą, której ostatni krzyk w uszach miał jeszcze.

Kazano mu się jej wyrzeknąć?... miałże być posłusznym?

Nieświadomy, co go czekało w Pillenach, nie wiedział, jak radzić sobie. Baniuty chciał koniecznie, choćby matka jej broniła mu. Był przecież mężczyzną, powinien był mieć swą wolę.

Tęsknica straszna po utraconej dziewczynie, z którą odbyta droga tak ich zbliżyła ku sobie, nie dawała mu ani pomyśleć o spoczynku.

Wyjrzał ze swego szałas: ludzie spali pokotem dookoła, ognie pogasły. Noc była ciemna, choć gwiazdziła. Księżyc wschodził późno.

Margier wyszedł z pod budy i siadł odetchnąć chłodniejszym powietrzem, bo się dusił w zamkniętej szatrze. Cisza wielka leżała na dolinie i niestrudzone sło-

wiki tylko w lesie śpiewały. Poza dębem ognisko święte, jakoś przygasłe, uśpione także, maleńką, czerwona-wą łuną się zdradzało... Tam gdzieś musiała być Baniuta, strzeżona przez wejdałotki.

Ona tam tęskniła za nim, jak on za nią; może spodziewała się, że ją wyzwoli.

Litwinowi żadnemu zuchwała myślby była nie przyszła odbierać tę ofiarę od ołtarza. Mężczyznom na stają do zagrody dziewcząt, stróżek ognia, zbliżać się nawet nie było wolno. Perkunas karał śmiercią zuchwałych.

Lecz dla wychowańca krzyżaków czemże był ten drewniany kloc i te barbarzyńskie świętości??

Każda namiętność oslepia; rozgorączkowany nią, Margier poruszył się pocichu z siedzenia, wstał, przesunął się ostrożnie pomiędzy śpiącymi i bez myśli jeszcze jasnej, naoślepi, począł iść ku zagrodom.

Baniuta musiała tam być zamknięta! To jedno powtarzał sobie. Tam ona jest.

W lewo zaroślami się przedzierając, Margier powoli zbliżył się ku strumieniowi, który łatwo mu było przeskoczyć, potem ku zagrodzie.

Zdawało mu się łatwem też zbliżyć pod tyny, które opasywały schronienie stróżek, podsłuchać... Sam nie wiedział, poco szedł i dlaczego??

Dokoła spało wszystko.

Parkany, które otaczały podwórko, gładkie, wysokie, nie były do przebycia. Margier gotów się był ważyć na nie bez rozmysłu, choć nic mu nie zaręczało, że tam znajdzie tę, której szukał.

Obchodził je dokoła. Wewnątrz, gdy przyłożył ucho, słychać było tylko jakby oddech sennych piersi. Uparta tęsknica powtarzała mu: tam jest Baniuta!!

Raz i drugi obszedł zagrodę, rękoma drapiąc tyn, jakby go chciał poszarpać. Wtem, obejrzawszy się za



siebie, o kroków kilka ujrzał postać jakąś poruszającą się, jakby cieniem jego była.

W gniewie, który w nim bezsilność nieciła, pierwszą myślą jego było: rzucić się na tego prześladowcę. Przypadłszy już ku niemu, za ramię go pochwyciwszy, poznał Rymosa.

Chłopak, ulękłszy się o pana, którego wycieczkę dostrzegł, poszedł za nim w ślady.

Nie był to więc nieprzyjaciół, lecz posiłek może.

Myśli błyskawicami biegały po głowie Margiera...

Pchnął Rymosa ku tynowi i wskoczył na jego ramiona. Z tej wyżyny mógł przez okap na tynie wewnątrz podwórka rzucić okiem.

W szopkach, otwartych dokoła, na sianie i posłaniach ze skór leżały wejdałotki.

Trzy z nich siedziały, czuwając, aby te, co były przy ogniu, wyręczyć. Szeptaly z sobą pocichu, ziewając znudzone...

Pod jedną z szop, oczyma rzucając po zakątkach, Margier teraz dopiero dojrzał na posłaniu siedzące dziewczę, które jedno nie spało z dobrej woli.

Bicie serca dało mu poznać Baniutę. Z wlepionemi w nią oczyma stał na barkach Rymosa, dysząc niespokojnie, niepewny, jakie popełni szaleństwo, gdy trzy siedzące stróżki wstały, otwały wrota i poszły te, które ogień żywiły, wymienić.

Jedna chwileczka zostawała Margierowi do odezwania się i oznajmienia Baniucie, nimby wymienione powróciły dziewczęta. Reszta pozostałych spała.

Syknał, szepcąc jej imię.

Baniuta szybko zerwała się na nogi; spojrzała w górę; domyśliła się raczej, niż poznała narzeczonego, i głowę a dłonie ku niemu podniosła.

— Baniuta! — zawołał szybko — nie bój się! żyć nie będę, jeśli cię nie uwolnię; ale do ognia się nie daj pędzić, bo gdy raz rzucisz łuczyno...

Nie miał czasu dokończyć... trzy stare dziewczki, zmęczone dozorem przy ołtarzu, weszły, ziewając i podśpiewując. Można się domyślać było, że z ofiarnych beczulek napiły się trochę dla pokrzepienia.

Jedna z nich zobaczyła stojącą Baniutę, ale nie dostrzegła już Margiera.

— E! ty, szalona kozo! — zawołała na nią — na siano! spać! czego ty się snujesz, jak zmora, po nocy? Zdaje ci się może, iż za tyn wyskoczysz do kochanka!! Rozśmiała się.

— Perkunasowa ty już! ani cię żaden tknąć śmie... darmo sobie nie psuj serca, a o kunigasie tobie nie myśleć... Bóg przecie lepszy od niego. Spać, dzieciaku.

Baniuta wylękała skryła się pod szopkę, położyła na sianie, twarz zakryła fartuchem i płakała; ale w serce trochę wstąpiło nadziei, bo on ją obiecał wolną uczynić.

#### IV.

W izbie o granitowym słupie na malborskim zamku, o szarej godzinie licznie zebrana była starszyzna zakonna i goście.

Z wyboru przytomnych tu widać było, że nie dla rozrywki przyszli, ale dla narady.

Przedniejsi goście z Niemiec, Anglii i Francji siedzieli na ławach przy ścianach, więcej się przysłuchując, niż udział biorąc w radzie wojennej.

Wielki mistrz stał, pilnie nastawiając ucha, niekiedy głowy poruszeniem potakując, czasem wtrącając słowo; lecz nie on tu teraz, ale marszałek, dowodzący siłami zbrojnymi, przodował obradom...

— Wojna, którą 'my' tu prowadzimy z pogany — mówił, zwrócony do hrabiego z Namur — wcale nie jest podobną do tych, jakie wy tam na Zachodzie odbywacie, ani do tych, które Zakon nasz niegdyś wiódł z Sa-

racenami na Wschodzie. Ja nawet nie wiem, czy to wojną nazwać można. Ciżba ta, z którą się ucieramy, przeciwko nam rzadko się utrzymać może, i wie o tem dobrze. Jeśli ich dziesięciu nie staje na naszego jednego, uchodzą... Walka to osobliwa, cała na ubieżeniu i podejściu nieprzyjaciela. Czekamy, aż uśnie; patrzymy, gdzie się nas nie spodziewa. Jak nawałnica i piorun spadamy na kraj, palimy wioski, zabieramy bydło, wybijamy ludzi, niszczymy ogniem i mieczem, i uchodzimy wprzód, nim się do pogoni zbiorą.

Często nachodzą nas w powrocie, obciążonych łupami, gdzieś wśród trzęsawisk i bagien, — tam się dopiero mrowiu temu opędzać potrzeba.

Na małą kupkę napadłszy, my ich, jak komary, bijemy; lecz gdy siłą nas przemogą, okrucieństwa popełniają niesłychane. Nikt z życiem nie ocaleje.

— Czasem — dodał stary Siegfried — im się uda tak samo wtargnąć na naszą ziemię, plondrują też bez litości.

— Cały więc rozum — mówił dalej marszałek — wnijsć, gdy się nie spodziewają, zaskoczyć tam, gdzie niema obrony.

— Polowanie — odezwał się Brandenburczyk.

Uśmiechali się niektórzy.

— Teraźniejsza wyprawa — przerwał wielki mistrz — innego jest trochę rodzaju.

Musimy złamać w jednym miejscu opór, jaki nam stawia na granicy. Jest tam, jak na takich dzikich pogan, całe mocno zbudowane zamczysko. Zburzyć je trzeba koniecznie.

— Tak — dodał marszałek — musimy je mieć i zniszczyć... Inaczej w głąb kraju dalej puścić się nie sposób, ztyłu ich za sobą mając; bo tam w tej dziurze zawsze ludzi dość, czuwanie wielkie i zajadła dzicz!!

— Dotąd — rzekł jeden z komturów przytom-

nych — szczególnie Pillen tych dobyć było trudno, bo ich rzeka broni prawie z trzech stron. Ani przystąpić.

— Na to właśnie znalazł się sposób, — z uśmiechem dodał marszałek — sądzę, że skutecznym będzie.

— Jaki? — zapytał książę brunświcki.

— Kazaliśmy umyślnie zbudować statek ogromny — mówił komtur, uśmiechając się z pewną dumą. — Myle się; można go nazwać twierdzą chyba. Spuścimy go rzeką pod sam gród i z niego szturmować będziemy. Ludzi się na nim dużo pomieści; mocno zbudowany; możemy na nim stać, jak na ładzie bezpieczni.

Hrabia z Namur uśmiechał się.

— Pomysł bardzo dobry, jeśli wody tak wielki gmach uniosą.

— Rzeka głęboka, a nasi ludzie mielizny znają! — odparł marszałek. — Wszystko obrachowane. Tym razem zamek ów mieć będziemy.

— Daj Boże! — westchnął mistrz. — Wielkiby to był krok do dalszego zawojowywania. Pilleny nas, jak skała rzekę, wstrzymują.

— I wszystko się dziwnie składa — przemówił Siegfried — żeby z nich dla nas zrobić najniebezpieczniejsze gniazdo.

Zwrócił się ku milczącemu i we mroku stojącemu Bernardowi.

— Wszak-ci to waszego zbiegłego wychowanek ojczyzna te Pilleny? — rzekł — któż wie? może się udało mu dostać do nich!

— Wątpię — rzekł Bernard — tylko młodość taka szalona mogła się na podobną ważyć wycieczkę. Gdzieś ich albo głód, zmorzył, lub zwierz rozszarpał dziki.

— Miał z sobą wasz wychowanek — dodał z przyciskiem komtur z Balgi — starszego pono człowieka, doświadczonego.

— Bydlę, półwarjata! — zawołał Bernard ze wzruszeniem i westchnął.

Westchnienie to któryś z nieprzyjaciół jego podchwycił.

— Wybyście pono nieledwie życzyli ocalenia temu zdrajcy; bo mówią, żeście się do dzieła rąk waszych przywiązali.

Zaczepony Bernard z twarzą surową obrócił się ku mówiącemu.

— Ani się tego myślę wypierać — odparł. — Może popełniłem błąd, ale w dobrej wierze. Dziecko było, na którym godziło się pokładać nadzieję. I gdyby nie wpływ jakiś tajemniczy, który może wychowance siostry Siegfrieda przypisać trzeba, z tego chłopaka mógł być dla Zakonu pożyteczny sprzymierzeniec.

— O! — rozśmiał się Siegfried — jużście się z tego nawracania pogan i przerabiania ich na chrześcijan powinni byli uleczyć, bracie Bernardzie. Bić ich i rzezać! niema innej rady.

— Krew ta i w dziesiątem pokoleniu się odezwie — potwierdził inny.

— Jeżeli się tam do tych Pillen, do matki dostał — mruknął marszałek — choć to nie wielka siła, zawsze on nas zna lepiej od innych, zła rzecz.

— Sądzę, że przeciwnie — odpowiedział Bernard. — Zna nas i siłę naszą, to znaczy, że im głupią i nadaremną obronę z głowy wybije. Tego jestem prawie pewien. Upór pogan, zuchwalstwo ich polegają na tem, że właśnie sił, z którymi walczą, nie znają.

— Umiecie się bronić! — wtrącił, śmiejąc się, komtur. — Ja ich dobrze znam, ale na tę zaciętość rozpaczliwą nie pomoże nic; będą się tak bronili, jak dawniej, choćby do nogi ich wybito. To rozpacz...

Szept na chwilę zastąpił rozmowę, która się podzieliła na kilka gałęzi. Obcy rozprawiali z sobą, komtu-

rowie mówili o Pillenach; wielki mistrz zapytał o statek.

— Statek nasz tak, jak skończony — odpowiedział komtur, który nadzór miał nad nim. — Dno tylko jeszcze smołą wylać trzeba i wnieść nań co dla ludzi konieczne; bo żywności z okolicy trudno dostać będzie, a obleżenie nasze może potrwać.

— Sądziecie? — rzekł marszałek — mnie się zdaje, że ich na widok tej maszyny przestraszą ogarnie?

— Jeśli się nie mylę — przerwał komtur — nie będzie ona dla nich niespodzianką. Chociaż budowaliśmy w ustronnej przystani, mają szpiegów, którzy im o niej donieść musieli, a łatwo domyślą się, na co ma służyć.

Zamilczano znowu.

— Razem ze statkiem — odezwał się wielki mistrz — wypadnie i od lądu oblegać, przewioźlszy ludzi. Osaczyć musimy dokoła. Zresztą, choćby z największą ofiarą, Pilleny mieć musimy.

— Bezwątpienia — pośpieszył potwierdzić marszałek — dopóki one stoją, ani kroku dalej postąpić nie możemy.

— Oni to wiedzą pewnie — rzekł Siegfried — i rozpaczliwej też obrony spodziewać się tu musimy.

— Natośmy przygotowani — dodał głos z ciemnego kąta.

Kończyli tę rozmowę, gdy przez drzwi od wielkiej sali wszedł cały we zbroi, tak, jak z konia zsiadł, opylony, zmęczony, w płaszczu pomiętym, krzyżak.

Jeden z komturów poznał go i, na widok niespodzianie nadchodzącego, żywo się poruszył, zbliżając ku niemu niespokojny.

Przybyły, Hans von Hechten, miał twarz pofałdowaną gniewem, który ledwie w sobie hamował. Widok zgromadzonych, gdy się ich tu może tylu nie spodziewał i przed nimi z tem, co niósł, spowiadać się nie życzył, zmieszał go. Obcych było wielu. Powiódł oczyma,



rad się był cofnąć, ale już za późno było, — wszyscy mieli zwrócone nań oczy; wielki mistrz, odgadując, iż z pilną sprawą jego zapewne szukał i znaleźć się tu spodziewał, zwrócił się ku niemu i spytał otwarcie:

— Z czem przybyliście?

— Dlaczegoście porzucili wasze stanowisko? — dodał komtur. — Powierzyłem wam dozór; komużeście zdali...

Nie dokończył, gdy Hans, spojrzawszy nań z pod brwi nachmurzonych, ręką zamachnął rozpaczliwie.

— Cóż się stało? co się stało? — poczęli wszyscy pytać, cisnąc się ku niemu.

Hans zmilczał trochę.

Komtur niecierpliwy naglił go oczyma i mruczeniem.

— Nie miałem tam dłużej poco stać; — odezwał się Hans — statek, który tyle pracy, czasu i pieniędzy kosztował.

Komtur i inni przerwali mu okrzykiem.

— Statku już niema! — dokończył Hans, z wyrazem złości pięść podnosząc do góry. — Tak, niema go.

Wielki mistrz, widząc, że zewsząd zarzucają przybyłego pytaniami, na które odpowiadać nie mógł razem, zawołał nakazująco:

— Mówcie, jak się stało i co? całą sprawę, nie zatajając nic. Trzeba, byśmy wiedzieli, kto winien...

Hans ocierał pot z czoła.

— Nie winien nikt — odezwał się tym samym tonem, w którym czuć było wzburzenie — ani ja, ni ci, co ze mną byli. Gotówem poddać się sądowi i karze. Statek był skończony, ładowaliśmy go, wyciągnięto z przystani na samo koryto, płynął dobrze i byłby się dostał pod Pilleny; aleśmy otrzymali rozkaz zabrać żywność, — potrzeba na nią czekać było.

Tymczasem zbójcy ci dowiedzieli się o nim, przewidzieli, co im grozi. Staliśmy nocą w pośrodku rzeki,

gdy potajemnie łodzi kilka do statku przybiło. Nikt się nie mógł ani spodziewać, ani przewidzieć, żeby nas napaść śmieli!

Na zapytanie straży młody chłopak z łodzi odpowiedział po niemiecku. Poznałem go potem: był to zdrajca ten, młody Jerzy, któregoście wy (obrócił się do Bernarda) wychowali. W mgnieniu oka, nimeśmy się opatrzyć mogli, ukryty ogień, który z sobą przywieźli, rzucili nam do wnętrza, gdzie pakuły i smoła, któremi zatykano szpary, leżały. Pożar się zajął we mgnieniu oka. Ruszyliśmy się wszyscy, ilu nas było, na obronę statku, ale przyszło nam samym życia bronić. Na łodziach i wpław kilkuset Litwinów nas oblegało.

Statek płonął; o ocalenie go już nie było starania; chcieliśmy sami wyjść z płomieni.

Krzyżak westchnął ciężko.

— Z ognia potrzeba było rzucić się w wodę, a tu czatowała dzicz z pałkami i nożami. Uratowało się nas niewielu, statek spłonął do szczętu.

Wszyscy milczeli pod wrażeniem nowiny, która nadzieje wyprawy niszczyła.

Bernard stał z rękoma na piersiach założonemi, z głową spuszczoną, jak winowajca.

— Cała ta napaść — dodał Hans — nigdyby ani na myśl nie przyszła Litwie, gdyby nie ten zbieg zdrajca. I gdyby w pierwszej chwili nie odpowiedź jego niemiecka, mielibyśmy się byli na baczości, ogniaby rzucić do środka nie mogli. Nietylko ów wychowanek brata Bernarda, ale dwóch jeszcze odpowiadało, takich, jak on, zdrajców: *Gut Freind!* Zuchwalstwo to, którego przykładu nie było!

Spoglądano na przybitego tem oskarżeniem Bernarda, — on milczał. Cudzoziemcy, niedobrze rozumiejący opowiadanie, tłumaczyć je sobie kazali; rozmawiano wrzawliwie. Słyszeć się dały odgróźki i przekleń-

stwa. Wielki mistrz z krwią chłodną zdawał się obliczać, co mu teraz czynić wypadało. On jeden najmniej jakoś brał do serca straty i zawód.

— Kłeska to jest — odezwał się wreszcie, zwracając do marszałka — ale nie do niepowetowania. Statek byłby nam dopomógł wielce, jednakże i bez niego się obejść potrafimy. Niema godziny do stracenia. Jeżeli ta dzicz spostrzeże, że nas onieśmieliła, odwiodła od wyprawy, stanie się zuchwalszą jeszcze. Musimy całą siłą iść na Pilleny i zniszczyć to gniazdo gadów. Wielu z was zginęło przy statku? — zapytał.

Hans odpowiedział półgłosem. Strata w ludziach, do Zakonu należących, była nieznaczna, a robotników niewiele ważono.

Brandenburczyk, który słuchał opowiadania z niecierpliwem rozdrażnieniem, wybuchnął teraz.

— Na Boga litościwego! — zawołał — cóż to być może znowu za twierdza tak silna, abyśmy jej nie potrafili zdobyć? Drewniane kleci? może gdzie niegdzie gliną polepione! Jeżeli rzeka broni z jednej strony, z drugiej ląd jest, a my nań wysiadziemy.

Jak oni statek, tak my im tę szatnię spalimy. Nie wielka sztuka bełty obwinąć pakułami, oblać smołą i puścić je na dachy. Zdobędziemy i zniszczymy!

— Musimy tego dokonać — potwierdził wielki mistrz — i to rychło, nie dając się im wzmóc w siłę.

— Idźmy zaraz! — poczęli się odzywać komturowie wszyscy.

Marszałek, usłyszawszy to, spojrział na nich.

— Nie potrzebuję więc dawać rozkazów! jutrzejszego dnia dosyć będzie na przygotowanie.

Wszyscy się poruszać zaczęli i wychodzić z izby, wielki mistrz zwrócił się do swoich komnat; inni, głośno rozprawiając, szli przez wielką salę. Bernard tylko pozostał w miejscu, jak przykutym.

Hans von Hechten, którego się nie przestano wypy-

tywać, miał także iść za innymi, gdy, wysunawszy się z zakątka swego, Bernard go powstrzymał...

Znali się oni z sobą, ale między milczącym, tajemniczym Bernardem a Hechtenem, który z konia prawie nie zsiadał, stosunek był chłodny. Nie lubili się.

Dał mu się jednak zatrzymać przybyły i stanął.

Z uprzejmością, na którą się silił widocznie, Bernard, ująwszy go za rękę, odezwał się głosem błagającym:

— Proszę was, nie odmawiajcie mi słów kilku. Prawdaż to? poznaliście na pewno tego niegodziwego, tego... wychowanka mojego??

Hechten odpowiedział niechętnie i prawie grubiańsko:

— Nie ulega to wątpliwości najmniejszej. Ja! ja! bym może go nie poznał; widywałem go mało. Inni, co znali dobrze, najpewniejsi są tego; wszyscy, wszyscy jednym głosem go mianują. On prowadził tych napastników, on tam rozkazywał. Rzucił się pono pierwszy na statek.

Bernard ręce zacisnął.

— Więc ocalał! więc jest tam w tych Pillenach! — odezwał się półgłosem. — Niepojęta rzecz, jakim sposobem przebył taką przestrzeń, potrafił ująć pogoni...

— Cóż w tem niepojętego? — szydersko odparł Hans. — Po drodze mi opowiadano, że, uciekając, wziął z sobą drugiego waszego służkę, parobka starego, który długo za szpiega u was uchodził, a pono im się też wysługiwał, nie wam. Ten znał wszystkie drogi.

Dokończywszy Hans, podniósł rękę, jeszcze w żelazną rękawicę okutą.

— Niestety to jest! — zawołał — gdy Zakon, zamiast wierzyć w żelazo, na podstępny i zabiegły chytretachuje. Frymarki te, czy z Polakami, czy z Pomorzanymi, czy przeciwko Litwie, na nic się nie zdały. Nasza rzecz: zbroję wdziać i bić się.

Bernard nie odpowiedział nic; stał, jak przekonany i pokonany winowajca.

Hans wyszedł. On sam tu pozostał jeszcze z myślami swemi. Zabierał się także opuścić pustą salę obrad, gdy wielki mistrz do niej powrócił. Znalazłszy go tu, zmierzył oczyma i z pewnem współczuciem rzekł:

— Złe się stało! naukę wzięliśmy; ale wyście złego ani chcieli, ni mogli przewidzieć. Idźcie, ofiarujcie to Bogu.

Słowa te pociechy z głęboką pokorą i wdzięcznością przyjąwszy, Bernard wyszedł.

Na zamku wydane rozkazy już wszystkim wiadome były.

Z jakimkolwiek skutkiem wyprawy się odbywały na pogan, choć wiele z nich się nie szczęściło i nie wiodło, każda z nich wszakże witana była przez rycerzy z radością wielką, a szczególnie te, którym goście towarzyszyli.

Wiadomem jest, że zamordowanie wielkiego mistrza Orselena było zemstą za to, że jednemu z krzyżaków na wyprawę iść nie pozwolił. Cisnęli się, napraszali wszyscy, radość panowała powszechna. Tak panowie, jak knechty i służba, starali się o to, aby nie pozostać na straży opuszczonych zamków. Wojna dawała więcej swobody, miała wszelkiego rodzaju przyjemności i korzyści. Wycieczki na kraj nieprzyjacielski, jak wiemy z dziejów, odznaczały się rozpasaniem największem.

Nie dziw też, iż nazajutrz, w dniu, który na przygotowanie był danym, na zamku malborskim panowało zajęcie wesołe, wrzawa, ruch, śmiechy, jakgdyby obchodzono już odniesione zwycięstwo.

Z rana zaraz porozysłano do komturów rozkazy, aby z siłami, które mogli odłączyć, do miejsc zbornych podążali. Niektórzy z nich wyciągali sami, aby się, wzięwszy ludzi, z oddziałem głównym połączyć.

Ładowano wozy, opatrywano konie, starszyzna wybierała swój dwór i pachołków. Ze zbrojowni wydawano zapaśny oręż; szatny Zakonu wysyłał suknie, płaszcze i odzież, które roznoszono. W kurytarzach, po salach, widać było tylko biegających i śmiejących się ludzi.

Bernard, któremu dotąd nie dano rozkazu, ażeby z innymi się stawił, siedział w swej izbie zamkniętej, w tem przekonaniu, iż za karę skazany będzie na bezczynność.

Do zadumanego tak samotnika niespodzianie wszedł Sylwester szpitalnik. Dość mu było spojrzeć na brata Bernarda, aby poznać, iż boleje. Była to dusza litościwa; zbliżył się doń z uśmiechem dobrodusznym.

— Przychodzę was spytać — rzekł — czy wy też driakwi, plastru jakiego, lub leku nie chcielibyście wziąć z sobą?

— Ale ja, ojcie mój, — przemówił Bernard — podobno z wami i driakwią tu zostanę. Nie wyznaczono mnie na wyprawę, a ja się napraszać nie mogę.

Widzę, że bracia na mnie zagniewani wszyscy i że mi wyrzucają, iż zdrajcę wychowałem.

Spojrzał na staruszkę Sylwestra, który z żywością, nieopuszczając go nigdy, w miejscu się kręcił i ramionami ruszał.

— Mają może słusność — dodał — przemawiając za tem, żeby dzieci pogan zabijać raczej, niż hodować! Ale ja... ja — rzekł, wahając się i patrząc na Sylwestra — zostawszy krzyżakiem, niezupełnie przestałem być człowiekiem.

Sylwester spoglądał nań ze współczuciem.

— Wyrzucają mi, że się do wychowania tego przywiązałem? — rzekł. — Do winy tej przyznaję się, ale to było chłopię...

Nie dokończył.

— Ja sam go polubiłem i litowałem mu się, gdy za-



chorzał — odparł szpitalnik. — My obaj, bracie Bernardzie, nie zdaliśmy się do kompanji tych żelaznych ludzi. Szczęściem, ja doglądam szpitala...

— Biednego chłopca obalamuconego mi żal — dokończył Bernard — bo nieochybnie zginie. Musi być u matki w tych Pillenach, na które my idziemy całą siłą. Nie ujdzie z życiem.

Drzwi się otworzyły i kompan marszałka wszedł do celi.

— Wy także naznaczeni jesteście do pochodu — odezwał się, spoglądając na tabliczkę, którą trzymał w ręku.

— Ja? — zapytał niedowierzająco z pewnem wzruszeniem Bernard — ja?

— Tak — powtórzył z chłodem człowieka, który spełnia rozkazy. — Wielki mistrz i marszałek rachują na to, że gdyby zamek ów zdobywać było ciężko, wy potraficie do broniących go, jako poseł, przemówić. Spodziewają się tam tego młokosa.

Kompan marszałka wyszedł.

Bernard poruszył się, rozglądając po izbie. Dawno już go nie wzywano na wojnę. Potrzeba więc było dobrać sobie ludzi, konie i służbę. Czasu na to nie zostawało wiele. Nazajutrz rano, po nabożeństwie, krzyżacy z gośćmi ruszyć mieli. Wozy już przodem z żywnością wyprawiano.

Wielki mistrz pozostawał w Malborgu; dowódcą wyprawy był, jak zwykle, wielki marszałek i komtur. Starszyna szła cała.

Oddawna nie pamiętano takiego wysiłku ze strony Zakonu.

Nie szło o bitwę, której się nie spodziewano, ale o daleko cięższe obłężenie, które, zważywszy upór pogana, długie i trudne być mogło.

Z wielką uroczystością odbyło się ciągnięcie pierwsze ze stołecznego grodu, przy rozwiniętej chorągwi

Zakonu, ze śpiewem i okrzykami. Cała ludność miejska stała u bram, patrząc na wyciągających, zbrojnych, strojnych, a z wielką ochotą rycerską ciągnących w pole. Za każdym z rycerzy postępował dwór jego, kompanowie, sarganty, knappy, pacholki z tarczami i włóczniami. Na czterech krzyżaków służył wieziony za nimi namiot wspólny. Kilku kapelanów, w dłuższych sukniach zapiętych, w płaszczach bez rękawów z krzyżami, towarzyszyło też pochodowi.

Rycerskie dwory gości niemieckich, angielskich i francuskich, świetne i odróżniające się jaskrawością, zwracały oczy.

Wszystko to razem za przewodem ludzi, którzy, przodem jadąc, drogę ukazywali, z powagą wyszło w pole, ciesząc się porą wiosenną, słońcem, powietrzem, swobodą.

Za innymi rycerzami, nieco odosobniony, jakby się od niego odłączyć starano, jechał Bernard, którego twarz pod napuszczonym hełmem się kryła. W ręku jego jednego widać było z grubych paciorków różaniec, o którym ihni chętnie zapomnieli.

Zato kompanowie i czeladź prowadziła za nimi psy i sokoły niosła na ręku.

Pochód przez ziemie własne Zakonu, w czasie którego rosła ciągle liczba rycerzy z przyległych zamków przybywającymi, był jakby przejażdżką wesołą. Choć prawda wojenne ścisłą karność nakazywały, ani marszałek, ani wielki komtur zbytnio jej nie przestrzegali. Odpoczynki wszystkie zgóry były oznaczone, i na każdym z tych stanowisk znajdowali goście wszystko przygotowane, czego tylko mogli pożądać.

Czas służył pogodny, obawy nie było najmniejszej, ciągniono tak jednostajnie, że gdyby nie wycieczki na małe polowania i wieczorne uczyty, sprzykrzyłoby się rycerzom nie spotykać nic, coby ich rozerwać mogło.

Niecierpliwość rosła w miarę, jak się ku granicy

zbliżano. Wysłane szpiegi powracały z wiadomością, że o żadnych przygotowaniach ku obronie nie słychać i około Pillen cicho jest a spokojnie.

Ostatniego dnia postanowiono przyśpieszyć pochód i natychmiast po przeprawie przez Niemen zamek osaczyć, ażeby załodze nie dać czasu się powiększyć, ani przysposobić do obrony.

Obrachowanem było tak wszystko, iż nade dniem o brzasku wojsko się przeprawić miało w jak największej cichości i porządku.

Jakoż pierwszy oddział stanął nad brzegiem o mroku jeszcze, i tejże chwili z góry puszczone czółna i promy poczęły co najlepiej uzbrojonych i najśmielszych przewozić.

Wszystko zdawało się iść po myśli. Zamek na pagórku stał, jakby martwy; żadnego w nim, ani dokoła, ruchu dostrzec nie było można. Nikt się nie ukazał na okopach, ani na drewnianej wieży, nie dano żadnego hasła.

Drewniane ściany ogromnej budowy czarno malowały się na wyjaśniającem się niebie. Siny tylko obłoczek dymu spokojnie się nad nimi unosił.

Wiedziano przez szpiegów, iż od strony lądu znajdowała się osada i część ludności, która do grodu posługi należała. Niezwłocznie więc garść rycerzy i knechtów, wylądowawszy, rzuciła się na nędzne ziemianki i numy, spodziewając się tu dostać jeńców i języka.

Lecz schronienia te wszystkie stały puste, otworem.

Żywej duszy w nich nie było.

Zdumiano się wielce, gdy, plondrując po wszystkich zakątkach, ani zapasów żadnych, ani nawet sprzętu nie znaleziono. Cała ludność miała czas się stąd nietylko wynieść, ale wszystko zabrać z sobą, co tylko nieprzyjacielowi przydać się mogło.

Dowodziło to, że ów napad, który niespodzianym miał być, spodziewanym być musiał, i to zawczasu.

Natychmiast knechty się poczęły rozgaszczać po lepiankach. Krzyżacy tymczasem całym poczem objędzali gródek, opatrując go i szukając miejsca, któreby do przyszłego szturmego najdogodniejszym było.

Ci, co się po drodze naśmiewali ze sławionej twierdzy owej, teraz jakoś zaczynali uznawać, iż tak słabą, jak zrazu sądzili, nie była.

Okopy broniły ścian, do których przystęp był niewygodny i trudny.

Wielki marszałek, dokoła obejrzawszy Pilleny, znalazł, że przecież jeśli nie szturmem i ogniem, to głodem wziąć je było można.

Tymczasem na grodzie ta złowroga cisza jakaś panowała, która nieświadomym ludu i obyczaju dozwalała nawet przypuszczać, że, jak owe lepianki, tak i samo zameczysko opuszczone być musiało.

Znak w niem życia nie było.

Śmielsi knechtowie, uzuchwaleni tem, co się im wydawało bezsilnością, nie czekając na to, by się reszta sił przeprowadziła przez rzekę, kupą z jednej strony na wały się drapać poczęli...

Krzyki, z jakimi szli, nie wywołały z grodu nikogo. Nie przeszkadzano im wcale wleźć aż ku ostrokołom i parkanom. Gdy tu już stanęli i zabierali się na tyn iść, który śmielsi podpalać zaraz chcieli, nagle posypały się strzały i pociski z proc kamienne, tak gęsto i tak trafnie, iż przodujący innym padać zaczęli.

Nieprzyjacieli, skryty za parkanami, nie był widocznym.

Cicho, nie pokrzyknawszy nawet, nieustannym sypał gradem. Padło kilku zabitych, stoczyło się kilkudziesięciu rannych; a marszałek, który stał zdala i patrzył, wołać kazał rozgniewany do odwrotu.

I bez tego rozkazu obozowa gawiedź już pierzchała prędzej daleko, niż się tu dostała.

Pierwsza ta próba nieszczęśliwa dowiodła, że milczącego owego stosu drzewa lekce sobie ważyć nie było można.

Rozkładano się obozem szeroko w dolinie, zakreślając krąg taki, aby przystęp do zamku od lądu był zupełnie zaparty. Wśród wierzb starych poczęto rozbijać namioty, rozstawiać wozy, wyznaczać miejsca dla oddziałów. Zatknięta już chorągiew Zakonu przed marszałka szalasem, który naprędce kleciła czeladź, oznajmowała groźnie Pillenom, iż Zakon siły swe przednie na nie wymierzył.

Dnia tego nic nie rozpoczynano.

Na wysokich ścianach grodu wkrótce przesuwać się zaczęli, jak cienie, milczący ludzie. Na wieży długo kilku ich stojących i przypatrujących się widać było. W jednym jej rogu, jakby na urągowisko białej chorągwi mistrza z orłem i krzyżem, rozwinięto białą płachtę w słupy niebieskie.

Rycerze powitali ją śmiechem szyderskim.

— Znać, że baba na zamku dowodzi, — wołał Siegfried — bo spódnice wywiesili na znak.

Z południa starszycznę do siebie marszałek zaprosił na radę: od czego poczynać mieli?

Obejrzenie dokoła warownego grodu nigdzie ani wyjścia, ani bram, ani przesmyku, którymby bezpiecznie do niego podkraść się można, nie dozwoliło się domyślać. Zawarty był, jakby ptakiem tylko doń dolecieć, kretem zeń wydobyć się było można.

— Głód nam ich da w ręce — mówił marszałek.

— Tak — odparł wielki komtur — lecz, jeżeli się nas spodziewali, jak widać z opustoszenia osady, zapasy przysposobić musieli; a wiemy, że ludzie są na małym przestający, głód znosić nawykli, to nas tu trzymać będą tak długo, iż oblężenie zdobyczy nie będzie warte.

Książę brunświcki i hrabia Namur, którym pilno było rozpocząć i skończyć wojnę, ani słuchać chcieli o ogłodzeniu. Na wały trzeba się, zdaniem ich, drapać było koniecznie, dotrzeć do parkanów i rąbać je a palić.

Wielki marszałek nazajutrz chciał bełtów zapalonych próbować i rzucania ognia na dachy.

Ciury obozowe, rozdrażnione niepowodzeniem pierwszej próby, nazajutrz wybierały się z dwu stron przypuścić szturm, któryby siły załogi rozdzielił; nie spodziewano się, aby mogła starczyć na dwa ich oddziały.

Przy wyznaczeniu miejsc na obozowisko Bernardo wi dostało się rozbić namiot z dwoma tylko towarzyszami, najbliżej stoku pagórka, w dole jakimś, który zdawał się opuszczoną numą, bo kilka kamieni, rzuconych w nim, jakby ognisko dawne znaczyło. Trochę łożyny tu rosło pomiędzy głazami, obok których wozy postawiono i namiot rozbiło.

Gdy nadeszła noc, po długiej biesiadzie, dla gości u marszałka zastawionej, wszyscy się do swych stanowisk porozchodzili. Chociaż dotąd dość sobie lekceważono załogę i twierdzę, jednakże na noc strażę postawiono. Nie spodziewano się wycieczki, lecz dowierzać nie było można.

Noc była cicha i spokojna; ludzie pochodem, a potem wieczerzą znużeni. Godzinę jakąś strażę chodziły, ziewając; wkońcu, gdzie kto mógł, posiadały, i gdzie kto usiadł, bezpiecznie się pospały. Bernard nie mógł zmrużyć oka, chociaż dwaj jego towarzysze w namiocie chrapali już oddawna. Myślał o czemś smutnie.

Z całego obozu on jeden może czuwał. Milczenie grobowe go otaczało. Słyszeć tylko było głucho mruczenie rzeki, która u stóp wzgórz o ogromne w niej leżące rozbiła się głazy.

Wtem, dosyć blisko namiotu, krzyżak posłyszał stą-



panie ostrożne i szept. Straż to być musiała, bo któż inny ważyłby się chodzić po obozie?

Wtem zlekka uchylono opłotek, który wnijście zasłaniał, i Bernard ujrzał stojącą postać ciemną, w głąb namiotu zagładającą. Poruszył się na posłaniu.

Mroki nocne nie dawały mu rozeznąć podkradającego się tak do namiotu człowieka. Widział tylko, że krótki mieczyk miał w jednej ręce. Myśl o nieprzyjaciółach, jakich miał w Zakonie, o jakiejś zemście, przebiegła mu po głowie. Schwycił za leżący przy sobie oręż i, nie czekając już dłużej, z odwagą, która go nigdy nie opuszczała, rzucił się tak szybko na usiłującego wtargnąć do namiotu, iż ten cofnąć się nie miał czasu. Brzask słaby nocy wiosennej zbliiska dozwalał rozpoznać rysy...

Jerzy stał przed nim.

Bernardowi podniesiona już nań ręka zadrżała, stanął. Chłopak czas miał się cofnąć. Zobaczył go także i mieczyk, wymierzony już w pierś jego, zawisł w powietrzu.

Oba nie wydali okrzyku nawet. Bernard, oprzytomniawszy nieco, drugą ręką usiłował pochwycić chłopca, który mu się wywinął zręcznie. Należało krzyknąć na strażę i ująć zuchwałego, który ważył się wtargnąć do obozu; uczucie jakieś litości na ustach Bernarda wstrzymywało głos. Jerzy stał, gotując się do ucieczki.

Bernard namyślił się rychło.

— Szalony! — zawołał stłumionym głosem — szalony! życie ci niemiłe.

Kunigas o krok się cofnął.

— Ja wam wasze darowałem — odparł cicho — nie godźcież na moje.

To mówiąc, posunął się kilka kroków w mroki, padł na ziemię, i goniący za nim krzyżak, przyskoczywszy w to miejsce, gdzie się go schwycić spodziewał, już nie znalazł. Kilka wielkich kamieni na niem

leżało. Wdali szelest dał się słyszeć, jakby nadchodzących ostrożnie ludzi.

Bernard chwilę jeszcze stał niepewny, wahając się, co pocnie; litość wstrzymywała go, lecz wkońcu na straże wołać począł.

Krzyk jego donośny, wśród ciszy nocnej rozlegając się, cały obóz poruszył. Na czarnych ścianach milczącego grodu przebiegło kilka światełek.

Z namiotów wybiegali napół odziani, rozespani, wyłękli bracia; knechty chwyтали za oręż; uśpione wprzód straże kręciły się, biegały popod wałami. Nikt zrazu przyczyny tego postrachu odgadnąć nie mógł; lecz trwoga ogarnęła jednych, gniew innych, gdyż przypuścić nie mogli, ażeby im coś od Litwy zagrażać miało.

Ponieważ popłoch się wszczął od tej strony, gdzie był namiot Bernarda i towarzyszków jego, zbiegli się tu od marszałka posłani dopytywać, co było jego powodem?

Ukazanie się i zniknięcie chłopca było tak dziwnem, że krzyżak po namyśle sam poszedł do marszałka, którego zastał na łożu, napół ubranego, rozmarzonego snem po szlaftrunku i rozjątrzonego na ludzi, którym się coś przywidziało.

— Potrzeba ukarać głupca, co tej wrzawy narobił! — wołał marszałek.

— Wrzawy narobiłem ja — odrzekł Bernard.

— Wy? to być nie może! z jakiego powodu?

— Obcy człek z mieczem w ręku wtargnął, a raczej wkraść się usiłował do mojego namiotu — począł Bernard.

— Śniło się wam?

— Miałem go prawie w ręku.

Marszałek się przeżegnał.

— To jakiś knecht pijany! — zawołał.

— Nie; Litwin był. Zbliżywszy się, mogłem poznać

go po stroju, a zresztą i po twarzy. — (Tu się nieco zawahał Bernard). — To był dawny mój wychowaniec.

Marszałek zerwał się z posłania.

— Jakimże sposobem dostać się mógł do obozu! — krzyknął.

— Dziwniejsza jeszcze, w jaki sposób potrafił uciec i z oczu mi znikł, jakby wpadł w ziemię — odpowiedział Bernard.

— Tu idzie o sprawę Zakonu; — dodał — rzecz jest zagadkowa a groźna. Mają sposób robić niepostrzeżone na nas wycieczki. Potrzeba lepiej zbadać całą miejscowość.

Marszałek siedział zadumany.

— Jakimżeby sposobem ta dzicz miała tak misternych używać środków? Co był za powód do wtargnięcia?

— Domyślałam się, że mój namiot wzięto za wasz i że szło o życie wodza. Poznawszy mnie, chłopak się zawahał chwilę; ale nim go schwycić mogłem, uszedł mi w niepojęty sposób.

Gdy się to działo, krótka noc wiosenna już się miała ku końcowi, zaczynało dzień.

Marszałek nie chciał się kłaść na spoczynek; on, komtur wielki i kilku krzyżaków szli natychmiast miejsce około namiotu Bernarda opatrywać.

Wskazywał im dokładnie, gdzie Jerzy znikł i, jak mu się zdawało, padł na ziemię. Tu leżało kilka mchem obrosłych kamieni i najmniejszego znaku nie znaleźli ani podziemnego chodu, ni poruszonej ziemi. Większa część przypuszczała, że zręczny chłopiec musiał stąd podpełznąć pod zagrody i dostać się napowrót do zamku.

Jednakże z rozkazu marszałka łopatami wkoło ziemię zaczęto odgrzebywać; komtur kamienie precz odrzucić kazał, i pod jednym z nich znalazł się ślad ciasnego otworu, który szedł w głąb ziemi. Ponieważ

grunt był piaszczysty, przejście to belkami i dranicami od osypania się było zabezpieczone.

Krzyżacy zdumieli się zuchwalstwem obleżonych i uradowali odkrytem podziemiem. Nikt się jednak wewnątrz nie ważył. Z wierzchołka zamku łatwo było dojrzeć, co się tu działo, i marszałek pewien był, że podziemie zasypane wnet będzie.

Uczyniło to wielkie wrażenie na oblegających, którzy nie przypuszczali, aby z taką sztuką zamek się mógł obraniać.

Natychmiast dokoła zaczęto kołami i łopatami badać, kopać, szukać; lecz na żaden inny ślad nie trafiono.

Ranek cały upłynął na rozmaitych przygotowaniach. Ponieważ inaczej, jak z pomocą ognia, Pillen wziąć nie było podobna, zaczęto susz ściągać z pobliskich lasów; bełty sposobić, kłakami i smołą opatrzone; ciosać kobylice i wiązać drabiny, potrzebne do wdzierania się na parkany.

Na gródku i teraz żadnego ruchu i przygotowań wiadać nie było. Od czasu do czasu tylko przesuwały się postacie nieme, z pałkami sterczącemi nad głowy, w czapkach uszatyh, które same tylko ponad parkanem wystawały.

Ten spokój obleżonych, pomimo przewagi sił krzyżackich, czynił wrażenie na nich; czuli w nim męstwo i gotowość na wszystko. Z ciurów i knechtów dnia tego nikt się nie ważył na nową wycieczkę; ograniczano się odgrózkami, oglądaniem zdaleka i odgadywaniem wnijścia na zamek, które z żadnej strony nie było widocznem.

Starszyzna cały prawie dzień ucztowała. Szare płaszcze, serganty i' zbrojni towarzysze małą zrobili wycieczkę wewnątrz kraju i nad wieczorem powrócili z niewielkim łupem, bo jedną tylko rodzinę w lesie, na ostrowiu, niespodzianie zagarnąć im się udało. Starą

babę i dwoje młodych dziewcząt zabito na miejscu, a mężczyznę dla języka przygnano związanego za koniem.

Pierwszy to był jeniec tej wyprawy i nie dziw, że cały obóz się zbiegł go oglądać.

Okrwawiony, okryty pyłem i błotem, krępy, małego wzrostu mężczyzna lat średnich, pomimo że zbity był straszliwie, nie wydał jęku, nie okazał cierpienia. Z przymkniętymi oczyma, z ustami, na których krew zakrzepła, z piersią oszarpaną, dawał sobą rzucać, bić się, znęcać i jak bez czucia kłoda, nawet głosu nie wypuścił.

Chciano go zmusić do mówienia, otaczali go tłumacze, targano go, deptano, grożono — nie pomagało nic. Można było sądzić, iż z niego już życie ubiegło; lecz krew sącząca się z ran, ciepłe ciało, niekiedy mimowolnie połyskujące oczy zdradzały, iż nie wyzionął jeszcze ducha.

Zdawało się krzyżakom, iż od niego o liczbie załogi, o zapasach twierdzy dowiedzieć się będą mogli; obiecywano mu więc życie, ale nie dał się niczem zniewolić do otwarcia ust.

Rzucono go tak związanego na ziemi, aby dogorywał. Zaledwie dyszącego znalazł tu biednego jeńca kapelan marszałka, ojciec Antonjusz.

Był to jeden z tych duchownych, których dziwna ironja jakaś losu wpędziła w służbę krzyżacką: mąż pobożny, litościwy i bolejący nad tem, na co patrzył.

Słabowity, wychudły asceta, byłby dawno uwolnił się z Zakonu, a inny obrał sobie, dla życia kontemplacyjnego stosowniejszy, gdyby go tu nie trzymało uczucie obowiązku. Mówił sobie, że właśnie tu, gdzie miłosierdzia chrześcijańskiego nie było, on był je powinien nieść i pełnić.

Nie zważając na szyderstwa, jakie swem postępowaniem często ściągął na siebie, ojciec Antonjusz, nie

przeciwiać się nikomu, czynił, co mu serce dyktowało, w milczeniu, z cierpliwością i pokorą.

Zobaczywszy człowieka dogorywającego, przyszedł ku niemu, jak ów pobożny Samarytanin, siadł przy nim na ziemi; a że nie śmiał więzów porozrywać, do spalonych warg przyłożył kubek z wodą, rany twarzy i piersi obmywać począł.

Naówczas konający ów człek oczy otworzył, spojrział i targnął się, jakby chciał rękę, co go dotknęła, odepchnąć.

Ojciec Antonjusz dla katechizowania Prusaków wyuczył się był ich języka, zrozumiałego całej Litwie.

Zcicha więc, pochyliwszy się nad nim, szeptać mu począł słowa pociechy.

Dźwięk tej mowy oczy powtórnie otworzył umierającemu. Westchnął, słuchając ich, i głos ochryply, ledwie dosłyszany, dobył się z piersi potłuczonych.

— Poco mi przedłużasz życie! — mrużyć począł. — Daj mi raczej skonać prędzej, a jeśli masz litosć, to dobij. Kołem uderz w serce; nie każ mi cierpieć.

— Życie ci może ocale, a jeśli doczesnego nie dam, wieczne ci otworzę, gdy westchniesz do Boga jedyne — rzekł kapłan. — Nieszczęście, które cię spotkało, szczęściem być może, jeśli cię nawrócić potrafię.

Litwinowi usta się skrzywiły, głowę odwrócił wysiłkiem wielkim, milczał.

Ojciec Antonjusz wlał mu w usta trochę wina, które miał przy sobie; życie podbudzone wracało.

Naówczas kapłan począł mu mówić o Bogu chrześcijan, o Synu Jego, o Niebie, którego tylko zapragnąć potrzeba było, aby je pozyskać.

Jeniec milczał długo; naostatek ta cierpliwa mowa, która wciąż brzmiała w uszach jego, wydobyła z niego znowu szemranie.

— Waszego Nieba nie chcę — począł — tam moich



nie znajdę; niema tam nikogo, oprócz wrogów. Skonać mi daj.

Nie dawał się zrazić ojciec Antonjusz i wciąż siedział nad związanym. Znalazł go tu marszałek, który po żołniersku nogą kopnął leżącego, naganiając księdzu, że próżno dla zwierzęcia tego czas i siły swe marnował.

Ksiądz prosić począł, aby życiem darowano nie-szczęśliwego.

— Aby poszedł w las i mścił się, — rzekł marszałek zimno — znamy to plemię gadów niewdzięczne. Byłbym go może oszczędzić kazał, gdyby mówić chciał; ale katować się dał i ust nie otworzył.

Litwin, jakby tę mowę rozumiał, oczy otworzył. Błyskała w nich nienawiść.

— Spróbuj ty pytać go, ojcie; może będziesz szczęśliwszym, — odezwał się marszałek — znasz ich ten język szatański, do żadnego innego niepodobny.

Ojciec Antonjusz zbliżył się do dyszącego.

— Okup życie! — rzekł — powiedz, o co cię pytają.

— A mnie życie naco? — odparł jeniec i zachrapał straszliwie śmiechem bolesnym.

Ksiądz, jakby tego nie słyszał, powtórzył pytanie.

— Mów! ocal życie! Wiele jest na zamku załogi? Na długo żywności mają? Potrafią się oni nam opierać?

Słuchając, Litwin marszczył czoło. Wargi mu się kurczyły.

— Wielu tam jest — zakrzyczał gniewnie — nie liczył ich nikt i oni się nie rachowali; żywności mają więcej, niż trzeba; a tego pewni bądźcie, że nikogo tam żywego nie weźmiecie! nikogo! i gródek jeśli zdobędziecie, to tylko kupą węgla. Wszyscy umrą, was padnie dosyć, przeklętych!... bodajbyście wyginęli do nogi!... niechby was pioruny wybiły, psy niemieckie!

Zachrapał, oczy mu na wierzch głowy wysadziło, krew się połała ustami — skonał.

Nazajutrz po tej nocy, gdy Margier się podkraść pod wejdałotek zagrodę, matka jego z rana do odjazdu oddziałowi swojemu gotować się kazała. Zaledwie niepostrzeżony wrócił do szałasu z Rymosem, już budzili się ludzie, konie do wody wiedli, ognie rozpalali, i Reda sama, odziewszy się, wyszła z pod namiotu, aby przynaglać do pośpiechu. Rymos po kilkakroć siedzącemu nieruchomie, nawpół odzianemu panu przypominał, że czas było sposobić się do podróży. Margier nie zdawał się chcieć słyszeć, ani rozumieć.

Z głową spartą na rękę, namarszczony, nie poruszał się wcale. Szwentas, który więcej doń śmiałości miał, targnął go za suknię.

— Kunigasiku, — rzekł wesoło — czas się odziewać. Matka na was czeka i ogląda się. Hej!

Margier się ani odwrócił.

Zdała przypatrująca się temu od namiotu swojego Reda, nie mogąc zrozumieć nieruchomości syna, poczęła iść ku niemu. Wlepiała oczy w niego; on nie spojrzał na nią; dziki jakiś wyraz miał w twarzy.

— Czas w drogę, czas! — zawołała do niego.

Milczał, nie zwróciwszy nawet oczu ku niej. Nawykła do posłusznych, Reda zarumieniła się, głos jej stał się nakazujący, groźny.

— Wstawaj! konie za chwilę będą gotowe; jedziemy.

Margier dopiero zwolna głowę ku niej podniósł i głosem, w którym tyle siły było i woli, co w mowie matki, odparł:

— Ja nie ruszę się stąd.

Na chwilę Reda straciła mowę; gniew w niej wrzał, choć ten, co się jej sprzeciwiał, był jedynem jej dziećciem.

— Co to jest? — zawołała. — Ty?

Margier, nie ruszając się z miejsca, milczał, patrzył w inną stronę. Ludzie, dokoła zgromadzeni, którzy świadkami byli, poczęli się cofać strwożeni. Reda ciągle podchodziła do siedzącego, wreszcie, stanawszy przy nim, szarpnęła go za ramię.

— Słyszysz, ty? rozkazuję ci! Wstawaj!

— Nie wstanę.

Niewieście krew buchnęła do twarzy; mimowolnie ręką uderzyła po mieczu; mowa ta zuchwała, niemiecko jej i obco brzmiąca, niemal pamięć zatarła na to, że chłopak był synem jej własnym.

— Mów! — krzyknęła — czegoś się przeciwko matce zbuntował?

Po chwili namysłu Margier ponuro, groźno wyjąknął:

— Chcę narzeczonej mojej; bez niej stąd kroku nie stąpię. Zrobili ją wejdałotką; muszą mnie uczynić wejdałotą.

Rozśmiał się szydersko.

— Nie pójdę stąd; albo z nią razem do Pillen, albo... bodaj nazad do krzyżaków.

Reda stała bezsilna a gniewna. Gdyby nie był dzieckiem jej, jużby się była pomściła. Przez myśl jej przeszło związać go kazać i gwałtem uprowadzić; lecz, jakby odgadł to, Margier miecz z za siebie, na ziemi leżący, porwał, z pochew go obnażył i ścisnął w rękę. Twarz mu też krwią nabiegła.

— Siłą cię wziąć każę! — zawołała.

— Ale martwego chyba! — krzyknął chłopak. — Nie dam się żywym wziąć. Tyś nie matka moja! nie! Gdybyś nią była, dzieckubyś nie odmówiła tego, o co cię pierwszy raz w życiu prosiło.

— Czar mu rzuciła ta bezecna dziewczka! — zawołała Reda — bodaj ją spalił ten ogień, którego ma pilnować.

Margier, nie słuchając, poprawił się na siedzeniu,

miecz swój opatrzył, plecami się przyparł do szafasu i jakby do obrony gotował.

Redzie gniew i ból niewieście łzy z pod powiek wy-  
cisnął.

— Gdybyś nie miał znamienia na szyi — krzyknę-  
ła — i jabym cię za syna nie znała. Psy te niemieckie  
serce w tobie przemienili. Krew ci swą wla! Śmierdzisz  
niemi!

— Więc rzuć mnie tu, — rzekł Jerzy — ja z tobą  
iść nie chcę; zostanę tu; zginę marnie, a nie pójdę.  
Kobieta, choćby matka, rozkazywać mi nie będzie.

— A ty dla obcej wszetecznicy porywasz się na  
nią? — przerwała Reda, rzucając się w miejscu i miecz  
cisnąc w rękę.

— Ta mi nie obca! nie! ja z nią głodem marłem,  
poślubiłem ją i nie dam, choćby Perkunasowi waszemu.

Na tę wzmiankę, lekceważącą boga, którego dąb  
i ołtarz stał wpobliżu, ludzie z przestachem popadali  
na ziemię; Reda się cofnęła.

Margier urągajaco się poglądał; wszystko, co sły-  
szał niegdyś o bałwanach i fałszywych bóstwach, na  
myśl mu przyszło. Oczy skierował na kloc, który stąd  
widać było, i plunął.

Matka już nie wiedziała, co począć.

Szcześnie żadnego z kapłanów nie było wpobliżu.

W ciągu tej chwili milczenia Szwentas, który także  
napół już tylko wierzył w Perkunasa, odwykły od  
niego, przysunął się do siedzącego, za rękaw go pocią-  
gnął i szeptać począł żywo:

— Kunigasiku, co wam? Zginiecie marnie. Dla  
czego? dla głupiej dziewczyny? co wam? co wam?

Odepchnął go Margier groźnem spojrzeniem.

— Precz! — zawołał. — Matki nie słucham, a ty-  
byś mnie miał uczyć, niedźwiedziu głupi!

Parobek zgarbił się, pochylił i wycofał.

Kunigasowa poruszyła się, żywo chodząc po małej

przestrzeni, która przed nią wolna była; spojrzała na swoich ludzi. Przez myśl znowu przejść jej musiało, — kazać go porwać gwałtem; ale z oczu czytała ludzi swych, że mogą się jej stać nieposłusznymi. Nawykli byli ślepo pełnić jej rozkazy póty, póki pana nie mieli; teraz ten wydawał się im prawowitym wodzem. Nie-wiasta nie miała praw męża, który był głową i panem.

Reda na zamku rozkazywała może więcej, jako córka Walgutisa, jako zastępczyni jego.

Zwróciła się powolnym krokiem do syna, ostygła już i prawie złamana; głos jej drżał. Złagodniała.

— Margier! dziecko ty moje! — poczęła — nie maszże ty dla matki serca? nie ulitujesz się ty nade mną?

— Litujcie się wy wprzód — odparł surowo syn.

— Nie w mojej mocy jest ci dać tę dziewczkę — dodała. — Ty nie wiesz, co u nas wejdałoci znaczą. My z nimi walczyć nie możemy, ani ich tknąć; a na czem oni położyli rękę, to już do nich i do bogów należy.

— Ja nic nie wiem! — zawołał Margier — ani ich, ani waszego obyczaju; ale bez Baniuty stąd się nie ruszę.

Siłą ją weźcie, wyproście, wykupcie, zamieńcie, na wagę złota ją im zapłaćcie; a ja muszę ją mieć. Nie, to i życia nie chcę!

Mówił tak stanowczo, tak męsko, z taką siłą potężną, iż Reda zamilknąć musiała. Wiedziała już, że go nie pokona.

Stała, wpatrzywszy się w ziemię; z wodza i pani przed chwilą zmieniła się w słabą i nieszczęśliwą niewiastę.

Margier głowę podniósł i dorzucił:

— Baniuta ognia jeszcze nie pilnowała, ani skałki nań nie rzuciła. Jeszcze ona do nich nie należy.

Reda, posłyszawszy to, spojrzała ku zagrodzie i poczęła iść do niej, nie odpowiadając synowi.

We wrotach widać było gromadę wejdałotów w bieli, którzy zdala się przypatrywali sporowi temu między matką a synem, nie wiedząc, o co chodziło.

Konis piękny, jakby przeczuwał coś, stał naprzecdzie.

Widać było, jak Reda szybkim krokiem się zbliżyła ku niemu, mówić doń poczęła i razem z nim znikła w zagrodzie. Chłopiec tymczasem, jak wrosły, pozostał na swem siedzeniu. Pilleńscy ludzie, co wczoraj jeszcze lekce sobie ważyli młokosa, teraz nań z poszanowaniem patrzali. Nie myśleli o tem, o co szło między nim a matką; czuli, że siłę okazał i rozkazywać umiał. Serca mu to jednało u tych, co, słuchać zmuszeni, chcieli przynajmniej móc szanować tego, kto rozkazywał.

Szeptali między sobą, pokazując na niego; on miecz swój opatrywał. Skinął na Rymosa, aby mu wody zaczerpnął, a chłopak domyślny, zamiast niej, miodu mu z beczułki utoczył.

Wtem ze drzwi zagrody wystąpiła Reda, żywo ręką ku sobie syna wołając. Margier się wahał. Czuł się tu może bezpieczniejszym, lecz i obawy okazać nie chciał.

Na ramię więc wzięwszy swój miecz, szedł powoli na zawołanie.

Zdala już matka wołała do niego głosem podniesionym:

— Niema jej tu! odesłano ją gdzie indziej.

— Jest! — zagrmiał Margier, stając — jest, bom ją widział przed słońca wschodem. Kłamię!

Wejdałoci, którzy usłyszeli kłam zadany sobie, krzyk ogromny podnieśli. Wrzawa około zagrody powstała groźna, jakby na zuchwalca się rzucić chcieli.

Posługacze Krewuli chwytali już za włócznie i pałki.

Przestraszony tem staruszek, który nie wiedział o niczem, kazał się prowadzić ku wrotom.



W tej chwili Konisowi zdało się może, iż cały ten zamęt i poróżnienie z kunigasami dla marnego dziewczęcia był niebezpiecznym. Wychowaniec krzyżaków mógł nie poszanować świętości i zgorszenia przyczynić. Naostatek i okup nie był do pogardzenia. Przysunął się do Redy i szeptać coś z nią począł.

Margier stał dumny, oczekując końca. Pozostał tu przed zagrodą sam jeden, bo matka, Krewule, wejdałoci, wszyscy się wcisnęli na jakiś znak dany do środka zagrody i wrota za nimi zaparto z trzaskiem.

W dolinie wszyscy bliżsi i dalsi, którzy wiedzieli, co się działo, lub domyślali się tylko, czekali końca. Od ognisk widać było bieżącą starą Jargalę, zdyszana, która oczyma Margiera szukała. Powiedziano jej, że ten się o córkę jej upominał.

Z pod dębu głuchy szmer tylko słyszać było długo. Reda nie powracała.

Wtem na wysokim stosie, z którego się zwykł był do ludu odzywać Krewe lub Krewule, ujrzano zboku powiewające białe ręczniki wejdałotów. Szli na górę, wiodąc między sobą starego, wszyscy w szatach odświętnych, w wielkich wieńcach na głowach, z laskami w rękę.

Krewule zmęczony pokazał się na wierzchołku stosu, sparł trochę na balasach i dyszał. Lud z całej doliny cisnął się, pędził, jak fala wielka, płynął do stóp dębu i stosu.

Co żyło, śpieszyło posłyszeć słowo, które wyrocznią było, gdy je stąd głoszone.

Stało się milczenie wielkie.

Krewule podniósł głos, lecz długo, długo posłyszeć go nikt nie mógł, bo starcowi w piersi tchu brakło. Podnosił tylko rękę jedną i obie, laskę do góry dźwigał, w niebo patrzył.

Trafem szczególnym, właśnie gdy się to działo, jedna z tych niespodzianych chmur wiosennych, które się

prawie w oczach zbierać umieją, nadciągnęła nad dolinę, zasłoniła słońce i głuchy grzmot daleki rozległ się po lesie.

Niektórzy z ludzi z krzykiem popadali na kolana.

Zamilkli wejdáloci, stróżki podrzuciły ognia, słup dymu się wzniosł nad drzew wierzchołki, i wtem odsłoniło się słońce, pogoda wróciła, jakby cudem.

Konis powtarzał słowa Krewuli, który uwalniał wziętą dziewczynę na usługę Perkunasa, bo już wprzódy innemu ślubowała, a bóg tylko dziewicze serca na służbie swej mieć może.

Margier, słuchając, podniósł ręce obie i czapkę do góry.

Wrota zagrody otwarły się szeroko i Reda ukazała się w nich, za sobą wiodąc, jak ofiarę, w bieli już i sukni wejdálotki, z kosami złotemi idącą Baniutę. Zamiast dębowego wieńca stróżek, miała ruciany na czole. Szła i uśmiechała się do narzeczonego, który do niej bieć chciał się zdawał.

Stało się z nim coś, czego on sam może nie pojął, aż gdy ostygnał, do matki naprzód pośpieszył i do kolan jej się schylił. Schwyciła go za głowę.

Pierwszy to był uścisk macierzyński, w którym i synowskie serce zabiło. Od tej chwili poczuli się — ona matką, on dziecięciem.

Baniuta, też upadłszy na kolana, kraj szat jej całowała, a tuż stara Jargała na ziemi się położyła, stóp kunigasowej szukając. I płakali a radowali się.

Wtem Reda poczęła wołać, odzyskawszy władzę:

— Na koń! do Pillen! do Pillen! Lada dzień przyciągną Niemcy i zamkną tam nas; idą już może. Do Pillen!

Lud cały powtórzył ten okrzyk, rzucając się do koni.

Wprędce dolina napół opustoszała, a cały orszak kunigasowej w porządku dobrym, skupiony, w pośro-

dek wzięwszy panią, syna jej i narzeczoną, i starą jej matkę, pośpiesznie gnał znanymi drogami do zamku.

Codzień na zaraniu posyłano ludzi na zwiady i powracających słuchano.

Krzyżacy gotowali się całą siłą na Pilleny — powtarzali wszyscy. W pół drogi dano znać, że ów straszny statek olbrzymi, którym od rzeki oblegać gród miano, stał już prawie gotowy, że go tylko smolono i żywność doń zwożono.

Strach jakiś opanowywał wszystkich, nawet mężną Redę, na słuch o tej budowie, która twierdzą przeciwko twierdzy być miała.

Nie obawiano się tyle nagromadzonych wojsk krzyżackich, co bajecznego statku tego, o którego ogromie prawiono straszne rzeczy. Reda w nim widziała zgubę swą, on jeden był dla niej najgroźniejszy.

Przybywający opisywali wielkie jego rozmiary, grube drzewo, z którego był mocno zbudowany, przygotowane na nim kłody, kobylice, proce do ciskania kamieni i ognia.

Jednego wieczora, gdy znowu nadbiegłe szpiegi prawły o nim w obozie Redy, Margier się nagle porwał z siedzenia, jakby go myśl jakaś wielka natchnęła.

— Bezpieczni są — zawołał — nie spodziewają się niczego, nam trzeba łódki wziąć, ludu trochę zwołać, smoły i ognia nagotować, spalimy tę potworę.

Szwentas, który słuchał, oświadczył się nocą do przystani doprowadzić.

Lecz nazajutrz okazało się, że statek był już na rzece.

Margier od myśli swej nie odstępował.

— Spalić go musimy — wołał — to im ochotę odejmie, a nim drugi zbudują, czas zyskamy i goście się ich rozjadą.

Reda godziła się na podpalenie statku, lecz gdy syn

oświadczył się, że sam poprowadzi tych, których wyprowadzić miano, puszczając go nie chciała.

Chłopak obstał przy swoim.

— To moja pierwsza próba; — mówił — czuję, że mi się powiedzie. Muszę iść. Ze Szwentasem nie boję się niczego. Ten, co mnie tu potrafił przyprowadzić, będzie wiedział, jak począć, byśmy cali uszli.

Uradowany Szwentas w piersi się bił i przysięgał, że dokażą tego, iż statek zapalą, a sami wrócą do Pillen nietknięci.

Musiała się Reda zgodzić na prośby i nalegania syna, dumna tem będąc, iż mężnym się okazywał, a przeciw Niemcom zajadłym.

Obawiała się tego, aby ich potęga nie odjęła mu odwagi.

Z zapalem niezmiernym rzucił się drugiego dnia Margier ze Szwentasem i ludźmi w bok lasami ku miejscu, gdzie się statek miał znajdować. Na wyjeźdźnym tylko, żegnając narzeczoną, przyprowadził ją do matki i w ręce jej oddał.

— To mój skarb — rzekł — strzeżcie go dla mnie, bo bez niego życie mi niemiłe, a dla niego jam je dać gotów.

Reda przycisnęła do piersi dziewczynę, z którą się już w drodze pojednała i pokochała ją. Zmiękło jej serce. Od czasu, jak syn poczuł się dowódcą i głową rodu, ona więcej matką być chciała. Wracała na to stanowisko, do którego była zrodzoną, z którego ją zemsta za krew męża i za syna wyrzuciła.

Oddział jeden z nią skierował się wprost ku Pille-nom, drugi gąszczami lasów, przez niedostępne dla innych trzęsawiska i błota, sunął się ku Niemnowi, coraz rosnąc i powiększając się po drodze. Margier też w ciągu tej wyprawy z wyrostka i chłopięcia na męża i dowódcę dojrzewał. Biło w nim serce, paliła się głowa, gorączka młodzieńcza dawała mu jasnowidzenia,

a ludzie się wydziwić nie mogli, a Szwentas radował się kunigasikowi, ręce jego całując.

Długo musiano wypatrywać chwili dogodnej. Kupka ich w trzcinach i sitowiach, ze skrytymi czółnami, stała tuż pod bokiem Niemców niepostrzeżona, aż Szwentas przybiegł dnia jednego i oznajmił, że czas był statek podpalić, bo przy nim ludzi zostawiono niewielu, a dno jeszcze smolono.

Napad nagły powiódł się szczęśliwie, a nim krzyżacy opamiętali się, by chwytać i ścigać napastników, którzy na nich, jak z obłoków, spadli, ich już nie było. Maleńkimi czółenkami, pieszo, wpływ potrafili ująć pogoni, spoglądając na łunę, która za nimi gorzała.

Margier stąd wprost popędził do Pillen, do których pilno mu było.

Matka, już się mu w niczem nie sprzeciwiając, obiecała wesele. Tam było gniazdo jego, tam stała kolebka, tam on obiecywał sobie panować.

W głowie snuły się już dumne myśli. Chciał z wielkim kunigasem na Wilnie sojusz zawrzeć mocny, stać przy nim, aby go też bronił. To, co widział i czego się nauczył u krzyżaków, pragnął u siebie mieć i zaprowadzić. Zbroje żelazne, miecze stalowe, kusze daleko sięgające, tarcze kowane...

W Pillenach codzien na wieżycę wchodziła Baniuta i patrzyła po dolinie, po rzece, na lasy, czy przybywających nie zobaczy.

Jednej nocy stróże przybiegli, dając znać, iż zdala łunę pożaru widać było. Reda odgadła, iż potwór ów niemiecki, co miał zgubę przynieść Pillenom, płonąć musiał.

Na gródku radość była wielka.

Baniuta wdrapała się na wieżę, aby ogniem tym napaść oczy. Nazajutrz się go spodziewała. Nazajutrz od rana przez cały dzień stała na górze i patrzyła, a serce jej biło, i każdego ptaszka, co przelatywał, pytała:

— Widziałeś ty miłego? Niesiesz mi słówko od niego? Czy je na zielonym liściu wyrył, czy ciebie odśpiewać nauczył??

A ptaszki leciały i nic nie mówiły do stęsknionej.

I nic widać nie było długo aż do wieczora.

W wieczór rzeka od słońca, jak ognisty potok, świeciła cała, a na złotej jej wstędze czarne sunęły robaczki, czy czółna — rybki, czy ptaki wodne?

Baniuta w ręce plasnęła. — To oni! — I zbiegła wdół do matki, a na dachy powłazili ludzie, spojrzeli i śmiali się, mówiąc, że nikogo nie było.

Baniuta u wrót stała, bo czuła, iż Margier przybywał. Serce mówiło, że był coraz bliżej; mierzyła niem przestrzeń; słyszała, jak czółna przybiły do brzegu i ludzie na ląd skoczyli.

I róg się odezwał. Wybiegli strażnicy pana swojego na zamek wprowadzić.

Walgutis sam został na posłaniu; opuścili go wszyscy, zapomnieli o starym, bo dawno znaku życia nie dawał.

Teraz coś w nim zagrało. Krew?... Powiało nań wiosną i młodością, jakby własną.

Krzyknął rozpaczliwie. Sam był! Nikogo!

Dopieroż tym jękiem zbudzeni nadbiegli doń. Stażec, niemowa, co spał jak bobak oddawna, chciał wstawać. Śmiali się z niego.

Wyciągnął ręce chude, kościste nogi obnażył, pięścią kamienną bił, rozkazując się prowadzić.

Musieli.

Skórę niedźwiedzią zarzucili mu na ramiona nagie. Staniał się na nogach, lecz szedł. Szedł, dysząc, pchał do wrót, kazał się nieść, dźwigał. Twarz wybielała i martwa, trupia, odżyła, tylko ust tych, wiecznie otwartych, zamknąć nie mógł. Jak widmo z drugiego świata, stanął za Redą w progu, właśnie, gdy Margier z otwartemi ku niej i narzeczonej biegł rękoma.



Z piersi starca jęk się wyrwał niezrozumiały a potężny; wołał go do siebie. Chude obrosłe ręce wyciągnął, pochwycił chłopca w objęcia, głowę siwą położył na jego ramieniu — i skonał.

Ostatni oddech starca, co życie całe walczył z wrogami i nienawiścią ich konał lat tyle, wstąpił w piersi wnuka.

Gdy Reda obejrzała się na to straszne zjawisko, Walgutisa musieli już ludzie podnieść na rękach, stęzalego, zimnym trupem.

I co wracać mieli na gródek z pieśnią radosną, wszyscy zanucili raudę, boleści pełną i łez, starą raudę, z którą od wieków Litwę na stos wiedziono.

Szli wszyscy za zwłokami do domu, a wielka radość obróciła się w łzy i smutek. Z całego grodu zbiegali się ludzie, dopytując o starego, który choć tyle lat konał, zawsze go czuć było, zawsze jeszcze z niego czasem życie jak płomień buchało jasny.

Począł się więc obrzęd pogrzebowy, wedle prastarego obyczaju.

Złożono zwłoki na zwykłej pościeli, która się teraz stała — śmiertelną (patałas) — wtoczono beczkę alusu i otwarto drzwi, aby wszyscy nieboszczyka mogli raz ostatni pozdrowić.

Stare niewiasty poczęły obmywać ciało i wdziały na nie długą koszulę, zdawna przygotowaną, włożono mu wiżos (chodaki) na nogi i posadzono trupa na ławie, w rogu izby, ostawiwszy pałkami, których dawniej w boju używał, a dziś one go podtrzymywały.

Tłum ludu stał dokoła starca, czerpał z beczki, przepijał do nieboszczyka i śpiewał:

— Pijemy do ciebie, panie miły, dlaczegóżeś umarł? czemuś nas osierocił?

Każdy po swojemu pozdrawiał, nucił i zwrotkę kończył jednakowo:

— Dlaczegoś umarł? czemuś nas osierocił?

— Nie miałeś co pić, co jeść? nie było dostatku w domu? nie było ci służyć komu? Dlaczegoś umarł? czemużeś nas osierocił?

— Nie miałeś odzienia, sprzętu, pełnych skrzyń i zasieków? na czem ci w domu zbywało? Dlaczegoś umarł? czemuś nas osierocił?

— Nie miałeś dzieci ukochanych, żony w domu? sług dostatkiem, druhów i braci, co cię kochali? Dlaczegoś umarł? czemuś nas osierocił?

Margier, który po raz pierwszy przypatrywał się pogrzebowi litewskiemu, stał zdumiały i poruszony. Przypominał sobie czarne trumny i żałobne śpiewy chrześcijańskie. Tu wszystko wyglądało i odbywało się inaczej.

Z tamtymi umarłymi rozstawano się, oddając ich Bogu, na sąd jego; tu żegnano, jak odjeżdżających do ojczyzny i praociców.

Izba cały ten dzień, całą noc i jeszcze jedną dobę stała otworem, a w niej pito, śpiewano, wchodzili i wychodzili ludzie, przypatrując się nieboszczykowi i płacząc u zwłok jego. Błady trup, z usty otwartymi, których i śmierć zawrzeć nie mogła, siedział, jakby uspio-ny. Niewiele się zmienił od żywego.

Tymczasem wszystko przygotowywano do pogrzebu. A że co chwila spodziewano się napadu krzyżaków, musiano na wzgórzu obok zamku stos ułożyć.

Rano weszły niewiasty znowu i obmyły ciało raz jeszcze, włożyły odzież białą; przypasano mu miecz, za pas zatknęto siekiere, szyję obwinięto ręcznikiem, w którego węzeł grosz był wetknięty na drogę, i zaczęto, płacząc, pić na pożegnanie.

Tuż u drzwi stał wóz pogrzebowy, na którym posadzono trupa i gromada, dokoła stojąca, zaczęła duchy złe odpędzać krzykiem i miotaniem włóczniami.

Zanuciły płaczki, rwąc rozpuszczone włosy. Niedaleki pochód był ze zwłokami, bo tuż gotowy stał stos śmiertelny, ale przy nim brakło gromady kapłanów,

i dwaj ubogo odziani tilusoni z bliskiej osady musieli sami służyć za innych i raudy na cześć Walgutisa wyśpiewywać.

Margier, który przy pogrzebie dziada powinien był rej wieść, nie umiał mu oddać ostatniej posługi. Wszystko tu dlań nowem było, obcem, dziwnem, niezrozumiałem.

Gdy Walgutisa na wierzchołek stosu dźwignięto i posadzono na tym tronie, który wkrótce płomienie objąć miały, musiał Margier pójść go pocałunkiem pożegnać i naówczas dopiero tilusoni ogień w czterech rogach podłożyli.

Reda, której rozpacz i żal po ojcu były do szafu posunięte, jękiem napełniała powietrze, rwała włosy, miotła się, śpiewała, padała na ziemię i wszystkim płaczkom przewodziła.

Gdy płomienie się podniosły ku górze, poczęli słudzy nieść wszystko, co na stosie z umarłym spłonąć miało: całemi kosztami wleczono oręż, odzież, sprzęty, kosztowne naczynia, łupy wojenne. Wszyscy rwali i ciskali w rozżarzone ognisko drogie skarby, aby duch Walgutisa zabrał je z sobą na drogę, na Anafiel wysoki.

Czwartego dnia, gdy jeszcze nie ostygło zgliszcze, z którego kości zebrano i pochowano w kamiennej mogile na zamku, nadbiegły wieści, że wyprawa krzyżacka już na Pilleny ciągnęła.

Reda, pogrzebem znużona, leżała chora i znękana. Margier teraz był głową rodu i wodzem. Ona pierwsza, ściągnąwszy się z łoża, pochyliła mu się do kolan.

— Wczoraj byłam matką i panią, dzisiajem służą! Rozkazuj ty.

Zawołała starszyznę.

— To pan wasz! — rzekła, wskazując, i powróciła płakać na swe łożo, a Baniuta siadła u nóg, wtórując tej boleści.

Margier znalazł się nagle wodzem, panem i zadrzał

w duchu. Ci ludzie patrzali nań i czekali; on nie wiedział, co ma rozkazywać. Miłość dla dziewczęcia, które chciał poślubić, smutek, postrach potrzeba było otrząsnąć z siebie; na nie czasu nie miał; bronić się musiał.

Z głową, jakby upojeniem zmęczoną, wstąpił na najwyższy szczyt, na wieżę, aby się obejrzeć dokoła i poznać swoje Pilleny. Stały jak wrosłe w pagórek, silne, groźne, obronne; a ludzie, co się u nóg jego mrowili, byli i liczbą, i siłą, i odwagą do osadzenia grodu starczący.

Kunigas przypomniawszy sobie Malborg, mury jego rozległe, ściany kamienne, wieżyce potężne, baszty, w których ścianach izby się mogły pomieścić. Pilleny drewniane wydały mu się, jakby wielką chatą na rozdrożu.

Przypomniawszy krzyżackie zastępy, lik knechtów, oręż ich, zbroje, kusze, maszyny, wojenną wyprawę i siłę i zadrżał. Stała mu przed oczyma przyszłość, mordercza walka i bohaterska śmierć, nieuchronna.

Albo potrzeba było uchodzić stąd, ocalając ludzi i siebie, gdzieś w lasy i otworem zostawić granicę, lub na niej w obronie paść.

Margier dumał; na oczach mu stała Baniuta, szczęście, spokój, dwór gdzieś w puszczy i ognisko domowe.

Wtem, gdy stał tak zatopiony w sobie, ta, którą porzucił płaczącą na pościeli, Reda, z rozpaloną twarzą, z włosami jeszcze rozpuszczonymi, w sukni poszarpanej, wdrapała się na wieżycę. Stała chwilę niepostrzeżona, patrząc zdala na syna, — coś wyczytać musiała z twarzy chmurnej, targnęła go za ramię.

— Tyś tu wodzem teraz, — rzekła — co myślisz czynić?

I wzrok w nim utopiła.

— Niemiec silny jest, — rzekł Margier — my się tu tak, jak Walgutis na tym stosie, spalimy.

Reda czekała milcząca.

— Nie obronimy się — dodał kunigas.

— Milcz! — przerwała mu matka. — Nie obronimy się! zginiemy! Tak; ale się bronić musimy do kropli krwi ostatniej.

Duch dziada i ojca wstałyby z mogiły przekląć cię, i jabym cię przeklęła, gdybyś gniazdo opuścił ze strachu!!

Gdym na łożu leżała, ogarnęła mię trwoga. W matce i synu jedna jest dusza; coś ty pomyślał, tom ja odczuła. Kochasz dziewczynę, chce ci się szczęścia, porwałbyś ją i zbiegł, a tę dziada mogiłę dał wziąć bez kropli krwi wrogom?! Ty?!

Margier zadrżał i pobladł; duma rycerska wstąpiła w piersi jego, duch dziadowski.

— Nie, — zawołał Margier — zobaczysz; obronić nie potrafimy, ale umrzeć potrafim.

Rozśmiał się uśmiechem nie krzyżackiego wychowanka, ale dzikiego człowieka.

Reda spojrzała mu w oczy.

— Mój syn jesteś! — szepnęła.

Nie obracając się już ku niemu, poczęła szybko schodzić z wieży, samym go tu zostawiając.

Margier w duszy wydał już był wyrok na siebie.

— Dzień szczęścia, a potem... śmierć!!

Wpół wschodów siedział skurczony Szwentas i zaparł mu drogę.

— Kunigasiku, — odezwał się — zamek twój niczego; ale to kupa chróstu, nas tu upieką krzyżacy. Szkoda ludzi i nas szkoda. Co mówisz, kunigasiku?

— Z drogi! — krzyknął Margier.

Szedł wprost na podwórce. Tu stali bajorasowie jego i dowódcy, czekając nań, posepni. Zobaczywszy pana, odsłonili głowy.

— Krzyżacy ciągną — rzekł młody, przybierając powagę starą. — Pilleny bronić się im będą. Mówcie:

macie męstwo? Komu go brak, niech stąd idzie precz; kto zostanie ze mną, na śmierć się musi gotować.

Stary Wiżunas okiem potoczył po swoich i rzekł głosem spokojnym:

— Raz człek umiera.

Żaden się nie ruszył, o wyjście prosząc, nie zadrżał nikt.

Margier z nimi razem obszedł okopy dokoła. Wszystek lud przyjmował go radośnie i każdy mu powtarzał:

— Raz człek umiera.

Gotowali się na śmierć wesoło, choć wiedzieli, że pogrzebu i stypy, i pieśni mieć nie będą.

Posłano do osady ściągnąć tych, co się schronić chcieli, a innym dać znak, by uszli w lasy.

Margier sam obszedł wnijścia, bramy, przechody tajemne i rusztowania na ścianach.

Gotowem było wszystko, choćby dziś walka rozpocząć się miała. Cały tak wieczór zszedł na tych oglądach, na radzie, na stawianiu straży i badaniu ludzi.

Wiżunas pod Margierem wziął dowództwo osady. Starzec był żelazny: mało mówny, bezsenny, surowy do okrucieństwa.

W nocy ostrzono topory i osadzano siekiery. Czowali wszyscy.

Gdy późno do izby wielkiej powrócił Margier, zdala już śpiewy go zaleciały. Świeciło w niej wesoło.

Gdy się drzwi otwały, obraz niespodziany oczom się jego przedstawił. Reda, odziana świątecznie, Baniuta w wianku dziewiczym i stroju narzeczonej, a dokoła dziewczęta nucące pieśni dziewiczego wieczora.

Matka podeszła do progu.

— Przystrójże się na wesele — rzekła. — Wczoraj pogrzeb, dziś gody, jutro może śmierć! Pilno ci było: będziesz ją miał.

Margier spoglądał na Baniutę. Siedziała, jak na tro-



nie, na wywróconej dzieży, z rozpuszczonemi kosami, w wianku, a dziewczęta udawały płacz i, śmiejąc się, splatały i rozplatały jej włosy. Ona sama, nie, jak zwyczaj był, smutna, rozpromieniona była i wesoła, z uśmiechem triumfu na ustach. Oczyma rzuciła ku niemu.

Chłopak pozdrowił ją tylko wejrzeniem; nie godziło mu się w sukni zszarżanej wnijść do izby; zniknął.

Pieśni żałosliwe brzmiały dalej wedle obyczaju. Ognisko płonęło wesoło. Reda krzątała się ze łzami w oczach a uśmiechem na ustach.

Żałobę miała jeszcze w piersi, a ledwie czas na wesele. Krzyżaków jeszcze nie było.

I prześpiewano noc całą, a kto nie szedł słuchać pieśni i zapijać na szczęście nowożeńców, ten siedział i ostrzył topory.

Nazajutrz nie było swalgona, coby im błogosławił; stary Wiżunas przepasał się biało i wianek wziął na siwe włosy.

Baniuta siedziała na dzieży znowu, na kolanach jej stał kubek piwa i chleb biały, družki cztery kosy złote przeciągnęły przez cztery złociste pierścienie i, płacząc, je obcięły.

Wstała Baniuta i, kubek do ust podniósłszy, resztę wylała na progu. Margier czekał jej u stołu. Trzy razy oprowadzono młodą około ogniska, nim ją przy nim posadzono. Spojrzała wesoło ku niemu. On siedział smutny.

— Panku mój — szepnęła do niego — rozmarszcz-  
że czoło, wszakci-to wesele nasze. Mnieby płakać przy-  
stało, tobie się cieszyć; aż mi wstyd, że smutną być nie  
mogę.

— A mnie, że wesołym być nie umiem.

— Dlaczego? — zapytała Baniuta.

— Posłuchaj — westchnął Margier. — Gdyby pieśń nie głużyła, możeby nas tętent krzyżackich koni doleciał.

— Zawtórowałby naszej pieśni.

Spojrzała mu w oczy.

— Panku mój! czegoś ty smutny? Ja wiem! ja wiem! Wojna idzie na nasze wesele.

Cicho westchnąwszy, rzekł młody:

— Wojna, to nic...

Słowo ostatnie na ustach mu skonało. Baniuta się uśmiechnęła doń.

— Panku mój! — odezwała się. — Wszak to obyczaj jest taki, że pan młody za wianuszek podarek daje. I ja od ciebie chcę daru jednego, wielkiego daru, ale mi przysiąc musisz, że ja go będę miała.

— Dam ci, co zechcesz! — zawołał Margier żywo.

— Przysiąż mi! — powtórzyła Baniuta.

— Na kogo przysięgać mam? — smutnie odezwał się młody — na obcego Boga mi się nie godzi, a swoi mnie nie znają.

— Przysiąż mi na słońce i księżyc — przerwało dziewczę — na co chcesz! ale ja chcę przysięgi!

Margier rękę położył na piersi.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał. — Wszystko będziesz miała.

Wtem Baniucie zaświeciły oczy, zagorzały płomieniem; dawne owo dziewczę, w którym męczeństwo Niemców wykołysało ducha, wróciło. Widział ją taką, jaką była, nucąc litewskie pieśni na drzewach ogrodu Gmundy.

— Pamiętaj — szepnęła. — Ja wiem, ja widzę!!

Krzyżacy nasz gród zdobędą. Wy, szczęśliwi, padniecie w jego obronie; a ja? ja sobie życia wziąć nie potrafię. Gdy przyjdzie ostatnia godzina, panie mój! nim sam im dasz życie, weź moje!

Zbladł Margier.

— Przysiągłeś mi na słońce i na księżyc — dodała, ściskając rękę jego — razem pójdziemy na jasny świat drugi, a tam! tam musi być wieczne wesele, bo tu była wieczna męka. A bogi, jeśli są, sprawiedliwymi być muszą.

Rozlegająca się pieśń zgłuszyła rozmowę.

Szwentas stary, przebrany za wesołego błazna, Keleweże, wtoczył się na czworakach do izby.

— Hej! hej! — wołał — to mi wesele! gości na nie zjechało bezliku. Chodźcie, patrzcie, czy stanie piwa dla nich na przyjęcie. Goście wkoło, postrojeni, błyszczą na nich szaty żelazne, świecą czapki złożone, rżą ich konie we zbrojach.

Ogromny okrzyk za wałami krzyżaków zwiastował.

## VI.

Tejże nocy weselnej zerwał się Margier z pościeli, pocałował śpiącą Baniutę i stanął zadumany.

Wyszedł z izby; stary Wiżunas na progu siedział, czoło trzymając w dłoni.

Odeszli obaj w podwórze.

— Tych psów nastraszyć potrzeba — odezwał się Margier. — Patrzałeś ty z góry, gdzie namiot wodza stoi?

Wiżunas ręką wskazał stronę.

— Nieprawdaż? tam jest wyjście nasze podziemne, kamieniem zawalone?

Skinął głową stary.

— A co po niem?

— Gdy się pośpią — rzekł Margier — oni i ich cza-ty, łatwo po nocy dostać się do obozu.

Porwał miecz, wiszący u pasa.

— Wodza im zamordować trzeba!

Wiżunas niedowierzająco spojrział ku niemu. Oczy starego pytały:

— Któż to potrafi??

Margier po chwili szepnął:

— Ja znam ich obyczaj, umiem ich mowę... pójdę.

— Wy?

— Ja — potwierdził chłopiec, prostując się — kto wie: popłoch ich może ogarnie; odstąpić mogą.

Starzec ze zwieszoną głową dumał.

— Szkoda was — rzekł — a gdy wy zginiecie, któż zamek obroni?

— Ty! — rzekł krótko Margier, rękę mu kładąc na ramieniu. — Nikomu słowa! milcz...

Obejrzał się dokoła: noc była; przysłuchiwał: obóz krzyżaków spał cały; nic się w nim nie poruszało.

Wziął miecz swój do ręki i na palcach ostrza jego spróbował; ku komnacie weselnej powiódł oczyma. Chciał zejść na pożegnanie; ale potem czy miałby siłę z niej wynieść?

— Chodźmy, Wiżunas — rzekł.

Posłuszny starzec doprowadził go do jamy drzwiami zapartej. Tu do nóg mu padł i jęknął.

Margier znikł w ciemnościach. Wiżunas pozostał na straży. Gdyby mu lata łez nie wypaliły, byłby płakał — nie mógł.

Cisza długa staremu się wiekiem wydawała. Nie było jej końca.

Nagle krzyk straszny usłyszał i padł na ziemię u wniścia. W obozie tysiące głosów go powtórzyło dokoła; z głębi milczenia wstała burza okrutna, jakby ziemia rozwarła się pod nogami Niemców. Konie rżały, oręż szczekał, biegały oddziały, tętniało i grzmiało.

Wiżunas, z uchem przyłożonem do ziemi, leżał. W jamie nic słyhać nie było; potem zaszumiało w niej, jakby wąż się sunął ku niemu. Starzec uląkł się Niemców i nóż ujął w rękę. Wtem Margier ukazał

się z twarzą ziemią osypaną, tchnął, odprostował się i padł znużony obok Wiżunasa.

Gdy go stary otrzeźwił i spytał, nie umiał mu nic odpowiedzieć. Wskazał tylko na miecz swój, który powrócił suchy — i westchnął.

Nie zabił nikogo.

Tegoż dnia przejście zasypiano podziemne.

Rano beczki wytoczono w podwórze.

Załodze sprawiono wesele; ale głośnych pieśni zawodzić nie było wolno. Jedni stali poza ścianami, czatując; drudzy obsiadali konwie i wiadra, czerpali i pili.

— Raz człowiekowi umierać! — śpiewali.

Margier to do żony szedł i na ławie przy niej przysiadł, to na okopy się drapał i w obóz patrzył. Znał w nim tam wszystkich i mógł nazwać każdego z rycerzy po imieniu; poznawał ich po zbroi i chodzie, po czeladzi i koniach.

Niektórzy z nich nosili go na rękach. Ojciec Antonjusz mówił mu o Bogu, Bernard pilnował go, gdy na koń siadał i toczył się z włócznią w podwórze.

Byli między nimi ludzie dobrzy; teraz wszystkim on złym być musiał.

Wyrzucał sobie, że nie zabił Bernarda; lecz gdyby raz wtóry znalazł się tak z nim oko w oko, z mieczem w dłoni, znówby mu ręka zadrżała.

Przy żonie siedząc, zabijał ich wszystkich w myśli; wpatrzywszy się zdala, słabnął.

Krzyżacy, jakby naumyślnie, ociągali się ze szturmem; dni kilka leżeli, nie poczynając nic. Śpiewali jedni pieśni pobożne, drudzy piosnki wesołe. Lud na wałach rwał się do walki. Kto ma śmierć przed sobą, temu pilno raz skończyć z życiem.

— Głodem nas chcą wziąć! — mówił Wiżunas — trzeba szczerdzić strawy, a nuż kunigas wielki w pomoc przyjdzie i ztyłu na nich uderzy?

Niemcy zwozili susz i bełty oblewali smołą.

Jednego dnia pod zatkniętym w polu krzyżem stanęli dokoła. Ołtarz było widać w pośrodku. Ojciec Antonjusz mszę odprawiał. Margier, stojący na wieży, jakimś ruchem mimowolnym za czapkę pochwycił, chciał ją zdjąć według dawnego nawyknienia i wbił napowrót ze złością na głowę.

Rozległa się pieśń, znał ją dobrze, wtórował jej nieraz w kościele.

Z dołu, od podnóża wieży, słychać było piosenkę Baniuty.

Obie pieśni mieszały mu się w sercu, w głowie; zacisnął uszy, zbiegł z góry.

— Ludzie, na wały! — zawołał.

Nie mylił się: krzyżacy szturm przypuszczali.

Dokoła opasali gród, jakby łańcuchem żywym. Szli, śpiewając. Knechty niosły susz na głowach, drudzy dymiące pochodnie w rękach, inni topory błyszczące.

Co żyło, przyparło się do zagrody. Niewiasty niosły wodę w cebrach; ludzie kamienie dźwigali; słabsi naciągali łuki.

Wiżunas nakazał milczenie. Walki nie miał poczynąć nikt, ażby ją Niemcy sami otwarli.

Tuż pod parkanami słychać było zrzućcane drzewo, dym pochodni dochodził do nich. Niemców za chróstem widać nie było. Z góry posypał się deszcz strzał i grad kamieni, a na rozpalony susz lunęła woda. Chwilę wstrzymali się Niemcy, zawahali; padło kilku z krzykiem i stoczyło się.

Ztyłu wołano do szturmu i gęsty zastęp znowu ku parkanom się cisnął.

Był to pierwszy dzień walki, lecz odrazu zajadłe rzucono się ze stron obu.

Marszałek, który stał na pagórku i patrzył, u boku mając Brandenburczyka, głową poruszył i rzekł:

— Niełatwo im podołamy.



Sarganty stanęli z jednej strony, gdzie ściany drewniane i dachy najbliższe im się zdawały, z kuszami i bełtami.

Każdy z nich bełt zapalał u pochodni i puszczał go ku grodowi. Płonące strzały leciały, świszcząc w powietrzu, rozpaloną kapiąc smołą, gasnąc w pół drogi, lub niosąc płomień na dachy.

Spodziewano się pożaru: napróżno. Ognisty deszcz pocisków oślizgiwał się po twardych ścianach, gasł na nich, lub tonął gdzieś na grodzisku.

Lecz i litewskie pociski niewielu raziły: Niemcy byli osłonięci żelazem, ponakrywani niem, kamienie odskakiwały od zbroi, strzały się kruszyły na stali, albo w drucianych koszulach więzły bezsilne.

Rzadka strzała, w pachwinę lub między blachy trąfiwszy, kaftan przedarłszy, skosztowała krwi niemieckiej.

Pożar też nie miał się parkanów, gliną pooblepianych, pozlewanych wodą. Susz płonęła napróżno, napastnikom samym zagradzając drogę.

Walka trwała tak do południa, słońce dopiekało, ludzie do rzeki zbiegali wodę chłypać, starszyczyna do namiotów popowracała, knechty też odstąpili na strzał i na ziemi się pokładli.

Nie uczyniono nic.

W namiocie marszałka zasiedli goście dostojni. Jednym śmiać się chciało, drugim gniewać.

— Niema wątpliwości — odezwał się komtur z Balgi, — że nareszcie tę chałupę weźmiemy i obrócimy w perzynę; jednakże za czas, który tu stać przyjdzie, nie śmiałbym ręczyć. Może oblężenie trwać tak długo, że naszego trudu nie będzie warte.

— Jakto! — sprzeciwił się marszałek. — Nie wiecież, że to jest klucz do tej ziemi, że stąd oni wycieczki na nas czynią, że samo opanowanie trwogę na nich rzuci?

— Radźcież, co poczynąć, aby je przyśpieszyć! — odezwał się stary Siegfried. — Przyjdzie pora dżdży-sta, ogniem ich wziąć będzie trudniej, a szturm ludzi wielu życia pozbawi.

Hrabia Namur odezwał się, że oni oręza dobrego nie mają, a tem mniej uzbrojenia, więc się ich wielce lękać nie potrzeba. Liczbą też nie zastraszaają, bo gródek mały i wielu ichby się tam nie mogło pomieścić.

Bernard, na uboczu siedzący, milczał.

— Bracie Bernardzie — odezwał się marszałek. — Wychowanek ów wasz nieszczęsny, jeśli nie dowodzi, to pewnie się znajduje na gródku. Ten rozumniejszyby powinien być od innych. Wezwać go na rozmowę; życiem darujemy, niech się poddadzą.

Siegfried się uśmiechnął.

— Pierwszegobym go powiesić kazał — rzekł. — Ale nie szkodzi nic życie obiecać, bo słowo poganom dane nie waży. Ponieważ ochrzczony był, ojciec Antonjusz wypowiada, a potem na gałąź. Duszę ocalimy: to najważniejsza.

Bernard wstał z pniaka, na którym siedział, lecz nic nie odpowiadał.

— Bracie Bernardzie — powtórzył marszałek — spróbujcie rozmowy. Oszczędzić możemy krwi naszej.

— Próbować można — odparł Bernard — lecz wątpię, by się zgodzili, a bardziej jeszcze, aby się to zdało na co.

Bernard wyszedł z białą chorągwią i gałęzią zieloną; herold marszałka zbliżył się ku twierdzy, trąbiąc i wołając po litewsku...

— Na spokojną rozmowę.

Krzyżak stał i spoglądał zdala, czekając.

Nikt z grodu nie odpowiadał długo. Herold wolnym krokiem objeżdżał dokoła napróżno, a Bernard zwolna się za nim posuwał. Ponad parkanami, na

wyżkach, pokazał się wreszcie Margier z mieczem w rękę.

Stanęli naprzeciw niego.

On i Bernard zmierzyli się wejrzeniem. Margier milczał.

— Znacie siłę naszą — odezwał się krzyżak, podnosząc głowę — widzicie, że osaczony gródek wasz utrzymać się nie może. Żal mi was; możecie ocalić życie swoje i rodziny. Obrona próżna: poddajcie się.

Margier wzruszył ramionami pogardliwie.

— Jam tu przyszedł z moimi ginąć, a nie ratować się bez nich — rzekł dumnie.

— Chrześcijanin walczycie przeciw chrześcijanom — dodał Bernard.

— Nie jestem już chrześcijaninem, nie! — zawołał Margier.

Wyrazy te na chwilę krzyżakowi usta zamknęły.

— Śmierć więc ciebie i was wszystkich czeka — zagroził Bernard — ani jeden z was nie wyjdzie stąd żywym.

— Myśmy na to gotowi! — chmurno zawołał Margier — ale nie z waszej zginiemy ręki. Co nas zostanie po boju, tym gród za stos posłuży.

— Marszałek wam życie daruje! — raz jeszcze powtórzył Bernard.

Margier uśmiechnął się.

— Bądźcie zdrowi, Bernardzie! — zawołał. — Żlebyście mnie wychowywali, gdybym dziś męstwa w obliczu śmierci nie miał i sprzedał braci za mizerne życie; zdrów bądź, bracie Bernardzie.

Poza Margierem już ludzie jego niecierpliwi szemrali, wzburzeni niemiecką rozmową; okrzyki słyszeć się dawały zdala:

— Poco ich szczekania słuchać. Bić się i umierać! Wiżunas nawet krzyczał na młodego kunigasa:

— Nie gadajcie z nimi.

Inni wołali, by do krzyżaka strzelać.

— Nie chcemy nic od nich! Bić się, bić się i ginać.

Margier zeszedł z rusztowania spokojny. Skinął ręką, dając znak, aby ludzie biegli do parkanów. Początek walki we wszystkich ducha rozżarzył do wściekłości i szaleństwa. Im mniej było nadziei ocalenia, tem rozpacz stawała się dzikszą. Ludzie podsycałi ją jeszcze u stojących otworem beczek.

— Bić się i ginać! — śpiewano.

Szał ogarniał dzieci, niewiasty, starców. Każdy chwycił, co mógł podźwignąć, i chciał biec przeciw nieprzyjacielowi.

Gród, dotąd milczący, napełnił się wrzawą i gwarem, które zdala słyszać było.

Gdy Bernard do namiotu powrócił, rada wojenna, która wiedziała, że z niczem przychodził, już była o losie obleżonego zamku postanowiła.

Ponieważ sił miano więcej, niż ich na niewielki gródek potrzebowano, wniósł wielki komtur, aby oblegający mieniali się w ten sposób, by na chwilę nie dać spoczynku obleżonym.

Dzień i noc bezustanku miano szturmować, podpałać, parkany rąbać i nie przerywać napaści, nacierając ze stron wszystkich.

Spodziewano się tym sposobem przyśpieszyć podanie się albo zawładnięcie gwałtowne gródkiem, który inaczej długoby opór mógł stawić.

Wydawano już rozkazy i siły niemieckie, podzielone na dwa oddziały, natychmiast znowu z wrzawą przypadły do parkanów.

Pozostali mieli przygotować kobylice i tarany do obalenia zagrody, którą podpalić było trudno.

Z obu stron zapął do boju zdawał się równym. Niemcy chcieli okazać, że dzicz długo się im opierać nie będzie mogła.

Gdy zastęp nowy przysuwać się zaczął ku tynom, Litwa, wytrzymawszy, dopóki nie przypadli bliżej, cisnęła kamieniami i kołami.

Lecz krzyżacy i ciżba, idąca z nimi, na którą odpoczywający i starszyzna patrzyła, nie dali się odepchnąć tym razem.

Padali niektórzy, lecz żaden nie ustępował; jedni drugim drapali się na ramiona, aby zasłoniętych ścianą drewnianą Litwinów razić z góry pociskami. Bój się zawzięł wściekły, zwierzęcy, zapamiętały.

Niemcom zdawało się, iż gródkowi ludzi na obronę ze wszystkich stron nie starczy: opasali go więc dokoła, lecz wszędzie znaleźli gęste zastępy naprzeciw sobie.

Nie był to żołnierz; nie wszędzie z mężczyznami potykać się im przyszło. Gdzie niegdzie stały wiedźmy z włosy rozpuszczonemi, z rękoma chudemi i rzucając, co napadły: piasek, kamienie, garnki i głównie rozpalone.

Dzieci się wdrapywały na częstokoły i do oczu skakały napastnikom, a choć ranne i skrwawione, nie przestawały walczyć, miotać się, kąsać.

Straszny ten bój dokoła, poczęty z południa, nieprzerwanie trwał do nocy. Trupy padały z obu stron, nogami je tratowano. Zdało się, że na Pillenach mnożył się lud cudem jakimś. Nie brakło go nigdzie.

Oporem znużeni, wreszcie krzyżacy ustąpili drugiemu oddziałowi, który z nową zawziętością pierwszych zastąpił.

Ranni poszli się obwiązywać, powyciągano trupy; noc nadeszła. Stosy rozpalono w dolinie. Walka trwała ciągle.

Wiżunas z jednej, Margier dowodził z drugiej strony.

Stary miał dwie strzały w piersi, które z mięsem wyrwał razem i krew gliną zatamował. Margier postrzelony był w ramiona i głowę.

Baniuta stała przy nim z płachtą do obwiązania rany, blada, przytomna, z zakąszonemi wargami, niekiedy, jak szalona, z pod nóg chwytając kamienie i rzucając niemi bezsilnie.

Reda w podwórku poła ludzi i gnała na wały.

Poszłaby była sama, gdyby się docisnąć mogła. Lecz około parkanów lud się gromadził, tak gęsto stojąc, iż trupy nawet paść nie mogły na ziemię. I one walczyły, piersiami zasłaniając żywych.

Stały się tarczami dla nich.

Nie słyszano piania kurów, nikt nie miał czasu spojrzeć na gwiazdy, aż zaświtała na wschodzie jutrzienka.

Walka trwała.

Zatrąbiono na zmianę nową. Pierwszy oddział krzyżaków i gości powracał znowu.

Ci, co wczoraj w obozie zimno i obojętnie zdala patrzali na to krwawe ścieranie się dwóch sobie nienawistnych plemion, teraz, ogarnięci, upojeni, zarażeni wyziewami krwi pobojowiska, biegli, nie mogąc zostać bezczynnymi.

Starszyzna, wczoraj jeszcze trzymająca się opodal, dziś bez rozkazów parła się razem z innymi, aby skosztować boju.

Dotąd pasowanie się było bezskutecznem.

Dzień wschodził.

Nie zmieniło się nic, rósł tylko zapał i potęgowało się z obu stron szalone pragnienie boju.

Wiżunas, który stał na wyżynie a trwożnem okiem oglądał się dokoła, bladł i trwożyć się zaczynał. Żywy mur trzymał się zawsze, lecz parkany i tyny trzeszczały i obaleniem się groziły.

W wielu miejscach topory knechtów podrąbały je, w kilku obito nalepę glinianą i ogień się imał szczap suchych. Całemi połaciami chwiały się ostrokoły. Starzec już widział chwilę, gdy krzyżacy wtargną do



gródka. Lecz poza tem pierwszym opasaniem stało drugie, grubsze, wyższe, silniejsze jeszcze.

Pierwszego obronić nie było można.

Pod wieczór, gdy znowu się oddziały mieniać przyszły, nagle pod naciskiem ludzi runęły z trzaskiem zapory i ci, co przy nich stali, padli pod nogi Litwinom.

W mgnieniu oka rzucili się na nich oblężeni, siekierami rąbiąc głowy, głazami waląc ramiona. Z krzykiem dzikiego zwycięstwa pastwili się chwilę tylko. Wizunas dał wcześniej umówione hasło; co żyło posypało się, śpiesząc się ukryć za drugą ścianą grodową. Ta była ostatnią.

Ale zdobycie jej daleko stawało się trudniejszym.

Krzyżacy, którzy się nie spodziewali, aby parkany padły tak rychło i nagle, runąwszy z nimi na ziemię, nim zdolali się opamiętać i powstać, część ich znaczna trupem padła, niezmierna liczba z ranami się podniosła, do boju niezdolna.

Starszyzna z pozostałymi ludźmi rzuciła się na pomoc za późno. Litwini wszyscy potrafili się ocalić i ująć za drugą zagrodę.

Bój musiał być na czas przerwany.

Marszałek, który patrzył na tę klęskę, będącą razem zwycięstwem, sam podbiegł na wały, aby natychmiast skorzystać z zamieszania, z otwartych bram i uchodzenia załogi.

Lecz po trupach i po palących się belkach przedrzeć się nie było łatwo i nim świeże siły krzyżackie dopadły do ścian, już się wrota pozawierały i zawałone zostały kupami kamienia.

Strata Niemców była dość znaczna, a przynajmniej większa, niż się kiedykolwiek spodziewać mogli.

Powiększyła ona zapalczywość ich przeciwko nieprzyjacielowi, który się bronił z taką zajadłością niezmówną.

Marszałek, na nic nie zważając, wołał i nalegał,

ażeby natychmiast szturm przypuszczać nowy i nie dać się poganom opamiętać.

Noc tymczasem nadeszła.

Wnętrze gródka obraz przedstawiało okropny zarazem i tragiczny. Ludzie ci szli w stanie ducha jakimś, w którym się rzadko człowieka widzi. Śpiewali jedni, płacząc; śmiali się drudzy; szła ogarniał wszystkich. Twarze były przemienione, siły podwojone, głosy nieludzkie.

Ci, co leżeli ranni, zrywali się gwałtem do walki; okrwawieni, zdali się nie wiedzieć, że z nich życie uchodzi.

Ci, co nigdy nie zanucili pieśni, znajdowali ją na ustach, przyleciała skądciś, z niebios — wylęła się w krwawych tych zapasach.

Mężowie, niewiasty, dzieci — wszyscy się stali bojownikami. Jakaś radość i gniew razem rzucały niemi.

Ojcowie patrzali obojętni na trupy synów; matki zapominały o dzieciach.

W pośrodku, oblany krwią, z podniesioną głową, z mieczem obnażonym, stał Margier. Za nim matka, jak niegdyś, odziana po męsku, zbrojna, w hełmie na głowie; obok Baniuta w świeżej namitce niewiastki, w białej koszuli, na której plamy krwi czerniały, ze sznurami porwanych bursztynów na szyi, z dyszącą piersią, podobną była do młodej wilczycy, którą w gnieździe myśliwcy napadli.

Wiżunas krew tamował jedną ręką, drugą ku parkanom wskazywał.

Ludzie się sypali ku nim, wyprzedzając jedni drugich z krzykiem i wrzawą.

Margier skinął, aby ich powstrzymać.

— Jeszcze dzień, jeszcze dwa — począł wołać — zdobędą i tę zaporę!

Krzykiem mu odpowiadano.

— Ale żywcem nie wezmą nikogo i łupu im nie damy — wołał coraz potężniejszym głosem.

Ręką w podwórcę wskazywał.

— Kłaść stos, stos, tu niech będzie gotowy. Spalimy na stosie do koszuli ostatniej, a co żywe zostanie, dobijemy sami; niech trupy biorą i zgłiszczą...

Okrzykiem, jakby z jednej piersi, odpowiedziano wodzowi.

Wiżunasowi twarz się rozjaśniła; wyrósł stary, rękę do góry podźwignął.

— Na Niemców! — wrzasnął. — Baby i wyrostki do stosu!

Baniuta spojrzała z dumą na Margiera, chwyciła okrwawioną rękę jego i pocałowała.

Chciała potem biec z innemi, ale Reda ją za koszulę wstrzymała.

— Nam tu być! nam wodę nosić i rany obwiązywać! — poczęła. — Kubek mu daj! nic nie miał w ustach.

Lecz już głosu jej, ani żadnego innego rozeznąć nie było można we wrzawie. Z za ściany słyhać było śpiew krzyżacki, tu pieśń litewską i wycie jakby dzikie.

Niemcy wdzierali się już ku wierzchołkowi zagrody i padali pod ciężarem belek, kłód i kamieni.

Bój, na krótko przerwany, toczył się znowu noc całą.

Tymczasem w podwórzu, czarodziejską siłą dźwignięty, już się stos olbrzymi układał. Kobiety i wyrostki odzierały dwór z pułapów i dachów, rozwalaly ściany, wlokły bierwiona i miotały na łożysko pogrzebowe.

W słabych siła wstępowała nadludzka. Ręce niewieście dźwigały potężne belki, ramiona chude nie ugięły się pod strasznym ciężarem, dłonie drobne chwytaly kłody grube. Drzewo zdawało się też żyć, poruszać,

jakgdyby, posłuszne człowiekowi, samo szło na rozkazanie.

Cudem podnosił się książęcy ów stos pogrzebowy, tak, że prawie głową sięgał wieżycy.

Teraz, co kto miał, poczęli zwlekać wszyscy: odzież, broń, żywność, kruszec, bursztyny, kozuchy i dokoła miotali na kupy.

Śmiali się, patrząc na te bogactwa, które ogień miał pożreć, aby się wrogom nie dostały. Dzieci skakały koło nich. Starsze kobiety zdierały z siebie zawczasu, co droższego miały, aby całem nie zostało.

Baniuta znikła, pobiegła żywo do domostwa, którego stał węgiel jeszcze. Tu już skryć się gdzie nie było. Szyja tylko do lochu, od której drzwi oderwano, otworem stała.

Siedziała na wschodach, podparła się, myślała.

— Przysiągł mi na słońce i księżyc: dotrzyma. O! nie da mi wpaść w ręce tych zbójców, na straszną męczarnię sromu. Ale miecz ma stępiony, ale nóż ma wyszczerbiony; może mu zabraknie żelaza?

Wzdrygnęła się. Wybiegła z lochu i wpadła do izb, których ściany na stosu podpałkę rozbierano. Widziała miecz Walgutisa, który stał w kącie. Stare żelazce obsunęło się i na podłodze w śmieciu leżało; porwała je z radością, do ust przyciskając, śpiewając, — bo ból wielki, jak radość, śpiewa.

— Nieprawdaż, mieczu kochany? ty śmierć mi dasz lekką z jego ręki! Rozedrzesz serce napoły i duszyczka z niego uleci...

Spojrzała: miecz rdzą, czy zaschłą krwią był okryty; poruszyła główką nad nim. Oburącz wzięła go, jakby dziecko piastowała, i poniosła.

Miała osełkę za pazuchą. Siadła w progu.

— Stary ty mój — nuciła, schyliwszy się nad nim. — O tobie ludzie zapomnieli, nikt cię nie otarł, nikt cię nie obmywał, ostrze ci stępiało. Czekaaj!

Zaczeła ostrzyć osełką. Stary miecz nabywał blasku, świecił, jak niegdyś.

Schylona nad nim Baniuta zobaczyła słabo odbitą twarz własną. Z miecza na nią niebieskich dwoje oczu patrzyło.

— Patrzysz na mnie, stary! tak, dobrze, pokochaj mnie i daj śmierć lekką z jego ręki.

Pocałowała żelazo, piosnka mimowolnie wybiegła znowu na usta.

— A! umierać mi młodo, umierać! Ale czegoż mi brakło? co mi życie dać miało? Może łzy na powieki, może sierocą dolę, może wraźą niewolę? Wszakżem miłość już znała; wszak miłgom ścisłała, i on pójdzie wraz ze mną, i krew nasza się zmiesza.

Łza z ocz na miecz kapnęła, prędko ją otarła Baniuta, postawiła żelazce, wybiegła.

Zdała Margier wiódł ludzi; zaczerpnęła wody w kubek jeden, miodu w drugi i pośpieszyła za nim.

Krzyżacy, teraz rozjuszeni, pieśń jakąś śpiewając grobową, całą siłą na drugi parkan się naciskali.

Z wrzawą i wyciem odpierali ich Litwini; a co padł który w żelazo okuty, okrzyk się jeszcze głośniejszy podnosił.

Znowu ogniste strzały Niemcy puszczać zaczęli. Padały one wśród gródka, ale nikt nie zważał na nie. Kilka szczęśliwiej ciśniętych uwięzło w ścianach wieżycy.

Wiżunas ni Margier nie mieli obejrzeć się czasu; ściany płonąć zaczęły. Płomyk się po nich ślizgał nieśmiało, zrazu gasnąć się zdawał, wciskał w szczeliny, potem jaśniejszy wyrastał.

Z dwu małych zlewał się jeden. Po wieżycy pełzały, jak węże; latały, jak ptaki.

Noc bladła, dzień nadchodził znowu, dym już tylko widać było. Wieżyca stała, jak wczora, cała, nietknięta, ale we wnętrzu szumiało i sykało i pryskało.

. . . . .

Krzyżacy szturmowali.

Drugi parkan wyższy był i mocniejszy, ale i ten już podcinać zaczynało i podkładano ogień pod niego. Litwini lali wodę, gdzie posłyszeli syczenie płomieni; walił się na oblegających ostatek kamieni z podwórca, z pod ścian budowli powyrywanych. Rzucano trupy, gdy nic innego nie było.

Głos tej walki, zamiast słabnąć, rósł przeraźliwiej coraz; niekiedy, słuchając go, marszałek drżał ze zgrozy! coś było w nim przejmującego śmiercią do kości. Ludzie, co taką pieśń nucili, ani się poddać, ni żywymi więzi być nie mogli.

Niemcom, którzy się drapali na zagrody, serce w piersiach bić przestawało chwilami. Ogarniała ich trwoga przed tą rozpaczą. Lecz wstyd było odstąpić; napierano ich, nowi biegli.

Dzień cały nie ustawał bój.

Wieżycę objęły płomienie do szczytu, opasały ją, jak szatą purpurową; stała tak długo niespożyta, jasna, straszna, potem nagle z trzaskiem wielkim runęła, kłęby dymu rozprysły się z iskrami dokoła.

Na gródku krzykiem zawtórowano.

Wiżunas się obejrzał.

— Nie zabraknie główni na podpalenie stosu.

Nie wiedział, że od niesionych iskieł stos sam już powoli płonąć zaczynał.

Margier bił się. Pot i krew ciekły razem z jego czoła, strumieniami płynęły po piersi białej. Z wysokiej kłody, na której stał, oglądał się.



— Czas-li było walki zaprzestać, a rzeź rozpocząć??

Z niebios gwiazdy patrzyły ciekawe. Tam także niepokój był jakiś; bogowie litewscy stali na ziemię posłańców, czy rzucali strzały ogniste, bo na czarnem sklepieniu wciąż polatywały gwiazdy i drogi jasne kreśliły.

Wiżunas mówił cicho:

— Ojców duchy schodzą po nas na ziemię!

— Czas nam do nich!!

Na dzień się zbierać zaczęło.

Zapora druga za chwilę już runąć miała. Ludzie siły tracili; trupów leżały kupy ogromne.

Niewiasty kołem, śmierci czekając, siadły przy stosie i raudę śpiewały.

Stos, jakby na rozkaz bogów, zwolna płonąć zaczynał.

Gwiazda ranna, jak diament, poczęła na niebie błyskać.

Wiżunas i Margier spojrzeli na siebie.

Ci, co walczyli jeszcze, na dany znak odstąpili od zagrody, szli spokojni ku stosowi. Wiżunas im przodował, Margier szedł ostatni.

Niewiasty pieśń nuciły.

Zaczęło się, czego świat nie widział nigdy i nigdy może nie zobaczy.

Bracia ściskali się i całowali, jeden obnażał pierś, drugi ją przebijał mieczem. Ojcowie, płacząc, mordowali dzieci i trupy rzucali do stosu. Mężowie zadawali śmierć żonom, które się im na szyi z pocałunkiem zwieszały.

I nikt nie wydał jęku, i nie słychać było krzyku, ani płacz się odezwał.

Trupami uścielała się ziemia dokoła stosu szeroko.

Margier z mieczem w dłoni stał i patrzył. Oczyma szukał Baniuty.

Ona w loszku na progu siedziała, łązy jej biegły z oczu, całowała miecz, czekała.

— Przysiągł mi na słońce i księżyc: przysięgi swojej dotrzyma.

Wiżunas nasłuchiwał ku zagrodzie.

— Śpieszcie się — wołał — śpieszcie! kto nie chce ginąć od ich miecza. Parkany trzeszczą. Wpadną rychło: niech nas żywych nie zastaną.

Co żyło jeszcze, w płomień rzucało dostatki swe, zwłoki drogie, i nastawiało piersi lub karku. Szał opanowywał ostatnich. Okrwawieni, wbijali sobie miecze w piersi i padali.

Reda syna pocałowała w czoło: nie było zabić jej komu.

Wiżunasowi ręka drżała.

— Nie mogę! — rzekł.

Rzuciła na czoło białą zasłonę i śmiałym krokiem w ogień weszła. Objęły ją płomienie; siadła na węglach rozżarzonych, zakryła oczy i drzewo zawaliło się pod nią.

Ztyłu krzyżacką pieśń coraz głośniejszy słyhać było.

Wiżunas i Margier zostali tylko sami. Około stosu kałużą ogromną krew stała, powoli w piasek wsiąkając.

Stary pokłonił się panu do kolan. Kolej przyszła na niego. Pan, kunigas, musiał pozostać ostatni i sam śmierć sobie zadać.

Margierowi ręka zadrżała, siwej głowy dotknąć nie śmiał.

Wiżunas żelazo oparł na ziemi, koniec w pierś wraził i rzucił się na nie.

Gdzie była Baniuta??

Wstała właśnie i biała jej koszulka świeciła w ciemnym otworze lochu. Wyciągnęła ręce ku Margierowi.

— Nas dwoje zostało! — zaśpiewała — chodź do mnie.

On patrzył za siebie ku zagrodzie, jakby mu życia żal było, i chciał uratować go choć odrobinę.

Przez krew i trupy szedł do niej, brocząc po kostki i stąpając po piersiach zastygłych.

— Baniuto! jeszcze ich niema! — wołał głosem drżącym.

Zbliżył się do niej. Objęła go rękoma i głowę złożyła mu na ramieniu.

— Patrz — rzekła — nagotowałam miecz ostry. Tyś przysiągł!

Margier słuchał.

Stos tylko płonął, skwarcząc i sycząc, a poza parkanem hałasowali Niemcy, drapiąc się nań, rąbiąc, przystawiając drabiny.

Na jeden uścisk czas został jeszcze, ale na słowo nie było już czasu.

Oczy Margiera wlepione były w tę stronę, z której najpewniej wpaść mieli krzyżacy.

Z łoskotem padły wrota ogromne i białe płaszcze ukazały się w podwórzu.

Pierwszym, który wpadł, był brat Bernard, — ktoś wie, może wychowanca chcąc ocalić.

Baniuta, na ramionach Margiera wisząca, białe piersi odsłaniała.

— Drogi mój! już czas...

Osunęła się na progu, skrwawiona.

Margier wściekły wyskoczył i, gdy Bernard się zbliżał, na miecz, dobyty z piersi Baniuty, padł, nie wydawszy jęku.

Tłoczyli się zwycięzcy.

Obraz, który się im przedstawił, nawet rozgorzałych długą walką, pijanych i oszalałych, osłupił. Wszyscy stanęli, zaledwie na podwórze wtargnąwszy, jakby ich siła jakaś niewidzialna wstrzymała.

Bernard widział, jak Margier, żonę uściskawszy, miecz w jej pierś pchnął i sam się nań rzucił.

Był to ostatni żywy człowiek w Pillenach.

Ogromnym stosem płonęły one całe, twierdza, domy, szalasy, wszystko. Morze płomieni chłonoło trupy i pożerało konających.

Marszałek, wjeżdżający konno jako zwycięzca, za nim Brandenburczyk, hrabia Namur i cały orszak dostojnych gości, oniemieli, zatrzymali się u progu.

Spoglądali na siebie; oczom własnym wierzyć się im nie chciało. Najdzikszym nawet, co się tu mordować i pastwić gotowali, serce w piersiach uderzyło.

Na żadnych ustach nie znalazło się słowo, by wyrazić podziwienie i zgrozę.

Stali tak w osłupieniu długo, patrząc na stos, na zgliszcza, na trupy, na siebie.

Brat Bernard tylko postąpił kroków parę i pochylił się nad ciałem Margiera. Do skrwawionej piersi, z której krew płynęła jeszcze, przyłożył dłoń: martwą i stężałą była. Wargi jego zdawały się szeptać modlitwę.

— Zaprawdę — odezwał się głosem słabym Brandenburczyk — warto było odbyć długą pielgrzymkę i wyprawę przedsięwziąć, aby widok mieć taki, którego do zgonu człowiek nie zapomni.

— Dzicz! dzicz! — trochę szydersko zamruczał hrabia Namur — przecież, gdyby starzy Rzymianie jacy, umrzeć umiała. Heroizm to, jakiego w dziejach nie znam przykładu, godzien, aby go uwieczniła pieśń poety.

Marszałek dumiał.

— Widzisz, mości książę — odezwał się — z kim tu Zakon ma do walczenia. Ci, co własnego życia nie żałują, przekładając śmierć nad niewolę, strasznymi są dla nas. Dlatego wy wszyscy pomagać nam powinniście, bo, jakkolwiek potężny Zakon, nie podoła zrozpaczonemu.

Stary Siegfried pierwszy odzyskał zupełną swobodę myśli i humor swój zwykły.

— Oszczędzili nam roboty — odezwał się pogardliwie — sami sobie wymierzając sprawiedliwość.

Zsiadł z konia stary i dając innym przykład, za którym jednak nikt nie poszedł, śmiało wkroczył między trupy, rozglądając się i uśmiechając.

W progu loszku leżał trup Baniuty, twarzą do góry, z usty otwartemi, jak do uśmiechu. Ręką trzymała się za pierś skrwawioną, odemknięte zaszkłone oczy patrzyły już w światy inne.

Siegfried stanął nad nią.

— Służka pani Gmundy tu także! — odezwał się — na Boga! i ta się tu znalazła. Wychowaniec Bernarda wziął ją z sobą w drogę, aby mu nie tęskno uciekać było.

Szyderstwo to na cmentarzu i zgłiszczach nie znalazło odgłosu, czem stary krzyżak wcale się nie zdawał dotkniętym.

Rozpatrywał się w niedogorzałych trupach, jakby je chciał liczyć.

— Podobno — rzekł i łupem się tu żadnym nie pożywimy. Nie dosyć, że się pozabijali, jeszcze mienie swe na stos z sobą pościągali. Widać resztki niedopalone. Al to żmije są, nie ludzie.

Wszystek tłum, który się na gródek wdarł, pozostał wdali, przypatrując się i iść dalej nie śmiejąc; na każdym ta rzeź okrutna, dobrowolna, czyniła wrażenie przygnębiające. Byliż to ludzie?? Jakież uczucie w piersiach ich mieszkalo, które taką obojętność na życie zrodzić mogło? Jakaż nienawiść pałała na tym wielkim stosie ofiarnym!

Wśród milczenia ogólnego stary Siegfried spojrzał ku obozowi.

— A co, mili panowie — rzekł — ja sądzę, że nam tam stoły już musiano pozostawiać. Taki widok pieczonego mięsa pogańskiego zaostrza apetyt. Idźmy się pokrzepić.

I siadł na koń, zawracając ku wrotom. W milczeniu marszałek, wielki komtur, goście pojechali za nim. Pilleny gorzały jeszcze.

Gdy wszyscy opuścili gródek i ogień tylko w nim gospodarzył, z jamy dobyła się głowa człowieka i dwie oczu krwawych poczęło się rozglądać dokoła.

Jeden Szwentas umrzeć nie miał odwagi.

K O N I E C













